

Przebiegły i cyniczny pirat i jego załoga spod ciemnej gwiazdy w służbie Royal Navy,
czyli czarny humor i nieprzewidywalna akcja w klasyce powieści przygodowej

BRIAN CALLISON



Wojna Trappa

CALLISON BRIAN

Wojna Trappa

Przełożył Sławomir Kędzierski

Prolog

–O rany, ale ciemno!

Trapp uśmiechnął się z zadowoleniem i skierował w stronę drzwi sterówki. – Noc czarna jak tyłek sudańskiego palacza.

I rzeczywiście miał rację.

Przynajmniej do chwili, kiedy salwa pocisków oświetlających z głuchym puknięciem zapłonęła bezpośrednio nad mostkiem “Charona”, potwierdzając tym samym, że nie można już liczyć na niczyją dyskrecję. W każdym razie, kiedy płynie się w środku nocy mniej niż trzydzieści mil na południowy wschód od oblężonej wyspy zwanej Malcią.

No i biorąc pod uwagę, że akurat dzieje się to w połowie 1942 roku.

Tak więc kapitan do swojej poprzedniej kwestii podał pełne rezygnacji: – Ooo, CHOLERA! – po czym znurkował w stronę czysto psychologicznej osłony, jaką dawały mu obciążone płótnem relingi prawego skrzydła mostka. Zanim ten całkowicie instynktowny odruch sprawił, że poręcz znalazła się na wysokości jego oczu, spostrzegł jeszcze z irytacją, iż wciąż nie może się zorientować, co właściwie ich zaskoczyło i stanowi teraz anonimową groźbę ukrytą w jeszcze głębszej ciemności zalegającej za kręgiem zastygłego w magnezjowym blasku morza.

Być może w zaistniałych okolicznościach nie powinno się pierwszego wniosku, jaki zrodził się w umyśle Trappa, uważać za zaskakujący. W gruncie rzeczy, każdy doświadczony na wojnie brytyjski marynarz znalazłszy się w centrum takiego szarpiącego bebechy pokazu pirotechnicznego, mógłby zareagować w identyczny sposób.

–U-boot! Atak wynurzonego u-boota, niech to jasny...

Co oznaczało, że minie jeszcze ze dwadzieścia sekund, zanim oddalona obsługa działa zidentyfikuje cel, precyzyjnie określi położenie, ustali kąt podniesienia lufy i...

Trzynaście... czternaście... piętnaście... Trapp zaczął się odwracać, by spojrzeć do tyłu, na sterówkę. W prostokącie drzwi widniała jakby zawieszona w powietrzu twarz pierwszego oficera – przeraźliwie biała plama z czarną dziurą pośrodku i mrugającymi, brązowymi oczyma Greka, które kryły już w sobie świadomość śmierci.

Nagle czarna dziura zniknęła, gdy maleńki człowieczek zamknął usta usiłując przełknąć ślinę. Na chwilę, zanim Trapp ryknął z całej siły: – PADNIJ! Padnij i módl się, żeby to nie...

...siedemnaście... osiemnaście...

Pierwszy pocisk burzący trafił “Charona” dokładnie w chwili, gdy kapitana olśniła następna myśl. Możliwość, która przyszła mu do głowy, była tak przerażająca, tak nieprawdopodobna, że Trapp w połowie zdania przeredagował swoje ostrzeżenie skierowane do pierwszego oficera, Theofylaktosa Papavlahapulosa.

–Nie, Pappy – stwierdził szczerze. – Po tym, co wyprawialiśmy, módl się, żeby to był U-boot, a nie jakiś inny okręt wojenny. W każdym razie, nie Royal Navy!

W tej samej sekundzie odłamki i ostre jak brzytwy fragmenty statku przebiły leciwy przód mostka “Charona”, a ciągle stojący tam pierwszy oficer zaczął zanosić się nieludzkim, gulgoczącym krzykiem...

...po pewnym namyśle należy jednak uznać, że była to dość dziwna uwaga. Ta o Royal Navy.

Szczególnie w ustach doświadczonego na wojnie brytyjskiego marynarza.

I to w chwili, kiedy został zaatakowany.

Oczywiście, Trapp nigdy nie należał do ludzi, którzy mówią stereotypowe rzeczy. Albo, jeśli chodzi o ścisłość, postępują w stereotypowy sposób. Być może na tym polegał jego błąd – wada, która doprowadziła go do obecnej sytuacji. Do tego, że żeglował dumnie przez sam środek wojny światowej nie deklarując się po żadnej z walczących stron.

Było to coś w rodzaju jednostronnej neutralności. Cały kłopot polegał jednak na tym, że Trapp był jedynym sygnatariuszem tej umowy. Jediną osobą, która uznawała ów szczególny status kogoś, kto nie bierze udziału w drugiej wojnie światowej. Najprawdopodobniej jedyną osobą, która cokolwiek o tym wiedziała.

Jedno wszakże było całkowicie jasne.

Niewidzialny okręt wojenny z prawej burty albo nie zdawał sobie z tego sprawy, albo po prostu nie dbał o to. A kiedy ktoś w czasie morskiego starcia znajdzie się po niewłaściwej stronie lufy, wówczas wszelkie tego rodzaju subtelności stają się nieco akademickie i mało istotne.

Tak więc kapitan Edward Trapp, samozwańcza neutralna strona światowego konfliktu, po prostu wtulił się w brudny pokład swojego statku i z goryczą słuchał

przebijających się przez ryk pary wodnej wydobywającej się z rozerwanego rurociągu windy kotwicznej śmiertelnych jęków swojego pierwszego oficera. Czuł też, że nie sterowany “Charon” odpada w prawo, odłamki bowiem, które posiekały sterówkę, lecąc w stronę rufy podziurawiły najprawdopodobniej również i sternika.

Przez kilka krótkich chwil pozwolił sobie wrócić myślą do poprzedniej wojny na morzu, kiedy to młodziutki midszypmen Edward Trapp z RNVR * stał podenerwowany na mostku innego starego statku. I słuchał ogarnięty narastającym strachem i dumą, jak dowódca tego zmęczonego, niedostatecznie uzbrojonego krążownika pomocniczego mówi spokojnie: “Proszę rozkazać konwojowi, żeby się rozproszył. I meldunek do Admiralicji. Otwartym tekstem... “NAWIĄZUJĘ KONTAKT BOJOWY Z NIEPRZYYJACIELSKIM CIĘŻKIM KRAŻOWNIKIEM. MOJA POZYCJA – STO DWADZIEŚCIA TRZ...”

Royal Navy Volunteer Reserve – Królewska Morska Rezerwa Ochotnicza (przyp. tłum.)

Dowódca nigdy jednak nie dokończył meldunku, albowiem pierwsza salwa rozerwała się tuż nad tym beznadziejnie bohaterskim człowiekiem znacznie wcześniej niż niemiecki krążownik znalazł się w zasięgu dział brytyjskiego okrętu. I jedynym wyraźnym wspomnieniem młodego Trappa, zanim eksplozja uniosła go swymi delikatnymi palcami i złożyła czule w odległości jednego kabla za rufą pędzącego, skazanego na zagładę okrętu, był widok oficerów, nawigacyjnego i artylerii, zamienionych w jedną rozszerzającą się krwawą plamę.

Kiedy tak pływał sobie, całkiem wygodnie, widział zasnutymi łzami oczyma, jak burzące pociski salwa za salwą nadlatują z grzmiotem zza odległego horyzontu miażdżąc, paląc i rozrywając jego kolegów wśród wciąż płynącego naprzód piekła rozpadającej się stali.

Trwało to aż do chwili, kiedy przestarzały, nie dozbrojony krążownik pomocniczy ostatecznie położył się na burcie jakby godząc się z goryczą porażki, podczas gdy te dalekie mróweczki, które wybrały możliwość utonięcia pod warstwą rozpływającego się wokół pyłu węglowego, pospiesznie zsuwały się po rozharatanej burcie okrętu. Midszypmen Trapp poczuł więc nieomal ulgę, kiedy pojedynczy niemiecki pocisk oszczędził im dalszych kłopotów, odnajdując drogę do głównej komory amunicyjnej i początkując eksplozję, która uniosła ku niebu ostatnią, wyniosłą kolumnę spiętrzonej wody i ognia...

Unoszony przez kamizelkę ratunkową, jedyny ocalały z załogi okrętu midszypmen Trapp pływał przez cały ten dzień i przez całą noc. I również przez cały następny dzień i całą następną noc. Chciał umrzeć, ale nie był w stanie utrzymać głowy pod wodą wystarczająco długo, żeby się utopić, wymagało to bowiem dużej odwagi. Trapp zaś był wtedy tylko małym, bardzo przestraszonym chłopcem.

Aż wreszcie, trzeciego dnia przydryfowała w pobliże tratwa z przyczepionym doń fragmentem człowieka i Trapp uznał, że owa ludzka połówka nie powinna mieć nic przeciwko temu, by dla odmiany popływać sobie przez chwilę w pław. Zamienili się więc miejscami, ale ów facet nie zechciał się odzepić, i długo jeszcze płynął za tratwą Trappa. Trappowi bardzo się to nie podobało, naokoło bowiem było wiele maleńkich rybek oraz innych morskich stworzonek i Trapp nie mógł znieść widoku tego, co one robią z jego nieodłącznym towarzyszem wędrówki...

W końcu jednak ów facet zaczął stawać się coraz mniejszy i mniejszy, aż ostatecznie zniknął całkowicie. Młodemu Trappowi również się to nie spodobało, nie było to bowiem zbyt miłe – najpierw narzucać się komuś, a kiedy wreszcie człowiek zaczynał przyzwyczajać się do towarzystwa, znowu zostawić go samego. Nawet jeżeli zajęło to dość wiele czasu. Dziesiątego dnia zaczął nienawidzić Royal Navy. I niemieckiej marynarki. I całej tej cholernejszej wojny.

Dwunastego dnia czerwona ryba wyskoczyła nad powierzchnię wody i wylądowała na tratwie, prosto przed nosem Trappa. Patrzył na nią przez kilka minut, jak podskakiwała i walczyła dusząc się, i miał nadzieję, że ucieknie, bo wysiłek, jaki kosztował go każdy ruch, był zbyt wielki, nawet jeżeli chodziło o życie. W końcu jednak ryba przestała się rzucać i po prostu leżała, gapiąc się na niego wylupiastymi, pełnymi wyrzutu oczyma i połyskując unoszącym się w rytm oddechu brzuchem.

–Przepraszam – szepnął ze smutkiem. – Ale doprawdy zbyt ryzykujesz, co, Rybo?

A potem ją zjadł. Wciąż jeszcze dyszącą. Utrzymało go to przy życiu przez następne siedem dni.

Dziewiętnastego dnia wyciągnął go z wody przepływający nie opodal okręt. Był to niemiecki rajder. Wszyscy byli dla niego bardzo mili. Karmili go, pomagali mu ponownie uczyć się chodzić, a nawet pozwolili mu napisać list do domu.

A potem go zamknęli. Na prawie dwa lata. Do chwili podpisania zawieszenia broni midszypmen Edward Trapp RNVR nabrał patologicznej wręcz niechęci do wszystkiego, co miało choćby najmniejszy związek z wojną i bezsensownym marnotrawstwem.

Zakończyło to pierwszy etap kształtowania niezwykle osobliwego i wyjątkowo drańskiego przedstawiciela marynarki handlowej.

Drugi pocisk nadleciał z mroku rozpościerającego się poza blaskiem flary, przeszedł czyściutko przez wysoki, piszczątkowaty komin “Charona” i nie wybuchnął. Mimo to rozwalił kolejny rurociąg – tym razem ten zasilający niegdyś lśniąca, mosiężną syrenę okrętową.

Trapp jeszcze przez kilka chwil leżał plackiem na pokładzie i zaczynał się coraz bardziej wściekać, podczas gdy ogólny zamęt powiększało to dodatkowe wycie pary pod wysokim ciśnieniem. Wreszcie, nie mogąc już dłużej się opanować, rzucił w mrok barwne przekleństwo, po czym lekceważąc zagrożenie zerwał się na równe nogi i cisnął swoją zatłuszczoną czapkę gdzieś w kierunku, z którego do niego strzelano.

A raczej do "Charona". Co i tak oznaczało, że do niego. I do pierwszego mechanika Ala Kubiczka, dawniej w US Navy, obecnie dezertera. I do drugiego oficera (niedyplomowanego) Chafica Abou Babikiana, dawniej pomocnika właściciela burdelu i sutenera, przejawiającego nieoczekiwaną pasję do nawigacji, zachodniej muzyki klasycznej i małych chłopców o anielskim wyglądem... I do Gorbalsa Wullie'ego, poprzednio w więzieniu Barlinne, obecnie zaś najbardziej twardego, krnąbrnego, kretyńskiego osobnika spośród wszystkich bezpieczeństwałowców, bez ojca i matki, o mentalności piratów, społecznych wyrzutków, którzy tworzyli to, co przy odrobinie dobrej woli można by nazwać załogą parowca "Charon".

Fajni chłopcy, co do jednego, dumiał ponuro Trapp. Bez wahania zostawiłbym ich zamkniętych pod pokładem, kiedy ta rozpadająca się kupa złomu pójdzie na dno.

Może z wyjątkiem Pappy'ego... W jego stosunku do maleńkiego pierwszego oficera zawsze kryło się coś szczególnego, coś, co miało początek w błogich, przedwojennych dniach, kiedy to zawsze jakiś ładunek broni albo paru anonimowych pasażerów trzeba było przetransportować na brzeg jednego z wielu północnoafrykańskich szejkanatów...

Nagle potknął się o pierwszego oficera Papavlahapoulosa zwiniętego dziwacznie w drzwiach sterówki i ogarnął go nie doświadczony dotąd smutek, uzmysłowił bowiem sobie, że Pappy leży i jest niezwykle cichy. Złowieszczo cichy, jak na zazwyczaj gadatliwego Greka. I szczególnie cichy jak na gadatliwego Greka, w którym najprawdopodobniej zrobiono dziurę...

Jednakże stopień zainteresowania pozostałą częścią załogi pozwalał się zorientować, jak wielkim cynikiem stał się Edward Trapp. I jak zgorzkniałym.

Życie nazbyt go okaleczyło. Już nic nie pozostało z tego młodego chłopaka, który łkał tak niepowstrzymanie na podskakującej tratwie ratunkowej. Tylko dlatego, że zjadł patrzącą na niego z wyrzutem wylupiastooką, niewielką rybę...

Trapp nie od razu stał się człowiekiem pozbawionym jakichkolwiek złudzeń, nie był nim nawet wówczas, gdy po dwóch latach wyszedł z otchłani nie kończących się obozów jenieckich. Choć na pewno właśnie wtedy i właśnie tam przysiągł sobie, że nie będzie brał udziału w żadnej wojnie. Nigdy i za nikogo. Ale wielu powracających wojowników myślało wówczas podobnie.

W tym samym czasie zaczął być również chciwy. Co także nie było niezwykle. Wielu alianckich jeńców walczących o przetrwanie w Niemczech, które głodem starano się zmusić do kapitulacji, przejawiało tę samą słabość. Pod koniec wojny bochenek czarnego chleba lub litr zupy z żołądźmi stały się czymś bezcennym. Trapp bardzo szybko zorientował się, że zdobyć, oznaczało – przeżyć. I niewiele więcej czasu zajęło mu uzmysłowienie sobie, że osobiste przetrwanie, zgodnie z definicją, było nie do pogodzenia z troską o współtowarzyszy.

Młody Edward okazał się człowiekiem, który wyjątkowo łatwo dostosowuje się do warunków. Gdy statek szpitalny ostatecznie wysadził go w powojennym Dover, był opalony, barczysty i nader sprawny fizycznie. I kiedy wielu repatriowanych jeńców wojennych osłabionych niedożywieniem znoszono po trapach na noszach, midszypmen Trapp RNVR ruszył energicznym krokiem w stronę najbliższej kantyny Armii Zbawienia.

Ale nawet wówczas trzymał kurczowo pękatą paczkę dodatkowych porcji chleba i niemieckich Wursten.

Nie był w stanie zjeść tego sam. Bardzo zmienił się od dnia, kiedy przeproszał rybę...

Oczywiście, wina nie leżała całkowicie po stronie Trappa... Na swój sposób również i on stał się ofiarą wojny. O ile jednak większość poszkodowanych z biegiem czasu wyzdrowiała całkowicie, o tyle Trapp – nigdy. Być może zresztą wcale tego nie pragnął. Być może wyciągnął fałszywy wniosek z faktu, że na pokładzie krążownika pomocniczego wyruszyło na wojnę ponad czterystu mężczyzn, podczas gdy do domu powrócił tylko on.

Początkowo więc zaczął lekceważyć przepisy, a potem już łamał je w wyzywający sposób. Na przykład, nie czekając nawet na demobilizację po prostu wetknął za sedes na stacji w Dover to, co pozostało z jego munduru, przebrał się w marnie skrojony garnitur, na który natknął się w czymś bagażu, a potem wykonał szyderczy gest pod adresem JKM króla Jerzego V. Ich Lordowskich Mości z admiralicji i “wielkiej Brytanii Godnej Swych

Bohaterów”. Trzy dni później marynarz pokładowy Trapp płynął do Szanghaju na pokładzie przechylonego na burtę, przerdzewiałego frachtowca, który zapewne tylko dlatego przetrwał wojnę, że Niemcy uznali, iż zatonię on bez ich specjalnej pomocy i postanowili zaoszczędzić torpedę. Warunki, jakie panowały na tej pływającej trumnie, zapewne skłoniłyby każdego osobnika słabszego duchem do powrotu na drogę cnoty, zanim nie stanie się coś nieodwracalnego. Ale u Trappa, jakby na przekór, umocniły jedynie przekonanie, że wybrał właściwy sposób zdobycia fortuny.

Związał ze statku w Hongkongu. Frachtowiec zaś już następnego ranka zatonął jak

wiadro z cementem, zabierając ze sobą wszystkich pozostałych członków załogi. Po raz drugi w swoim krótkim życiu Trapp został skierowany przez Los kursem, który pozwolił mu uniknąć nagłej śmierci.

Przekonało go to ostatecznie, że posiada pewien niezwykle cenny walor, który stawia go o wiele wyżej nad innymi, mniej odpornymi ludźmi.

Że jego przeznaczeniem, bez względu na to, co zrobił czy też nawet komu to zrobił, jest – przetrwać.

Niemniej zdarzały się czasem przypadki, kiedy wszelkie techniki przetrwania okazywały się mało skuteczne.

Jak wówczas, gdy trzeci pocisk nadlatujący z głębi nocy wybuchnął tuż za rufą “Charona” i Trapp poczuł, jak cały ten cholerny statek jakby uniósł rufę, a potem dygocząc ześlizgnął się do przodu niczym deska surfingowa na czole fali.

Stracił równowagę i przyklęknął gwałtownie na jedno kolano opierając je mocno na klatce piersiowej małego Greka. Pappy jednak i wtedy nie wydał żadnego dźwięku. Nawet nie zirytował się na wypowiedziane odruchowo przez Trappa: Przepraszam, pierwszy!

Nagle, jak po przekręceniu kontaktu w kabinie, trzeszczący blask pocisku oświetlającego zgasł gwałtownie i podziurawiony mostek ponownie ogarnęła ciemność.

Wcześniej jednak kapitan dostrzegł, że prawe oko Pappy'ego spogląda oskarżycielsko w jego oczy i nie połyskuje już jak wtedy, gdy pierwszy oficer opowiadał o maleńkiej wiosce rybackiej nad złocistą plażą tuż koło Kastrosikia.

A potem zauważył miejsce, gdzie kiedyś znajdowało się drugie oko Pappy'ego. I właściwie dobrze, że po tym znowu zapadła ciemność – było to na swój tajemniczy sposób przejawem delikatności wobec Pappy'ego.

Trapp pociągnął gwałtownie nosem i podniósł się. Powoli, tak, żeby ten człowiek leżący spokojnie w drzwiach sterówki nie pomyślał, że swoim wyglądem sprawił mu jakąś przykrość. Próbował przełknąć jakąś dziwną przeszkodę tkwiącą w gardle, spostrzegł jednak ze zdziwieniem, że nie może tego zrobić. Sugerowałoby to bowiem wzruszenie, kapitan zaś wiedział, że to wykluczone.

Stał więc, próbując nie myśleć już o Pappym, słuchając apatycznie ryku pary oraz nerwowych okrzyków dobiegających od strony rufy i mrugając gwałtownie nie wiadomo czemu... a wtedy drugi pocisk oświetlający rozerwał się z nieubłaganym, oślepiającym blaskiem i Edward Trapp znowu stał się sobą.

Człowiekiem, który zawsze przetrwa.

Za wszelką cenę.

Stał się właśnie takim człowiekiem wkrótce po uniknięciu drugiego przedwczesnego rozstania się z tym światem na pokładzie zżartego przez rdzę pływającego grobowca, który po prostu nie był już w stanie dłużej utrzymać się na wodzie.

Z Hongkongu było niedaleko do Makao. A Makao było w owym czasie matecznikiem międzynarodowej przestępczości. Magnesem dla przemytników broni i złota, handlarzy opium oraz dla wszelkich innych zdeprawowanych wyrzutków umykających przed karą. Stało się również symbolem podniecającego, pełnego przygód, nieodgadnionego Wschodu – kwintesencją owych mocnych, romantycznych, zżeranych chorobami dni Tongów, chińskich piratów i rzecznych kanonierek.

Edwarda Trappa upoiło panujące tu bezprawie. Wprawilo w ekstazę. Była to dla niego złota kraina nieograniczonych możliwości, w której ci, co przeżyją, stają się królami, pokorni zaś giną.

Nie zginął. Jednakże, w dziwny sposób nigdy nie został też królem. Być może dlatego, że zbyt wiele jeszcze dobrych cech tliło się gdzieś głęboko w jego wnętrzu. Na przykład z uczuciem pewnego zawodu przekonał się, że nie jest w stanie z zimną krwią zabić człowieka – poważna wada w przypadku młodego pracownika do wszystkiego w Makao. Posiadał również dość specyficzne poczucie humoru, które niezbyt sprzyjało nawiązywaniu przyjacielskich kontaktów z tymi, którzy mogli dopomóc jego karierze. Jak choćby wtedy, gdy kupił dziesięć ton preparatu chwastobójczego od zbankrutowanego kapitana statku i mógł zamienić ów nabytek na gotówkę jedynie zalepiając poprzednie nazwy naklejkami z napisem “Nawóz sztuczny” i sprzedając całość miejscowemu Fumanchu, aby użyźnił tym swoje plantacje makowe.

W tym właśnie roku spadła na Chiny makowa zaraza. Wszystkie plantacje przypominały pustynię Gobi w czasie suszy i tylko dlatego Fu Manchu dosyć łatwo dał się nabrać. Jedynie dzięki temu Trapp uniknął natychmiastowego i nieprzyjemnego zabiegu polegającego na zdzieraniu skóry z torsu paskami o szerokości jednego cala.

Również i to umocniło go w przekonaniu, że jest w stanie przeżyć.

Jednak on musiał wiać z Makao szybko, mnóstwo, za bardzo. Biegiem, biegiem!

Co też na wszelki wypadek uczynił.

Można to uznać za dodatkowy dowód niezrównanego wyczucia czasu

przejawianego przez Trappa. Dwa dni później Fu Manchu, który dowiedział się określną drogą o nielojalności swojego podopiecznego, dał upust swej orientalnej irytacji i kazał porwać nieszczęsnego kapitana, aktualną chińską kochankę Trappa i przejezdnego komiwojażera, którego z Trappem łączyło jedynie to, że na nabrzeżu wypił drinka z wyjeżdżającym w pośpiechu facetem.

Większa część rozczłonkowanych zwłok tej trójki została następnego ranka rzucona do ogródka przed konsulatem brytyjskim – na środek trawnika do gry w krykieta. Było to cholernie nietaktowne, nawet jak na pieprzonego żółtka.

Może zabrzmiało to dziwnie, ale nigdy potem sprawy Trappa nie układały się już tak gładko.

Przez parę następnych lat błąkał się bez celu, zazwyczaj na pokładzie jakiegoś starego, sfatygowanego frachtowca, dopóki kolegom nie uprzykrzył się jego wredny charakter i nie przegonili go na brzeg, by dalej zajmował się nim już ktoś inny. Pomiędzy zamustrowaniami Trapp doskonalił rozliczne kunszty – przemytu, stręczycielstwa, oszustwa i jak zwykle – przetrwania.

W połowie lat trzydziestych z marzeń Trappa nie pozostało już nic. Był tylko krępy, twardy matros z urazą do całego wrednego świata i niewyparzoną gębą.

Był kolczastym, ale nie wiadomo czemu dającym się lubić łajdakiem. I posiadającym zasady równie nieugięte jak podeszwa buta palacza.

Wtedy to właśnie pojawiła się jego ostatnia szansa. Zrodzona z chciwości, splodzona przez brak zaufania.

Trapp, który wówczas uważał się już za kapitana, otrzymał propozycję objęcia samodzielnego dowództwa. Została ona wysunięta przez niewielką, nieco podejrzaną spółkę trzech egipskich ludzi interesu, którzy posiadali statek i ładunek, ale nie mieli nikogo, kto mógłby się tym zająć, poprzedni bowiem kapitan doznał śmiertelnego zderzenia z prętem rusztowym znajdującym się w rękach dotychczas anonimowego członka załogi.

Statkiem tym był “Charon”. Lecz zaistniał tu pewien problem. Trapp nigdy dotąd nie widział równie starej, zniszczonej, połatanej, rdzewiejącej, potwornej kupy morskiego złomu od czasu, kiedy szabrował leżący u wybrzeży Tajwanu wrak z 1897 roku. Z tą tylko różnicą, że oglądał go w skafandrze, statek ten bowiem zatonął ze starości i leżał na dnie.

O ile Trapp mógł sobie przypomnieć, był on uderzająco podobny do statku, na którym miał objąć po raz pierwszy samodzielne dowództwo. Tyle tylko, że ów zatopiony wrak znajdował się w nieco lepszym stanie.

Drugim problemem był port docelowy "Charona" i przewożony ładunek. Plaża w Afryce Północnej i transport karabinów z czwartej ręki, które jednak mogły zabić tego, w kogo zostały wycelowane. Tymczasem legioniści, którzy patrolowali ten właśnie teren czekając na przemytników broni takich jak Trapp, mieli zwyczaj najpierw strzelać, a dopiero potem interesować się, czyje to zwłoki.

Trapp był również nieco urażony stanowiskiem zajęтым przez Egipcjan. Sposobem, w jaki nalegali, żeby pozostał na pokładzie, podczas gdy sami wzięli cały ten majdan na brzeg i omawiali ostateczne warunki z miejscowym szejkiem. Zupełnie jakby nie dowierzali własnemu kapitanowi, że wróci z forszą. Jakby zakładali, że on, Edward Trapp, mógłby zwinąć własny ładunek, niech to...

I wtedy olśnił go Pomysł. Rozumiało się samo przez się, że ładunek musiał pozostać nienaruszony. Poza innymi względami, jedną z niezłomnych zasad Trappa była lojalność wobec pracodawców. Oczywiście, miał szczerą wolę wysadzić ich razem z karabinami w dowolnej, wskazanej przez nich części Morza Śródziemnego, i niech go diabli, jeżeli dotknąby choć jednego, jedyne naboju kalibru zero, trzysta trzy.

Byłoby jednak rozsądną rzeczą, gdyby mógł choć trochę zyskać na tym interesie, nieprawdaż?

No, cóż... na przykład... ukraść statek?

Tak też uczynił, gdy tylko pierwsze odgłosy strzelaniny dobiegły ponad spokojną wodą od strony odległej plaży. Sugerowały one, że jego byli egipscy chlebodawcy i tak już nie wrócą tego wieczoru, a poza tym jest nader mało prawdopodobne, żeby wystąpili kiedykolwiek z pretensjami do prawa własności "S\$8" Charon".

W taki oto sposób Edward Trapp stał się posiadaczem. Samozwańcym kapitanem marynarki handlowej, który nie był poddanym żadnego państwa i uważał całe Morze Śródziemne za swoje tereny łowieckie. Miał nawet gotową załogę i choć nigdy nie był w stanie udowodnić, że to istotnie Gorbals Wullie zdymisjonował ostatniego kapitana waląc go od tyłu prętem rusztowym, to jednak uczynił wszystko, żeby taki los nie spotkał również i jego.

Jednak każdy, kto zdawał sobie sprawę z przeznaczenia Trappa, mógł się tego domyślić.

Na pokładzie "Charona", który nie rzucając się w oczy kuśtykał z jednego zakazanego miejsca do drugiego wszystko odbywało się szczęśliwie i pomyślnie na swój nędzny sposób, tak że jedynie sporadyczny strzał czy pchnięcie nożem, a potem dyskretny plusk za burtą w czasie środkowej wachty zakłócały harmonię panującą wśród załogi. Los zaś jak zawsze prowadził Trappa bezpiecznym kursem i pozwalał mu uniknąć represji władz.

Aż do chwili, kiedy Adolf Hitler rzucił Wehrmacht na Polskę i zdarzyło się to, w co Trapp dawno temu zaprzysiągł nigdy się nie mieszać.

Przeważająca część świata zabrała się za wojaczkę. Znowu.

Z wyjątkiem niezbyt patriotycznie usposobionej załogi “Charona”, która jednogłośnie proklamowała swoją neutralność i po prostu robiła to, co zawsze. Należy jednak oddać tym ludziom sprawiedliwość i stwierdzić, że większość spośród tej szczególnej zbieraniny miałyby poważne trudności z przypomnieniem sobie, po której stronie powinna właściwie walczyć.

I jak Trapp wyjaśnił to pierwszemu oficerowi Papavlahapoulosowi: “W każdym razie trzymamy się z dala od okrętów wojennych. Będziemy mogli działać na własny rachunek i nieźle na tym zarobić”.

Jednak zasady Trappa były wciąż niewzruszone. Nic, co robił, nie mogło zaszkodzić wysiłkowi wojennemu Wielkiej Brytanii. Każda czarnorynkowa whisky, czekolada czy masło, które brał na pokład w dyskretnych miejscach u afrykańskiego wybrzeża wędrowały prosto do rąk aliantów... za odpowiednią cenę. Tak więc nawet moralna strona tych przedsięwzięć była bez zarzutu. W każdym razie z punktu widzenia Anglika-renegata.

Dlatego też Malta, niemal rzucona na kolana przez hitlerowską blokadę, ożywiała się regularnie, spostrzegając, że nowy transport luksusowych towarów jest sprzedawany ukradkowo z ciężarówki, która poprzedniej nocy oczekiwała w maleńkiej zatoczce tuż koło Victoriosa. A pewien starszy stopniem oficer brytyjski, który być może dysponował nieco większym zasobem informacji, niż spodobałoby się to Trappowi, spoglądał jedynie z wyrozumiałością na twarze tych, którzy potrzebowali każdej, najmniejszej nawet dozy otuchy i z rozmysłem odwracał się plecami.

W taki oto sposób wyglądało niezaangażowanie się Trappa w drugą wojnę światową. Dokładnie do chwili, kiedy rozerwał się pocisk oświetlający. A maleńki, grecki marynarz utracił część głowy.

Gdy tylko wybuchnął drugi pocisk oświetlający, Trapp warknął wściekle “Sukinsyny!”, po czym przecisnął się obok martwego Greka do sterówki. Czuł, jak statek stopniowo zwalnia i ponuro tryka w krótkie fale nadbiegające coraz bardziej od strony dziobu, w czasie gdy “Charon” ciągle odpadał w prawo.

...czterdzieści dwa... czterdzieści trzy... czterdzieści cztery... Wciąż nie mógł niczego dostrzec, ale przez skórę czuł, że czas im się kończy. I to szybko.

W wyobraźni Trapp spokojnie przedstawił sobie wszystko, co dzieje się na pokładzie nie zidentyfikowanego zagrożenia kryjącego się poza strefą światła.

Dymiące, mosiężne łuski spadające z brzękiem na pokład... Ładuj! Nowe naboje na podnośnikach połyskujące oleście w poblasku flary... Zatrzaszkujące się zamki.

Ostre jak brzytwy odłamki szkła zgrzytnęły pod jego butami, gdy przyklęknął gwałtownie koło sternika wciśniętego nieporządnie między koło sterowe a pokancerowaną wykładziną tylnej ściany sterówki. Jeszcze więcej szklanych okruchów połyskiwało czerwono z koszmarnego kłębowiska zmasakrowanego ciała. Kapitan poczuł, jak ogarnia go wielka, gorąca fala straszliwej wściekłości...

Zadzwonił telegraf maszynowy. Niespodzianie.

Odwrócił się i popatrzył na wskazówkę telegrafu nic nie rozumiejąc. Ktoś na dole oddzwonił z "Cała naprzód" na "Stop" bez żadnego rozkazu z mostka i Trapp od razu poczuł zmniejszającą się wibrację, w miarę jak zakręcano zawór starej maszyny parowej.

...pięćdziesiąt jeden... pięćdziesiąt dwa... Oczodoły celowniczych opierają się na wyłożonych piankową gąbką osłonach odległych celowników. Dłonie przesuwają się pieszczotliwie po pokrętlach mechanizmów podniesienia i kierunku. Cel... cel... cel... "Achtung Geschutzbeidienung..."

Trapp rzucił się do rury głosowej łączącej mostek z maszynownią "Charona". Wyszarpnął gwizdek i puścił go niedbale na zabezpieczający łańcuszek, a potem dmuchnął gwałtownie, czując, jak z wysiłku pulsują mu żyły na czole.

Daleko na dole drugi, końcowy gwizdek wydał z siebie wysoki, przenikliwy pisk rozpaczny. Trapp dmuchnął ze złością ponownie, potem zaś przyłożył wylot rury do ucha bezsilnie oczekując gwałtownej fali hałasu, która zapowiadałaby nadejście odpowiedzi z maszynowni.

I wreszcie nadeszła. Niechętnie. Po długim wahaniu.

–Maszynownia.

Trapp przyłożył koniec rury głosowej do ust, uświadamiając sobie, iż odczuwa bezmierną wdzięczność, że ktoś, ktokolwiek, wciąż jest z tamtej strony. Warknął lodowatym tonem:

–Tu mostek... Kto, do diabła, rozkazał "Maszyny stop"? Potrzebuję pełnej szybkości i to zaraz. "Jaldi"!

Sardoniczny, gorzki śmiech, który dobiegł do niego z maszynowni, mógł należeć tylko do jednego człowieka. Do pierwszego mechanika Kubiczka.

–Chryste, kapitanie, czyżby uważał pan tę balię za coś w rodzaju prawdziwego

statku? Na czole fali i z wiatrem od rufy możemy wyciągnąć najwyżej osiem węzłów... Te sukinsyny, które do nas strzelają, mogą przegonić "Charona" wpraw.

–Chcę mieć pełną moc, czif. To rozkaz, do cholery!

–No to wyciągnij pan pieprzone wiosła, Trapp. – W głosie Kubiczka dźwięczała beznadzieja. – Gdzieś na pokładzie rozwaliło rurociąg instalacji parowej. Od tej pory tracę ciśnienie. Spadło do dwunastu funtów i leci dalej...

Trapp poczuł, jak udziela mu się cierpienie Kubiczka. Zacisnął rurę głosową z całej siły. – Mamy podpisany z sobą kontrakt...

–Wetknij sobie ten twój kontrakt, Trapp w... – Kubiczek jakby zawahał się przez chwilę, a potem dodał cicho i bez cienia cynizmu w głosie. – Przepraszam, kapitanie. Ale ani ja, ani moi chłopcy nie mamy już nic do roboty tu, na dole. Wychodzimy.

Kapitan puścił rurę głosową i wbił niewidzące spojrzenie w poszarpany, wduszony do środka kwadrat okna sterówki. Nagle i niespodziewanie nie istniała już żadna przyszłość. W każdym razie nie dla Trappa, byłego zawodowego specjalisty od przeżycia. Nie będzie już podróży do zaciemnionych brzegów, podniecającego napięcia przemytniczej gry, zacieklego, bazarowego targowania się o kilkanaście kartonów Whisky albo i tonę przedadresowanego zaopatrzenia Afrika Korps... Nie będzie już Pappy'ego Papavlahapoulosa o błyszczących oczach i pobudliwej lojalności...

...i tylko dawno zapomniane wspomnienie. Wspomnienie innego, starego statku, który nie mógł nawiązać równorzędnej walki, oraz ludzi opuszczających go i umierających, gdy wciąż spadała salwa za salwą. Ale nawet taka śmierć nie będzie przeznaczona "Charonowi". Tamten statek bowiem poszedł na dno z godnością, dumą i wielką odwagą, podczas gdy wszystko, co Trapp miał do zaoferowania swojej wielojęzycznej zgrai bezpieczeństwa nieudaczników, było pełnym wrzasku i torsji zapomnieniem...

...siedemdziesiąt siedem... siedemdziesiąt osiem... siedemdziesiąt dziewięć...

Odwrócił się od okna i ponownie przeszedł nad leżącym w drzwiach człowiekiem. Oko zdawało się go śledzić, to samotne oko Greka, i kapitan zastanawiał się mimochodem, czy rzeczywiście wyraża ono urazę, jaką Pappy mógł żywić do niego za swoją śmierć spowodowaną chciwością i niekompetencją Trappa. Było to niesamowite, wywołujące mrowienie na karku uczucie. Zupełnie jakby był skazańcem oczekującym na śmierć pod oskarżającym cyklopim spojrzeniem poprzedniej ofiary.

Wtedy też Edwardowi Trappowi przytrafiła się bardzo dziwna rzecz.

Kiedy odwrócił się gwałtownie, zobaczył ludzi na pokładzie ochronnym. Ciemne,

niewyraźne sylwetki pracujące w niezwyklej harmonii wokół samotnej, brudnej jak nieszczęście łodzi ratunkowej tuż za kominem.

Z narastającym uczuciem niedowierzania obserwował ich w milczeniu, nie chcąc nawet dopuścić do siebie myśli, że załoga składająca się z tak plugawych, kłótliwych egoistów jak ci na pokładzie "Charona" może kiedykolwiek okazać równie wysoką dyscyplinę jak w obecnej stresowej sytuacji. Dyscyplinę, która mogła napawać dumą każdego kapitana statku.

Było to niepokojące. Ponieważ duma stanowiła uczucie, z którym pożegnał się już dawno temu.

Wreszcie drugi oficer Babikian zauważył go i przez moment zawahał się. W tej samej chwili szalupa bez przeszkód została wychylona na żurawikach za burtę. Na tle ciemnej skóry błysnęły nerwowo białe zęby i Libańczyk zawołał:

–Przygotowaliśmy, kapitanie! Ale nie zejdziemy, dopóki nie będzie konieczne.

I w tym momencie Trapp uzmysłowił sobie, że na pokładzie tego nadającego się na złom statku, gdzie ludzka godność dawno temu zduszona została gruboskórną, egoistyczną obojętnością, znalazł wreszcie tę jedyną rzecz, której być może szukał przez całe życie.

Rzeczywiście został w końcu królem.

Tylko że było już za późno. Cholernie za późno!

Wtedy, po raz pierwszy od chwili, kiedy noc eksplodowała blaskiem, w przygasający krąg światła wślizgnął się groźnie gładki, szary kształt. I wszyscy mogli wyraźnie dostrzec białą flagę marynarki wojennej trzepoczącą arogancko nad precyzyjnie wycelowanymi wieżami działowymi brytyjskiego niszczyciela.

Potwierdzając, jak to już Edward Trapp przyjął z przygnębieniem do wiadomości w chwili eksplozji pierwszego pocisku, że przełamywanie blokady Malty może okazać się zgubne.

I z całą pewnością sprzeczne. Ze szlachetną sztuką... przetrwania.

Rozdział 1

Telefon zadzwonił przeraźliwie, na chwilę zagłuszając nawet dobiegający z północnej części Valletty łoskot bomb i ostrzejsze, bardziej zgrane odgłosy ognia artylerii przeciwlotniczej. Nawet tu, w podziemnym bunkrze czuliśmy pod naszymi stopami drgania i niewielkie wstrząsy, podczas gdy znowu parę zbudowanych z piaskowca domów oraz kilka maltańskich kobiet i dzieci przestało istnieć. Nikt jednak

nie zadał sobie trudu, żeby spojrzeć w górę. Kilka dni wcześniej, 26 lipca wyspa przetrwała swój dwa tysiące osiemsetny alarm przeciwlotniczy.

Poza tym wszyscy patrzyliśmy teraz na telefon.

Admirał sam podniósł słuchawkę. Słuchał przez kilka chwil, a potem odłożył ją i odwrócił się w naszą stronę. Zanim zaczął mówić, widziałem już, że ma złe wieści.

–Przykro mi, panowie. Potwierdzono, że straciliśmy “Eagle”. Zatonął w siedem minut.

Pomyślałem, czując mdłości “O Boże!”, ale nie odezwałem się. Zwykli kapitanowie marynarki tak się nie zachowują. W każdym razie nie w pokoju pełnym starszych stopniem oficerów wojsk lądowych, marynarki i lotnictwa, którzy właśnie przed chwilą dostali kopa w brzuch. Wreszcie ktoś, chyba był to komandor z flotyli okrętów podwodnych, mruknął cicho:

–Dzięki Bogu, mają jeszcze osłonę lotniczą z “Victoriousa” i “Indomitable'a”.

Po kilku chwilach wahania ktoś z końca sali otworzył drzwi i wszyscy wyszli w milczeniu. Tak czy owak narada w sprawie operacji “Pedestal” została zakończona i niewiele można było jeszcze powiedzieć. Pozostało tylko oczekiwanie, a obecnie było to na Malcie powszednim zajęciem.

Zostałem, bo tak mi polecono. Jeszcze przed rozpoczęciem narady. Sądzę jednak, że i tak bym został. Po sześciu tygodniach pętania się bez celu po samym środku tej tarczy strzelniczej na Morzu Śródziemnym jaką była Malta, chyba wdarłbym się do samego Winstona Churchilla, żeby tylko dostać przydział na okręt.

Trzeci oficer z WRENS * wsunęła głowę przez drzwi i zawahała się widząc admirała stojącego plecami do nas, z dłońmi zaplecionymi z tyłu, wpatzonego w wiszący na planie schemat operacyjny. Pokręciłem ostrzegawczo głową, ona zaś, zanim się cofnęła, uśmiechnęła się do mnie jakimś dziwnym, smutnym uśmiechem.

WRNS – Women Royal Navy Service – Kobięca Służba Pomocnicza Marynarki.

Zauważyłem mimochodem, że była całkiem ładna, ale w tej chwili nie miałem na nic ochoty. Może z wyjątkiem dzikiej awantury z admirałem.

Kłopot polegał na tym, że nie bardzo wiedziałem, jak ją zacząć. Nie wiedziałem nawet, dlaczego kazano mi zostać. Gapiłem się więc także na schemat operacyjny odczytując starannie wykaligrafowane nazwy jednostek eskorty biorących udział w operacji “Pedestal”.

Był to spis, który robił wrażenie. Wyglądał tak, jakby ktoś starał się wybrać samą

śmietankę z “Jane's Fighting Ships” – okręty liniowe “Nelson” i “Rodney”, krążowniki “Manchester” i “Cairo”, “Phoebe”, “Kenya”, “Charybdis” i “Nigeria”. Trzydzieści dwa niszczyciele... Wszyscy tam byli, tworzyli żywą historię, a ja mogłem jedynie wściekać się na własną bezsilność.

Ponieważ teraz, wraz z utratą “Eagle'a”, rozpoczął się kolejny etap umierania i nie mogłem przestać myśleć o tym, jak wiele z tych precyzyjnie napisanych nazw zostanie wymazanych ze spisu, zanim to, co pozostanie z rozpoczynających “Pedestal” czternastu frachtowców, będzie mogło przycumować do nabrzeży w Grand Harbour.

I tylko jeden Bóg wiedział, jak bardzo Malta ich potrzebowała, żeby po prostu przetrwać. W ciągu ostatnich kilku tygodni przedarły się tylko dwa transportowce – dwa z siedemnastu wchodzących w skład konwojów “Vigorous” i “Harpoon” – tak, że obecnie sytuacja zaopatrzeniowa była krytyczna. Żywność oraz amunicja dla baterii przeciwlotniczych. Ropa dla okrętów podwodnych działającej z wyspy 10 flotyli. Paliwo lotnicze dla kilku pozostałych Spitfire'ów...

...Zauważyłem, że w spisie figurował jeden tylko jeden zbiornikowiec i wcale nie musiałem być admirałem, żeby zrozumieć, iż będzie on pierwszoplanowym celem dla każdej wyprawy bombowej, każdego samolotu Luftwaffe, które w ciągu najbliższych dni znajdą się nad Aleją Bomb.

Zbiornikowiec nazywał się “Ohio”.

Jego załoga musiała składać się z dzielnych ludzi...

Admirał odwrócił się i spostrzegł, że gapię się na plan. Może odczytał coś w moim spojrzeniu, a może był niezwykle wyrozumiałym człowiekiem, uśmiechnął się bowiem lekko i rzekł:

–Jest tam pan razem z nimi prawda? Duchem...

Nie odpowiedziałem mu uśmiechem.

–Chciałbym być. Ale raczej w materialnej, a nie w duchowej postaci, sir... – zawahałem się, a potem dodałem wyzywająco: – Pętam się tu już od sześciu tygodni, od chwili, kiedy zbombardowano mój ostatni okręt i nie mam nic do roboty poza cenzurowaniem korespondencji marynarzy. Gdyby marynarka wojenna pozostawiła mnie w handlowej, byłbym przynajmniej na morzu.

–Jest pan oficerem rezerwy, Miller. Zdawał pan sobie sprawę, że w czasie wojny dostanie pan przydział do Królewskiej Marynarki.

–Tak jest, sir! Ale nie, z całym szacunkiem, sir, do Królewskiej poczty!

Przez chwilę nic nie odpowiedział. Patrzył jedynie na mnie w zamyśleniu swymi przenikliwymi, szarymi oczyma, a potem odwrócił się gwałtownie i wskazał zawieszony przed nami plan. Kiedy znowu się odezwał, mówił cicho, prawie z roztargnieniem.

–Są to prawdopodobnie najpotężniejsze siły eskortujące, jakie kiedykolwiek zgromadzono w czasie wojny, Miller. Ponad czterdzieści okrętów wojennych. Czterdzieści... I tylko w jednym celu – żeby utorować drogę konwojowi. Czterdzieści okrętów, żeby osłaniać czternaście...

Znowu odwrócił się w moją stronę i zobaczyłem, jak napięcie psychiczne wyłobilo bruzdy na jego ogorzałych skroniach.

–A mimo to uważałbym się za cholernie szczęśliwego, gdyby dotarły tu trzy, a nawet tylko dwa transportowce.

Odpowiedziałem “Tak jest!”, bo wiedziałem, że ma rację i nie było tu nic do dodania. A poza tym przeczuwałem, że w tym wszystkim musi tkwić jakiś haczyk. I nie omyliłem się.

–Niech mi więc pan powie, kapitanie, jak, na litość boską... – admirał zaczerpnął głęboko powietrza i pokręcił głową z niedowierzaniem – nie uzbrojony, opalany węglem parowiec o maksymalnej prędkości ośmiu węzłów, bez dostępu do danych wywiadu, informacji o sytuacji minowej, o bezpieczeństwie tras, bez radaru i nawet bez cholernej radiostacji... Jak to możliwe, żeby prowadził przemyt między tą oblężoną fortecą i wybrzeżem Afryki Północnej z regularnością... promu z Birkenhead, niech to diabli!

–No cóż, to niemożliwe, prawda? – wymamrotałem. – Chyba, że przypadkiem jest to opalany węglem okręt podwodny. Oczywiście, z przydzielonym mu na stałe aniołem stróżem.

W tym momencie przekonałem się, że admirał istotnie jest bardzo wyrozumiałym człowiekiem, gdyż na moją jawną bezczelność nie zareagował nawet uniesieniem brwi. Odpowiedział równie cichym głosem jak poprzednio:

–Och, ale tak było, Miller! Regularnie. Przez ostatnie czternaście miesięcy!

Dostrzegłem wyraz oczu admirała. I wcale nie było w nim rozbawienia. Ani trochę. Nic takiego, co pozwoliłoby przypuszczać, że wymyślił sobie tego przemytnika-widmo, żeglującego radośnie wśród padających bomb i pocisków jakimś niewiarygodnie zabytkowym parowcem.

Westchnąłem więc tylko: – Dobry Boże!

Słabiutko.

I wtedy admirał po raz pierwszy się uśmiechnął.

Wehikuł przemytnika zobaczyłem dwie godziny później.

Przyprowadzono go bardzo wcześnie rano i teraz stał przycumowany do burty wypalonego statku, który i tak był już dość leciwy, kiedy dobrały się do niego Stukasy. Potem marynarka zdemontowała z jego pokładu wszystko, co od biedy mogło się przydać, a mimo to wyglądał o niebo lepiej niż łamacz blokady Trappa.

I był równie zdatny do żeglugi, choć należy tu wspomnieć, że ofiara bombardowania była solidnie osadzona na dnie basenu portowego.

Tymczasem ja miałem zadanie zlecone mi przez admirała. Dość szczególne i bardzo satysfakcjonujące zadanie.

Przeszedłem ostrożnie przez powyginany żarem pokład wraku, kierując się w stronę "Charona". Przed paroma minutami odwołano alarm i w chwili obecnej o minionym nalocie przypominały jedynie dzwonki karetek i wozów strażackich dobiegające z centrum miasta oraz kolumna dymu wzbijająca się niemal pionowo w bezchmurne niebo nad stoczną wojenną. Na nabrzeżu, za moimi plecami, naga do pasa obsługa armaty przeciwlotniczej kalibru 3,7 cala wyrzucała za otaczające ich stanowisko ogniowe worki z piaskiem wystrzelone łuski. Artylerzyści robili to tak nonszalancko, iż bez trudu można się było zorientować, że czynili to już wielokrotnie.

To jednak "Charon" w hipnotyczny, niewiarygodny sposób przykuwał teraz moją uwagę. Patrzyłem na niego i czułem pewien niechętny podziw do Trappa, każdy bowiem, kto zdołał żeglować takim rozpadającym się statkiem pomiędzy Afryką i Malta, unikając przy tym spotkania z czymkolwiek okrętem wojennym – musiał być prawdziwym marynarzem. A poza tym chciwym, nieodpowiedzialnym ryzykantem owładniętym niewątpliwie pragnieniem samozniszczenia.

Statek miał około dwustu pięćdziesięciu stóp długości, pokład ochronny zaś sięgał od rufy gdzieś do jego połowy. Wysoki, piszczątkowaty komin wznosił się nad łukiem drugiej ładowni, którego pokrywa obciążona była połatany brezentem prawie tak samo brudnym jak pokład. Mniej więcej na śródkręciu znajdował się otwarty mostek, na którym ktoś kiedyś wybudował coś, gdzie mogli chronić się wachtowi, co mogło nazywać się sterówką, zanim podmuch eksplozji nie przywrócił poprzedniej, dość spartańskiej klimatyzacji. Przedni pokład otaczał pierwszą ładownię o wielkich, skorodowanych furtach wodnych wzdłuż luków odpływowych i wznosił się lekko w stronę małego pokładu dziobowego, na którym kawałek odstrzelonej windy kotwicznej wciąż jeszcze sterczał ponuro na poszarpanych deskach. Poobijana, sponiewierana stewa dziobowa była tak prosta i nieubłagana jak pion mierniczy.

Każdy cal kwadratowy owej karykatury jednostki pływającej był albo pokryty warstwą rdzy, albo warstwą brudu. Rozhuśtane maszty miały takie szpary, że chłopak okrętowy mógłby bez trudu włożyć w nie palec, podczas gdy to, co dla śmiechu można by nazwać sztagami, miało tyle poprzerrywanych drutów, że przypominały raczej szelki ze skamieniałej wełny angorskiej. W kominie widniała dziura o rozmiarach mniej więcej kalibru czterocalowego działa morskiego i była to jedyna starannie wykończona rzecz na całej tej łajbie.

Poza jeszcze jednym elementem, arcygroteskową w swej nedorzeczności częścią tego ohydneho parowca... widoczną u szczytu trapu i witającą każdego wchodzącego na pokład, była najstaranniej utrzymana i najbardziej elegancka tablica z nazwą statku, jaką w życiu widziałem. Połyskujące, ręcznie grawerowane litery z mosiądzu osadzone były na wypolerowanej do połysku mahoniowej tablicy, która mogła stanowić powód do chluby dowódcy okrętu liniowego. Oznajmiały one z całym bezwstydem, że stawiasz oto stopę na pokładzie, Boże, miej w swojej opiece tych, którzy na nim pływają – parowca “Charon”.

Z najwspanialszą ironią nazwany, pomyślałem, imieniem legendarnego marynarza, który przewoził dusze potępionych przez Styks.

Do Hadesu.

Z ociąganiem oderwałem wzrok od tablicy i ruszyłem w stronę pomostu łączącego oba statki. Gdy się zbliżyłem, uzbrojona warta składająca się z dwóch znudzonych marynarzy, stanęła na baczność. Po zdawkowym zerknięciu na moją legitymację pozwolili mi przejść, wymieniając między sobą wzruszenie ramion, które mogło oznaczać: “Tylko szaleńcy spieszą tam, gdzie aniołowie boją się stąpać!”

Zawahałem się chwilę przed wspaniałą tablicą z nazwą statku, wziąłem głęboki oddech i postawiłem nogę na warstwie brudu pokrywającej pokład “Charona”. Miałem nadzieję, że to pudło nie zatonie, zanim z niego nie zejdem.

Prawie natychmiast drzwi nadbudówki uchyliły się i w szczelinie ukazało się patrzące podejrzliwie oko. Wbiłem w nie przenikliwe spojrzenie i po chwili drzwi otworzyły się szerzej. Zrębnicę przekroczył potężny, krępy, osmagany wiatrem jak galion klipra mężczyzna. Łapy miał jak półmiski i agresywnie wysuniętą szczękę. Wyczuwało się w nim jakąś profesjonalną czujność i pełną wewnętrzną godności niechęć z powodu mojej obecności na pokładzie. Zastanawiałem się, czy załoga “Charona” zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji, w jakiej się znalazła.

Miałem nieprzyjemne uczucie, że przynajmniej jeden z jej członków nie. I wcale nie ułatwiło mi to zadania.

–Kapitan Trapp – rzuciłem krótko – chcę go widzieć.

Oczy mężczyzny patrzyły na mnie spokojnie i zaczynałem odnosić niemiłe wrażenie, że inne oczy równie badawczo przyglądają mi się z różnych zakamarków statku. Czułem się tak, jakbym znalazł się w zupełnie innym świecie. Świecie, w którym przemoc i podstęp szły w parze z osobliwym rodzajem buntowniczego, banickiego koleżeństwa.

Był to świat, do którego ani ja, ani inni zwyczajni, normalni ludzie nie mamy po prostu dostępu.

Mężczyzna wzruszył ramionami i ostentacyjnie odwrócił się.

–Tylko że on nie będzie się chciał z panem widzieć. Ani z panem, ani z żadnym innym facetem z Royal Navy.

Zablokowałem drzwi nogą, zanim zdołał je zamknąć, i postanowiłem zastosować mniej konwencjonalne metody marynarki handlowej.

–No to niech lepiej zmieni swoje pieprzone zdanie – warknąłem ponuro. – Zanim polecę służbie sanitarnej, żeby zdezynfekowała tę łajbę. Za pomocą cholernej zapałki!

Postać w drzwiach zatrzymała się gwałtownie i dostrzegłem w jej nagle znieruchomiałych, barczystych ramionach hamowane napięcie. Mężczyzna bardzo wolno odwrócił się i popatrzył na mnie.

Próbując opanować nerwowy tik w kąciku ust, pomyślałem z rezygnacją: Teraz rzeczywiście napytałeś sobie biedy, głupku... – ale mimo to zbliżyłem twarz do jego twarzy, schwyciłem mocno kant hełmu, żeby w razie potrzeby wyrznąć nim na odlew i dodałem z całą złośliwością w głosie, na jaką było mnie stać:

–No to sprowadźcie mi kapitana, człowieku. Biegiem!

Przez chwilę oczy potężnego mężczyzny wpatrywały się we mnie z wyrazem... czy to rzeczywiście mogła być dezaprobata na litość boską? Ze strony jakiegoś marynarza z nędznego, rozpadającego się wraku jak ten? A potem z wyraźną ulgą zauważyłem błysk zdziwienia, albo może niechętnego uznania?

–Właśnie pan na niego wrzeszczy, panie. Ja jestem Trapp... – zerknął na plecionkę moich naszywek na rękawach – i może powinienem panu powiedzieć, że gdyby nie był pan rezerwistą, to wykopałbym pana razem z tym pańskim mundurkiem za burtę.

–Gdybym nie był rezerwistą, Trapp – warknąłem krótko – byłbym teraz na pokładzie prawdziwego okrętu. A nie bawiłbym się w chłopaka na posyłki na tej przerdzewiałej kopii pływającego burdelu z Port Saidu!

Zobaczyłem, jak jego łapska mimowolnie zaciskają się, ale jednak odpowiedział mi z lodowatym spokojem:

–Nie biorę udziału w tej wojnie. To statek neutralny.

–To statek przemytniczy. Który znajduje się pod ścisłym aresztem w alianckim porcie w czasie wojny. A to oznacza, że ma pan kłopoty, kapitanie. Że siedzi pan w nich po swoje neutralne uszy.

Staliśmy nos w nos patrząc na siebie z niemal komiczną wściekłością. Nie przypuszczam, by któryś z nas usłyszał narastające wycie syren, kiedy Valletta szykowała się na przyjęcie kolejnego nalotu. W gruncie rzeczy, tylko gdzieś na krańcach świadomości zarejestrowałem, że na południowym krańcu wyspy artyleria otworzyła ogień. Tymczasem Trapp odezwał się ponownie:

–Biegnij pan z powrotem i powiedz swoim szefom, że nie mają prawa przetrzymywać tego statku. Powiedz im pan, że to Royal Navy ma kłopoty. Otworzyła ogień do neutralnego statku, zabiła mojego pierwszego oficera i jeszcze jednego biedaka, który tylko spełniał swoje obowiązki... wdarła się na pokład i groziła...

Kątem oka dostrzegłem, że obsługa dział przeciwlotniczego na nabrzeżu poderwała się do gorączkowego działania. Ktoś ryknął: – Alarm... Wszyscy na stanowiska! – a celownicy wślizgnęli się na swoje siedzenia sięgając natychmiast do pokręteł naprowadzania.

Trapp zignorował ich całkowicie, zupełnie jakby nie istnieli. Podobnie zresztą potraktował Luftwaffe.

–...ten statek nie pływa pod żadną banderą, nie należy do żadnego kraju. Jestem wolnym kupcem i prowadzę interesy. Kupuję i sprzedaję. Teraz mam ładunek whisky, holenderskiego dżinu, kawy i osiemdziesiąt pięć skrzyń konserw rybnych, więc gdyby cholerne marynarce wojennej tak bardzo zależało na tym, żeby coś zrobić dla biednych sukinsynów na tej wyspie, to mogłaby sięgnąć do kieszeni i zapłacić mi za to... a nie porywać mnie jak jacyś pieprzeni piraci z szarymi kominami...

Z nabrzeża: – Nieprzyjaciel... plus czterdzieści... cel nisko lecący... namiar jeden dziewięć pięć!

–Jest pan pasożytem, Trapp – stwierdziłem zimno. – Korzysta pan z sytuacji i robi na wojnie interesy. Zarabia pan na niej... Ale teraz pańskie szczęście się skończyło. Wojna dopadła pana i pańską zbieraninę zwaną załogą razem z tą cholerną, wołającą o pomstę do nieba kupą złomu, którą nazywa pan statkiem.

Nagły ryk silników lotniczych od strony morza. W tej samej chwili zobaczyłem oczy Trappa i zawahałem się. Była w nich uraza, wyraźna chciwość, ale było coś jeszcze...

Szczera, prawie fanatyczna wiara, że to on ma rację i tylko cała reszta tego wrednego świata idzie nie w nogę.

Warkot dobiegający od strony morza przeszedł w nie zsynchronizowane wycie, które narastało z każdym ułamkiem sekundy. Uświadomiłem sobie, że obaj stojący dotąd na warcie marynarze biegną, żeby ukryć się w wypalonej nadbudówce sąsiedniego statku, a ze stanowiska działa słycać suche, rzeczowe komendy.

–Pojedynczy Messerschmitt jeden jeden zero. – Ze stanowiska rozpoznania celów.

Lufa działa pochylała się w dół i obracała w stronę wejścia do portu.

–Cel widzę.

–Nastawa sześć.

–Nastawa sześć... gotowe.

–Pora się schować, Trapp – powiedziałem napiętym głosem i zacząłem się zastanawiać, gdzie, u diabła, można się ukryć na takiej łajbie z przerdzewiałej bibułki, jaką był “Charon”.

Trapp potrząsnął głową i wyszczerzył zęby w szyderczym, okrutnym uśmiechu.

–To pańska cholerna wojna... kapitanie!

Zacząłem wykonywać “padnij”, gdy tymczasem ryk silników przeszedł w grzmiące wycie. Dostrzegłem dwusilnikowy bombowiec mknący tak nisko nad basenem portowym, że podmuch śmigieł pieniał wodę za jego sterami, a potem wtuliłem się w zaoblenie nadburcia “Charona” pakując przy okazji palce w przerdzewiałe brud wypełniający luki odpływowe.

Już to kiedyś przeżyłem. Potrzebowali dokładnie trzech minut, żeby zatopić mój ostatni okręt.

Mrozące krew w żyłach wycie silników Daimler-Benz przy prędkości trzystu sześćdziesięciu mil na godzinę... Więcej samolotów, tuziny cholernych samolotów wysoko nade mną, wszystko przemieszane z obłokami wybuchów artylerii przeciwlotniczej... każde działo na Malcie strzelające ogłuszająco...

Z nabrzeża... bardzo głośno: – PAL! BAM!

Drugi samolot w moim polu widzenia – leci nisko, pochylony w ostrym zakręcie, dym wali z jego prawego silnika... wycie Stukasów nurkujących nad śródmieściem Valletty... potworna eksplozja gdzieś w głębi wyspy. Bam!

I znowu działa 3,7 tuż obok... BAM!

Poczułem uderzający podmuch, kiedy pierwszy Messerschmitt przemknął tuż nad burtą "Charona". Otwarte w kadłubie drzwi bombowe przypominały rozpruty brzuch, a dwa działa u dołu nosowej sekcji kadłuba migotały żółtymi rozbłyskami... Dziury pojawiające się dwoma zabawnie wężykowatymi, równoległymi szeregami na łuszczącym się pokładzie "Charona"... Trapp! Gdzie jest na litość boską, Trapp?...

Przekręciłem się twarzą do góry i zobaczyłem go. Wciąż stał i groził pięścią oddalającemu się samolotowi i mimo panującego wokół piekielnego hałasu dobiegały do mnie wiązanki najobrzydliwszych międzynarodowych przekleństw, jakich kiedykolwiek używano...

Powoli podniosłem się na nogi. Działa wciąż strzelały, a wyspa dygotała pod detonacjami niemieckich bomb, ale kiedy zobaczyłem reakcję Trappa na demonstrowaną przez resztę świata koncepcję cywilizacji, przestałem się przejmować. Nie teraz. Nagle przypomniałem sobie, po co zostałem posłany na "Charona". Na pokład statku, który nie chciał mieć nic wspólnego ze sprawami, które nie przynoszą zysku. Takimi, jak obrona kraju i wolności.

Zacząłem się śmiać. Trapp odwrócił się w moją stronę z twarzą jak chmura gradowa i choć wiedziałem, że nie doceni całej ironii zaistniałej sytuacji, nie byłem w stanie ukryć sarkazmu:

–Och, ale teraz to już jest pańska wojna, Trapp. Pana i "Charona". Wysłano mnie, żebym to panu powiedział. Ponieważ został pan powołany do służby, Trapp. Zmobilizowany. Pan, pański statek i ta kupa nieudaczników, którą nazywa pan załogą. Powołany... żeby walczyć za swój kraj. Bez nadziei na najmniejsze nawet zyski.

Rozdział 2

–No i...

–Powiedział, że może się pan wy... – przerwałem, uświadomiwszy sobie, gdzie się znajduję. – Trapp na to nie pójdzie, sir. Twierdzi, że choć jest Brytyjczykiem z racji swojego urodzenia, to i tak przekroczył wiek obowiązkowej służby wojskowej.

Admirał nie robił wrażenia szczególnie zaskoczonego. Stwierdził jedynie sardonicznie:

–A więc nie ma w nim drzemających uczuć patriotycznych. Niemniej, jak pan stwierdził, ten człowiek jest Brytyjczykiem.

–He! – mruknąłem z goryczą.

–Czy powiedział mu pan, co chcielibyśmy, żeby dla nas robił? O tym... hmm... trochę nietypowym zajęciu, które mieliśmy na myśli?

–Nie, sir. – Nie byłem w stanie ukryć irytacji. – Przede wszystkim ze względów bezpieczeństwa. Trapp jest ogarnięty żądzą zysku i obawiam się, że mógłby sprzedać cały ten pomysł Szwabom... choć nie przypuszczam, żeby byli na tyle szaleni, aby mu uwierzyć!

–Czy uważa pan tę propozycję za aż tak wygórowaną, Miller?

–Sądzę, że jest to najbardziej absur... spojrzałem znacząco na naszywki na jego rękawie, ale admirał uniósł tylko w niemym pytaniu brew. Ciągnąłem więc dalej: – Uważam, że cała ta operacja, nawet jeżeli powierzmy ją najlepszemu z będących w naszej dyspozycji ludzi i damy mu specjalnie przygotowaną jednostkę, jest w najlepszym razie samobójcza... Wysłanie z taką misją Trappa i jego groteskowego zbiega ze stoczni złomowej, którego nazywa statkiem, wydaje mi się pomysłem poronionym, całkowicie niepraktycznym, i z góry skazanym na zagładę. Sir!

Admirał wcale nie wyglądał na zmartwionego. Chyba raczej na zadowolonego.

–Musimy więc jedynie wierzyć, że nasi przyjaciele ze sztabu Kriegsmarine odrzucają taką właśnie możliwość z równie logicznie umotywowaną pogardą.

–Trapp już ją odrzucił – wrzuciłem ramionami. – Nawet gdy zaznaczyłem, że jedyną alternatywą jest więzienie, podejrzewamy bowiem, iż jest agentem wroga...

Mój głos powoli zamierał, czułem ogarniające mnie powątpiewanie. Z jakiegoś powodu admirał sprawiał wrażenie niezmiernie z siebie zadowolonego. Z powodu, którego najwyraźniej nie było mi dane obecnie rozumieć. Dostrzegł mój niepewny wygląd i uśmiechnął się dodając mi odwagi.

–Nie sądzi pan, żeby go to zmartwiło, prawda? Możliwość uwięzienia?

–To twardy skur... Na dobrą sprawę, sprowokuje nas, żebyśmy go zamknęli, niech go diabli! Powiedział, strasznie z siebie zadowolony, że zaskarży Admiralicję o bezprawne zatrzymanie, gdy tylko wojna się skończy. Przed szwajcarskim sądem, albo gdzieś indziej. Wyraził przekonanie, że odszkodowania przewyższą wszystko, co "Charon" zarobił w ciągu dwudziestu lat.

Nie odniosłem jednak wrażenia, żeby admirał poczuł się tym szczególnie przejęty. Zdawało mi się, że przez chwilę patrzy z namysłem w przestrzeń, aż wreszcie spojrzał gwałtownie w górę i rzucił ostro:

–W porządku, Miller! Niech pan idzie do stoczni. Poleciałem im przygotować prowizoryczne szkice, będą więc pana oczekiwali. Ale musi ich pan mocno

przycisnąć. Cholernie mocno...

Z uporem obstawałem przy swoim. Jeżeli chodzi o mnie, uważałem, że straciłem już zbyt wiele czasu na przegraną sprawę. Szczególnie na tak beznadziejną jak ta.

–Sir... Chcę pana prosić, żeby mnie pan wysłał z powrotem na morze. Nie jestem ani specem od administracji, ani planistą “Pedestal” zaś ma jeszcze długą drogę przed sobą.

Wstał i uspokajającym gestem położył mi dłoń na ramieniu.

–Niech pan ruszy sprawę “Charona”, a ja osobiście zapewniam pana, że zostanie pan odkomenderowany na morze, Miller. Ma pan na to moje słowo.

Spojrzałem na niego z wdzięcznością, po raz pierwszy bowiem od czterech miesięcy poczułem powiew nadziei. Aż do momentu, kiedy przypomniałem sobie nie okazującego najmniejszej skruchy, nieustępliwego szypra skaczącego w obłudnej wściekłości, kiedy strzelał do niego nie jakiś tam młodszy oficer marynarki, lecz samolot, i natychmiast upadłem na duchu.

–Pozostaje ciągle sprawa Trappa – mruknąłem z rozgoryczeniem. – Nie wydaje mi się, żebym zdołał wpłynąć na zmianę jego stanowiska...

Dłoń admirała poklepała mnie po ramieniu, dodając mi otuchy.

–Niech pan o nim zapomni. Proszę tylko dopilnować, żeby “Charon” pod każdym względem był gotowy do wykonania zadania, które mu wyznaczamy, a całą załogę weźmiemy z naszej Floty.

–No, a Trapp?

Zatarł dłonie, jakby na to właśnie czekał.

–Niech pan pozostawi go mnie. Co, kapitanie?

Skinąłem ufnie głową. Szczęśliwy. Nic już by mnie nie obchodziło, gdyby tylko zdjęto mi Trappa z karku.

Poza tym, miałem słowo w sprawie, na której najbardziej mi zależało.

Słowo admirała. I dżentelmena.

W stoczni nie straciłem zbyt wiele czasu.

Staliśmy wszyscy wokół stołu, patrząc z osłupieniem na prowizoryczne plany “Charona”. Jego linie teoretyczne i przekroje nakreślone na papierze jeszcze

bardziej przypominały gryzmoły zrobione na marginesie przez jakiegoś zwariowanego karykaturzystę. A to, co mieliśmy zamiar zrobić z tym statkiem, podnosiło cały ten problem na wyżyny czystego szaleństwa.

Szef Biura Projektów Marynarki z zakłopotaniem przestąpił z nogi na nogę. – Bardzo mi przykro, panowie, ale ten statek rzeczywiście tak wygląda. Mój asystent osobiście sprawdził wszystkie pomiary. Trzykrotnie.

W milczeniu wskazałem nałożony na plan szkic wykonany czerwonym ołówkiem. Wzruszył przepaszającym gestem ramionami. – To proponowane przeróbki i... hmm... uzupełnienia. Admirał sformułował swoje żądania bardzo stanowczo.

–Ale czy to będzie w stanie utrzymać się na wodzie, razem z tym wszystkim, co wpakujemy mu do środka? – zapytał ktoś z niedowierzaniem.

Szef Biura Projektów zamknął na chwilę oczy. – Nie będzie. Nawet jeżeli wypełnimy całą resztę rozdrobnionym korkiem. Ale zgodnie z moimi obliczeniami, tak czy owak nie mógł... teoretycznie, a w gruncie rzeczy nigdy nie mógł.

Naczelny projektant parsknął z irytacją. – Oczywiście, cała ta cholerna sprawa nie wchodzi w grę.

Komandor porucznik z zaopatrzenia westchnął: – Tu się nic nie da zrobić. Absolutnie nic.

Artylerzysta uśmiechnął się z politowaniem. – Zatonie w czasie pierwszej próby. To zupełnie niemożliwe.

–Kiedy więc będzie gotów? – zapytałem twardo.

–Może być od czwartku za tydzień?

–Bardzo panom dziękuję.

Wyszedłem. I zamknąłem za sobą drzwi. Cichutko.

Chcesz ochotników do wykonania zadania specjalnego? – kapitan z wydziału personalnego powtórzył z niedowierzaniem. – Specjalne zadanie na pokładzie tego?

–To admirał chce, Micky – poprawiłem go. – Jeżeli chodzi o mnie, możesz ich nawet sprowadzić pod strażą. Żeby się stąd wyzwolić, muszę mieć ilość, nie jakość.

Czułem lekkie wyrzuty sumienia z powodu swojego cynizmu, ale z drugiej strony przypuszczałem, iż jest mało prawdopodobne, aby przyszła załoga "Charona" przeżyła więcej niż kilka dni od chwili wyjścia w morze i byłoby czymś nader

nierozsądnym dopuścić, by śmietanka Royal Navy poszła na dno razem z tą łajbą.

–Oczywiście, zdajesz sobie sprawę – Micky wzruszył ramionami – że dostaniesz wszystkich niepoprawnych drani, o których każdy zastępca dowódcy we Flocie Śródziemnomorskiej modli się, żeby ich szlag trafił w pierwszej walce. Albo chociaż podczas rozróby w knajpie – i do diabła z dobrym imieniem statku.

Uśmiechnąłem się z wyższością. Miałem admirała po swojej stronie.

–Nie ja, stary. Kiedy załatwię tę sprawę, natychmiast tu wrócę, żeby ci pomóc znaleźć dla mnie jakieś idealne skierowanie na doskonały okręt.

Otworzyłem drzwi i mrugnąłem do niego.

–Chcesz dobrą radę? Z pierwszej ręki?

Spojrzał na mnie smętnie. A przecież znał tylko część tej bajecznej historii.

–Jeżeli będziesz szukał kogoś na zastępcę dowódcy na “Charona” – powiedziałem szczerze – upewnij się, że wybrałeś kogoś, kogo naprawdę nienawidzisz.

Dopiero kiedy byłem za drzwiami, przyszła mi do głowy inna myśl.

Że to niemożliwe. Że nikt nie może nikogo nienawidzić aż do tego stopnia.

–Jestem taktykiem, a nie cholernym cudotwórcą, Miller.

Oficer planowania sztabowego patrzył na mnie nieszczęśliwym wzrokiem, a ja starałem się udawać, że mu współczuję.

–Doskonale rozumiem, sir, że jest to istotnie poważny problem. Ale admirał sprawia wrażenie pełnego zapału...

–Admirał sprawia wrażenie, że przestaje panować nad sytuacją, u diabła!

–Tak jest! – odwróciłem się, żeby wyjść. – Może powinienem przekazać mu pańską opinię i zobaczyć, czy nie zechce...

–Niech pan wróci, Miller!

Jego głos był ostry jak brzytwa. Miałem uczucie, że utraciłem kolejnego przyjaciela.

–Tak jest, sir?

Uśmiechnąłem się do mnie wymuszonym uśmiechem w stylu “między nami mężczyznami” i prawie mu się udało nie okazać nienawiści w spojrzeniu. – To tylko

dlatego, że nas tu trochę ostatnio naciskają... hmm... kapitanie. Wydaje się, że trochę szkoda czasu na dokładne przygotowanie czegoś... no cóż... co sprawia... hmm...

–Skazanego z góry na przegraną, Sir? – odpowiedziałem mu. – Na długo zanim plany, które będzie pan musiał opracować, będą mogły zostać wprowadzone w życie?

–Tak, do diabła!

–Ale mimo wszystko mogę powiedzieć admirałowi, że pan przy...

–Wynoś się, Miller! Wynoś się!

Zamknąłem ostrożnie drzwi za sobą i oparłem się o nie, czując ogarniającą mnie błogą ulgę. A więc w końcu udało mi się uwolnić z tej przeklętej wyspy. Teraz musiałem już tylko popychać robotę, a biorąc pod uwagę, że życzenia admirała były dobrym instrumentem nacisku, nie powinno mi to sprawiać trudności. Do licha, stary zgodził się nawet okiełznać dla mnie krnąbrnego kapitana Trappa.

Byłem już prawie na morzu, tam gdzie chciałem. A tam moje spotkanie z s8s “Charonem” będzie już tylko płowiejącym, trochę niewiarygodnym wspomnieniem mającego się wkrótce zakończyć koszmaru.

W tej samej chwili zacząłem dygotać z niewiadomego powodu. Było to niesamowite wrażenie – zupełnie jakbym poczuł lodowate dotknięcia jakiegoś jeszcze nie znanego, ale ohydneho upiora.

Zupełnie jakbym był jedną z owych potępionych dusz. Oczekujących na przewiezienie przez Styks do Hadesu.

Znowu poczułem ten niezwykły dreszcz. Stało się to, gdy tylko ponownie zobaczyłem “Charona”.

Być może sprawił to jego wygląd. Stał przymocowany do porzuconego, wypalonego wraku i nawet promienie niskiego, wieczornego słońca nie docierały do jego odrapanego, zaniedbanego pokładu. Dwa statki przytulone do siebie po bitwie. Jeden już martwy, a drugi oczekujący na cios łaski nieprzyjaciela.

Zauważyłem, że od czasu mojego ostatniego pobytu warta została wzmocniona. Gdy zbliżyłem się do pomostu, wystąpił bosman-artyleryzista i zasalutował. Pozostałych dziesięciu marynarzy było rozmieszczonych wzdłuż burty wraku na całej długości “Charona”. Każdy z nich był potężnie zbudowany, każdy ponuro ścisnął karabin i każdy z nich sprawiał wrażenie, jakby marzył o chwili, kiedy będzie mógł odłożyć broń i rozprawić się z załogą pewnego statku w bardziej tradycyjny dla

marynarzy sposób – za pomocą pięści, butów, butelek i prądnic hydrantów.

Po drugiej stronie luki dzielącej dwa obszarpane statki, mniej więcej w proporcji jeden na jeden, tkwili w nonszalanckich pozach członkowie załogi s8s “Charona”. I mimo że spodziewali się najgorszego, okazało się, że są oni dziesięć razy bardziej “barbarzyńscy” i obrzydliwi, niż myślałem. Niewątpliwie Trapp zgromadził na jednym statku najparszywszą, najbardziej kosmopolityczną i niebezpieczną zgraję zbirów, jaką kiedykolwiek udało się zebrać w rynsztokach slumsów różnych krajów.

Moja opinia o Trappie uległa gwałtownej poprawie. Wcale nie dlatego, że podzielałem jego gust w doborze personelu, ale ze względu na jego widomą, niezrównaną umiejętność utrzymania się przy życiu nawet wśród tak morderczej zgrai. Nie mówiąc już oczywiście o stworzeniu z nich, choćby w najogólniejszych zarysach, czegoś, co przypominałoby załogę.

–Czy mogę panu w czymś pomóc, sir?– zapytał bosman sztywno.

Owszem, pomyślałem z rozmarzeniem. Proszę wyholować tych sukinsynów na pełne morze i zatopić... Ale zawahałem się. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że właściwie nie wiem, po co przyszedłem. Cóż to za nieodgadniony powód skierował mnie w stronę statku, którego przez cały dzień usiłowałem się pozbyć? Coś w tym było, jakaś perwersyjna fascynacja, która mnie pociągała... A może był to tajemniczy kapitan Trapp?

–Jestem Miller – okazałem legitymację. – Przydzielony do sztabu.

–Tak jest. Powiedziano mi o panu.

Sprawiał wrażenie faceta, który na co dzień jest dość tolerancyjny, ale teraz ma już wszystkiego dosyć. Skinąłem głową w stronę odrapanego frachtowca.

–Kłopoty z tubylcami, co?

–To kompletni wariaci, cała ta cholerna banda. Zupelne świry – wyją, robią miny, rzucają różnymi rzeczami. A my mamy wyraźny zakaz wchodzenia na pokład... – oczy rozświeciły mu się nagle, jakby dostrzegł źródło niewyobrażalnej rozkoszy – może któryś z nich spróbuje urwać się na brzeg? Bardzo bym chciał, o Jezu, jakbym tego chciał. Szczególnie, żeby to był ten szkocki dupek – o ten. Ten, którego nazywają Gorbals Wullie.

Gdy tylko to powiedział, zobaczyłem szczupłego, wyglądającego na niedożywionego człowieczka w czapce z daszkiem, wspinającego się zręcznie po przerdzewiałym trapie na pokład ochronny “Charona”. Staął i dwoma palcami zaczął gestykulować w moją stronę.

–Hej, te... łoficerku w piknym mundurku. Chodź no tu i pokaż, czy będziesz taki chojrak bez tej bandy za plecami.

Instyktownie czułem, jak bosman zaciska tęsknie pięści, ale ze stoickim spokojem patrzyłem poprzez lukę między statkami.

–Doskonale was rozumiem, bosmanie. Czy kapitan Trapp próbował jakoś na nich wpłynąć, czy po prostu jest to mu obojętne?

Gorbals Wullie dalej wywrzaskiwał swoje szydercze wyzwania:

–No, chódź tu, Jasiu, chódź i pokaż, co potrafisz, Marynisynku!

Stojący obok nas mat odezwał się błagalnym tonem:

–Niech mi pan pozwoli, sir! Dobrze? Tylko na dwie minutki, proszę!

–Ani kroku z miejsca, chłopie – warknął bosman. – Trappa nie ma, sir. Oficer żandarmerii zabrał go na brzeg pół godziny temu. To dlatego zaczęli podskakiwać.

Człowieczek w czarnej od smaru czapce niemal tańczył w miejscu, wymachując histerycznie pięściami.

–Pieprzony łoficerek... Pieprzony łoficerek...

Zobaczyłem, że przeciwnicy ze swojego stanowiska na nabrzeżu z zainteresowaniem obserwują cały spektakl, natomiast pozostała część załogi “Charona” jakby zrezygnowała ze swej osobliwej walki z uzbrojoną wartą i poczęła bezładną grupką przesuwać się w stronę schodni rufowej. O Chryste, pomyślałem ze znużeniem. Widzę, że albo będę musiał bić się z tym idiotą Wullie'em, albo go zastrzelić...

–Pieprzony łoficerek... Pieprzony łoficerek...

Aż wreszcie stało się. Biorąc pod uwagę, czym był “Charon”, musiało się to stać. Prawe ramię człowieczka wykonało nagle gwałtowny wymach i coś błysnęło w zmierzającym słońcu lecąc w moją stronę. Usłyszałem brzęk szkła, kiedy butelka rozbiła się za mną o stalową ściankę za moimi plecami i poczułem, jak ostry odłamek wbija mi się w policzek.

Było to ostatnie ziarnko piasku położone na grzbiecie wielbłąda, którego cierpliwości nadużywano zbyt długo.

Mat wrzasnął wściekle “skurwysyny” i rzucił się do przodu, bosman ryknął: – Ani kroku, wy... – ale jego słowa utonęły już w szczęku odrzucanych karabinów.

Uzbrojona warta samorzutnie się rozbroiła i jak jeden mąż popędziła w stronę luki oddzielającej oba statki.

Czułem, jak krew kapie mi na kołnierz, i pomyślałem z przygnębieniem: Ten cholerny, zawszony statek... A wtedy dostrzegłem wyraz twarzy bosmana, którego cały zdyscyplinowany, uporządkowany świat zawałił się w jednym momencie, grzebiąc jego karierę. Bosman zaczął nagle uśmiechać się szerokim, beztroskim uśmiechem świadczącym o bezmiarze ogarniającego go szczęścia, podczas gdy jego palce gorączkowo odpinały parcianą kaburę z rewolwerem.

–Już dwukrotnie degradowano mnie z bosmana – wymruczał basowo jak rwący się do miodu niedźwiedź – i niech mnie diabli, jeżeli któryś z tych przypadków był choć połowę wart tego, co się tu będzie działo...

Usłyszałem jeszcze jego grzeczne:- Zechce mi pan wybaczyć z łaski swojej, sir – które zawisło w powietrzu, podczas gdy on rycząc z rozkoszy zniknął w kotłownianinie u szczytu trapu.

Artylerzyści na nabrzeżu zaczęli wiwatować i podskakiwać jak w ataku histerii, a na każdej jednostce stojącej w Grand Harbour gwizdzące i pokrzykujące grupki marynarzy gromadziły się na wieżach artyleryjskich, skrzydłach mostków i przy relingach.

Zdjąłem moją zakrwawioną czapkę i starannie położyłem obok niej hełm i torbę z maską przeciwgazową. Potem podciągnąłem szorty i odwróciłem się, żeby bardzo uważnie popatrzeć na przeklinającą, stękającą, walczącą kupę ciał. Szczególnie wypatrywałem brudnej, przetłuszczonej czapki, pod którą znajdował się hałaśliwy, zawadiacki, mały szkocki sukinsyn.

Aż wreszcie dość znękanym marynarzem w resztkach kołnierza i strzępkach niebieskiej bluzy wyleciał z kotłownianiny, za nim zaś rzuciła się maleńka, żylasta figurka miotająca dzikie góralskie kłątwy, wspaniałym ślizgiem wylądowała mu na plecach i natychmiast jej pięści zaczęły pracować jak tłoki parowe.

Wtedy właśnie mruknąłem: – Przepraszam, Wasza Królewska Wysokość. Za to, że jestem oficerem...

Z pewnym, proszę zauważyć, wstydem.

A potem również zacząłem biec...

Rozdział 3

Ładniutka trzeci oficer WRNS zawahała się, zanim otworzyła drzwi pokoju operacyjnego i spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

–Wiem, że nie powinnam o to pytać – powiedziała zakłopotana – ale czy konwój “Pedestal” już dotarł?

Oparłem się o ścianę z uczuciem wdzięczności. To był długi korytarz, a ja nie czułem się zbyt mocno. Trochę byłem urażony, że nie zapamiętała mnie z poprzedniej narady u admirała, ale może powodowała to krew, rozcięty łuk brwiowy i zerwane naramienniki.

–O ile wiem, nie – mruknąłem ostrożnie. – A dlaczego pani tak sądzi?

Jej szeroko otwarte, czułe, śliczne oczy zerknęły niepewnie najpierw na moje otarte kolano, a potem na gwałtownie ciemniejący siniak na kości policzkowej. – Tak sobie. Wie pan, że Niemcy zostali... To dlatego, że wygląda pan tak... no... na takiego znużonego walką. I nieszczęśliwego.

Tylko tak dalej, chłopie, pomyślałem z nadzieją. Współczucie najlepiej potrafi przełamać zasady moralne dziewczyny...

–Miałem ostatnio dość ciężkie chwile, moja droga – szepnąłem załamany głosem. – Ale dopóki wojna trwa, muszę...

–Tak, musi się pan znaleźć za tymi drzwiami, sir!

Odwróciłem się i napotkałem o wiele mniej czułe spojrzenie starszego bosmana z patrolu brzegowego.

–Admirał specjalnie podkreślił, że ma się pan u niego natychmiast zameldować – oznajmił stanowczo bosman – a ja mam zamiar dopilnować, żeby jego życzenie zostało spełnione. Sądzę zresztą, że panu również powinno na tym zależeć, bo może to mieć wpływ na łagodny wyrok sądu wojskowego, jeżeli dobrze mnie pan rozumie.

Widząc, jak wzrok dziewczyny stwardniał nagle, zrozumiałem, że mój krótki romans znowu rozwiązał się w korytarzach Dowództwa Marynarki na Malcie i spytałem posępnie:

–Jak przedstawia się ostateczny rachunek strat poniesionych przez wartę?

Bosman popatrzył na mnie oskarżycielsko.

–Trzech w szpitalu bazy. Jeden z wewnętrznymi obrażeniami, jeden z pękniętą czaszką i jeden pokrojony brzytwą. Czterech z mniejszymi obrażeniami, takimi jak złamania i potłuczenia... – nagle jego jakby wykute z granitu rysy rozjaśniły się nieoczekiwanym, konspiracyjnym uśmiechem. – Ale niech pan weźmie pod uwagę, jak dołożyli tamtym. Pan również włomotał temu małemu Szkotowi, prawda? Ten cholerny kurdupel przynajmniej przez tydzień nie będzie mógł wziąć do ust nawet

łyżki owsianki.

Moja była miłość zakryła gestem przerażenia usta i pisnęła stłumione “Och!”, podczas gdy ja bawiłem się klamką drzwi, usiłując odwlec nieuchronne.

–A co z dowódcą warty?

–Crockerem? – znowu się uśmiechnął. – Poturbowany, ale niezłomny. Artur już trzeci raz ma pecha. Przypuszczam, że po tej drace zarobi dwanaście miesięcy paki i degradację... Lepiej niech już pan idzie, sir. Poczekamy tu na pana.

Skinąłem głową z powagą. Miałem nadzieję, że bosman Crocker przynajmniej dobrze się bawił. Bardzo na to liczyłem. Bo wyglądało na to, że tej zabawy będzie mu musiało wystarczyć na długo. Ale jedno wydawało się pewne – że bez względu na to, co się zdarzy, zarówno ja, jak i bosman Crocker, niewątpliwie na zawsze skończyliśmy z “Charonem” i neutralnym kapitanem Trappem.

I ta błogosławiona wolność sama w sobie warta była długiego cierpienia.

Nabrałem głęboko powietrza, uśmiechnąłem się do dziewczyny ostatnim, smutnym uśmiechem i nacisnąłem klamkę.

–No i co, Miller?

Admirał obrzucał mnie pełnym obrzydzenia spojrzeniem, ja zaś stałem na baczność i usiłowałem przełknąć ślinę.

–Zdaję sobie sprawę, sir, że byłem źródłem kłopotów i mogę jedynie zaproponować, żeby wysłał mnie pan natychmiast z powrotem na morze. Oszczędziłoby to wielu pro...

–O czym, u diabła, pan tam mruczy?

Zająknąłem się i popatrzyłem z niedowierzaniem.

–Słucham?

–Co z “Charonem”? – rzucił z irytacją. – Czy mogą być jakieś opóźnienia?

–W każdym razie nie ze strony stoczni – odparłem z wahaniem. – Nie, sir!

Miałem wrażenie, że odetchnę z ulgą i zacząłem czuć się nieswojo. Takie przyjęcie było ostatnią rzeczą, jakiej mogłem się spodziewać.

–Było trochę kłopotów z załogą Trappa – dodałem pospiesznie. – Nie wątpię jednak, że już panu doniesiono.

Przypuszczam, że zabrzmiało to dość napastliwie. Ale mimo to odpowiedź admirała wstrząsnęła mnie swoją brutalnością.

–Owszem. I niech pan sobie daruje te obłudne wykręty, Miller... pańskie “kłopoty”, jak je pan nazwał, niczym się nie różniły od zamieszek na pełną skalę. Trzej marynarze poważnie ranni, Trapp zyskał dodatkową amunicję do prowadzenia wojny z Marynarką i co jest może najbardziej godne ubolewania, doskonały bosman artylerzysta siedzi teraz w ścisłym areszcie...

Gapilem się na niego, czując, jak krew odpływa mi z twarzy, on zaś usiadł ponownie w fotelu i przez parę chwil patrzył na mnie ponuro, zanim w końcu dodał: – I poniesie pan pełną odpowiedzialność za ten haniebny incydent, Miller. Ale dopiero wtedy, kiedy Royal Navy uzna to za właściwe. A nie pan.

Nic nie odpowiedziałem. Nie byłem w stanie. Mogłem jedynie patrzeć na niego wyzywająco, doskonale zdając sobie sprawę, że nie mam racji. Ale też byłem zupełnie nie przygotowany na to, żeby przyznać, iż to on, sprawca tego cholernego zamieszania, ją ma.

Być może właśnie wtedy, po raz pierwszy zacząłem choć w niewielkim stopniu rozumieć, dlaczego Edward Trapp stał się takim właśnie człowiekiem i dość lekkomyślnie poczułem z nim pewne pokrewieństwo duchowe. To niechęć, jaką wspólnie żywiliśmy do tych bezosobowych nacisków władz, zdawała się prowokować wystąpienia przeciwko ustalonym normom.

Admirał pochylił się gwałtownie i rzucił do interkomu na biurku: – Proszę przysłać tu Trappa. Natychmiast.

Spojrzał na mnie i być może w jego oczach pojawił się cień współczucia, na który jednak nie byłem przygotowany. Wzruszył więc niedostrzegalnie ramionami i powiedział:

–Trzymam go tu od trzech godzin, Miller. Nie przypuszczam, że mnie będzie za to lubił, podobnie zresztą jak pan.

Wtedy trzasnęły drzwi i wkroczył Trapp.

Albo raczej wpłynął. Jak atakujący krążownik.

–Panie! To pan tu dowodzi?

–Mniej więcej. W każdym razie jeżeli chodzi o sprawy marynarki wojennej. – To było gładkie jak jedwab.

–W takim razie chce... – Trapp spostrzegł mnie i zamilkł widząc mój obszarpany

strój. A potem uśmiechnął się kwaśno. – Słyszałem, że był pan na “Charonie”. Teraz jestem już tego pewien.

Podobnie jak ten sukinsyn Gorbals Wullie, pomyślałem ze złośliwą satysfakcją, ale ograniczyłem się tylko do lodowatego spojrzenia. Nie zniechęcony ruszył ponownie do ataku.

–Domagam się przedstawiciela prawnego. Mam zamiar podać was do sądu. Poza tym żądam, aby dokonano napraw na moim statku... A może zaprzeczy pan, że zostałem ostrzelany przez marynarkę wojenną, podczas gdy zajmowałem się swoimi legalnymi interesami?

Admirał uniósł kpiarsko brew. – Owszem, został pan ostrzelany. Ale nie spodziewaliśmy się swoich jednostek w tym rejonie, tak że dowódca niszczyciela miał prawo otworzyć ogień

–Prosto we mnie? Panie, prawo międzynarodowe mówi o strzale przed dziób... A nie prosto w statek.

–Ale nie w czasie wojny. A poza tym, czy zatrzymałby się pan, gdyby nie uszkodzono pańskiego statku?

Trapp zawahał się znowu, a po chwili uśmiechnął się bezczelnie.

–Nie.

–Admirał skinął lekko głową, kwitując tą raczej nieoczekiwaną szczerą. Na mnie jednak nie zrobiło to większego wrażenia.

–Jeżeli mamy być zupełnie szczerzy, Trapp, to dajmy sobie spokój z tymi rzekomo “legalnymi interesami”, dobra? – powiedziałem.

Odwrócił się w moją stronę, ale wciąż się uśmiechał.

–Sądy międzynarodowe, mój panie, mogą nie podzielać pańskiego zdania.

Dobiegający zza naszych pleców głos admirała przypominał raczej mruczenie kota bawiącego się z myszą.

–Och, ale sądzę, że jednak podzielą, komandorze podporuczniku.

Być może to moja irytacja sprawiła, że nie całkowicie dotarł do mnie sens jego słów. Do Trappa również. Przynajmniej nie w tej chwili.

–No to może zobaczymy, co? Bo mam właśnie zamiar wytoczyć sprawę Admiralicji, i to nie tylko o zrekompensowanie uszkodzeń, jakie mój statek odniósł w wyniku

bezprawnego ostrzału, ale również o stratę zarobków spowodowaną bezprawnym aresz...

Trapp zająknął się nagle i mrugnął. Potem odwrócił się w stronę admirała. Powoli i nieomal nerwowo zapytał:

–Co pan powiedział?

–Powiedziałem “sądzę, że jednak podzielę”. To znaczy, że uznaję nasze stanowisko.

Trapp potrząsnął ostrożnie głową.

–Chodziło mi o ten drugi kawałek, ten z komandorem podporucznikiem, dobrze pan wie.

Zafascynowany parzyłem na admirała. Zupełnie jak królik na węża. Miałem jednak dziwne uczucie, że tym razem Trappowi przypadła rola króliczka. Admirałowi niemal udało się wyglądać na zaskoczonego.

–Ależ... Och... chyba pan nie zapomniał, mój drogi?

Po raz pierwszy zobaczyłem Trappa oszołomionego. Był to widok, który sprawiał mi niekłamaną satysfakcją, choć nie bardziej niż Trapp rozumiałem, do czego admirał zmierza. A może?

–Zapomniałem?... O czym?

–Że jest pan, podobnie jak obecny tu Miller i ja, oficerem Royal Navy. I że był nim pan przez ostatnie dwadzieścia parę lat...

Uzmysłowiłem sobie, że gapię się jak sroka w gnat nic z tego nie rozumiejąc, admirał zaś pochylił się nieco do przodu, żeby zadać swój cios łaski. Robił to bardzo delikatnie. Przypuszczam, że widząc wyraz twarzy Trappa zdawał sobie sprawę, że tak właśnie powinien się zachować.

–Czy przypomina pan sobie wydarzenia, które miały miejsce po pańskiej repatriacji? W listopadzie 1918 roku?

–To kupa bzdur... – odparł Trapp z zakłopotaniem.

–Ale czy pan sobie przypomina?

–Tak... zamustrowałem na statek następnego dnia. Popłynąłem na Daleki Wschód. I co z tego?

–Nie miał więc pan zbyt wiele czasu, żeby uregulować swoje sprawy w Wielkiej Brytanii, prawda?

–Czasu? – Trapp ze zniecierpliwieniem wzruszył ramionami. – Panie, na co?

Admirał bawił się leżącym przed nim blankietem meldunku.

–Żeby udać się na przykład do swojego ośrodka demobilizacyjnego?

–Demobilizacyjnego... – Trapp uśmiechnął się kwaśno. – Chryste, miałem już wszystkiego dosyć. Marynarki i facetów z lekceważącymi minami...

Nagle przerwał. A my powoli uświadamiając sobie, o co tu może chodzić, zaczęliśmy się gapić na siedzącego przed nami mężczyznę, który nieomal przepraszająco skinął głową.

–Właśnie. A ponieważ nigdy nie wystąpił pan z prośbą o dymisję, pańskie nazwisko nie zostało wykreślone z listy oficerów rezerwy Royal Navy... Pańskie awanse przez te wszystkie lata były zupełnie automatyczne, komandorze podporuczniku Trapp.

–Chryste! – powtórzył Trapp. Był zupełnie załamany.

Nic na to nie mogłem poradzić. Zacząłem się śmiać. Głęboko w duchu.

Wciąż jeszcze usiłowałem się opanować, kiedy uzbrojona warta przybyła, żeby go wyprowadzić, on zaś wciąż energicznie protestował i powtarzał, że nie chce mieć nic wspólnego z Królewską cholerną Marynarką.

Od tej pory jego Marynarką.

To znaczy komandora podporucznika Edwarda Trappa.

Admirał posłał po Trappa dopiero następnego popołudnia. Choć nie byłem w stanie pozbyć się do końca urazy z powodu obarczenia mnie winą za zamieszki na “Charonie”, to jednak musiałem przyznać, że teraz znosiłem to już o wiele spokojniej. Gdy tylko wrócę na okręt, będę wspominał moje problemy jako drobne niedogodności. W porównaniu z tymi, jakie spotkały powołanego nagle do służby komandora podporucznika Trappa.

A kłopoty Trappa miały dopiero się zacząć. Kiedy dowie się, dlaczego Royal Navy dokładała tylu starań, żeby powołać go do czynnej służby.

Bardzo czynnej służby, pomyślałem z poczuciem winy. Dopóki nie spotka go nieuniknione. A w przypadku “Charona” to nieuniknione nawet nie będzie musiało szczególnie się spieszyć.

Na pewno nie tak jak admirał, który chciałby namówić Trappa (podpierając to nawet całą powagą Regulaminów Królewskich), żeby wypłynął i popełnił samobójstwo.

Drzwi otworzyły się i ociężałym krokiem wszedł Trapp. Wyglądał bardzo ponuro. Wydawało się mimo to dość niewłaściwe, zwłaszcza w przypadku oficera Marynarki Wojennej, żeby był on wciąż ubrany w wytarte drelichowe spodnie, zaplamioną dwurzędową kurtkę, na rękawie której złote naszywki stały się już dawno matowe i pozieleniałe od soli oraz brudne, płócienne pantofle zasznutowane szpagatem.

–Dzień dobry, komandorze – mruknął grzecznie admirał.

Zauważyłem, że zwrócił się do niego używając skróconej nazwy stopnia, co pozwalało wnioskować, że bez względu na omawiany temat sprawa, czy Trapp jest, czy też nie jest członkiem Sił Zbrojnych Jego Królewskiej Mości, dyskusji nie podlega. Ku mojemu zdziwieniu Trapp przyjął swoją nową rolę z zadziwiająco zimną krwią.

–Witam pana.

–Sir. – Admirał poprawił go łagodnie. – Obawiam się, że powinien pan zwracać się do mnie regulaminowo, komandorze.

Trapp zawahał się przez chwilę, a potem filozoficznie wzruszył ramionami.

–Tak jest... sir.

–Czasy się zmieniają, co, Trapp? – nie mogłem powstrzymać się przed docinkiem, zwłaszcza po tym, jak w czasie naszego pierwszego spotkania okazał pogardę mnie i mojemu mundurowi. Odwrócił się powoli i obrzucił mnie od stóp do głów lodowatym spojrzeniem.

–Sir! – warknął. – Mam na rękawie dwa i pół paska, a to oznacza, że zwyczajny kapitan ma się do mnie zwracać “sir”! Czy słyszy mnie pan głośno i wyraźnie! – Kapitanie?

Spostrzegłem wyraz twarzy admirała. Za na wpół dostrzegalnym uśmiechem kryło się wyraźne ostrzeżenie.

–Głośno i wyraźnie – mruknąłem z goryczą. – Sir.

–O, to bardzo miłe – stwierdził Trapp. Wyglądał na uszczęśliwionego. – Okazuje się, że ma to i swoje zalety.

Poczekaj, aż usłyszysz resztę, pomyślałem złośliwie. Zobaczymy, czy dalej będziesz tego samego zdania.

–A mówiąc o zaletach – ciągnął Trapp płynnie, odwracając się w stronę admirała. – Od jak dawna, powiedział pan, jestem w spisach Royal Navy... hmm... sir?

–Od tysiąc dziewięćset osiem... – Admirał gwałtownie zmarszczył brwi, a potem zaczął się szeroko uśmiechać, jednak bez żadnej złośliwości. – Trapp – warknął – jest pan wyrachowanym łajdakiem, niech pana wszyscy diabli. Chciwym, kombinującym draniem!

Trapp wyszczerzył radośnie zęby.

–Tak jest, sir. Jak sądzę, marynarka jest mi winna zaległe pobory za dwadzieścia cztery lata, a poza tym dodatki i premie za ten okres.

Mogłem przewidzieć, że Trappowi dojście do tego wniosku nie zajmie wiele czasu. Pozostało więc tylko przekazać mu wiadomość, w jak szczególny sposób będzie musiał zasłużyć na odebranie tych pieniędzy.

Admirał ochrzcił to “Operacją Styks”. Z dużą satysfakcją uznałem, że jest to cholernie odpowiednia nazwa. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, iż było prawie pewne, że prawdziwy Styks będzie jej punktem docelowym.

–Chcę, żeby pan i pański statek wykonali dla mnie pewną pracę – zaczął gładko admirał.

–Za ile? – zapytał Trapp, po czym podał pospiesznie. – Mam na myśli opłaty czarterowe za “Charona”... Zwłaszcza jeżeli weźmie się pod uwagę, że nawet w 1918 roku nie należał do marynarki.

–Wystarczająco dużo. Obiecuję panu rozsądną dniówkę.

–Dniówkę?

Tym razem admirałowi wypadło się spieszyć.

–Najpierw może tło całej operacji. A potem przejdziemy do szczegółów, komandorze.

–To dobry statek. Ale kosztowny w eksploatacji. Proszę pamiętać, że sama konserwacja kosztuje parę ładnych groszy.

Ha! – pomyślałem wściekle. Osobiście widziałem więcej zabiegów konserwacyjnych prowadzonych na kompletnie rozbitych wrakach na Goodwin Sands. Admirał jednak całkowicie zignorował przetargowe zagrania Trappa i ciągnął dalej bez komentarza.

–Obecna sytuacja wojskowa w Afryce Północnej jest z punktu widzenia aliantów

wyjatkowo poważna. Brytyjska Ósma Armia z trudnością powstrzymuje Rommla wzdłuż – przez chwilę trzymał palec nad mapą, a potem opuścił go zdecydowanym ruchem – linii tutaj. Pomędzy Tel El Eisa i El Alamein. Rozumie mnie pan?

–Jesteśmy pewni – dodałem widząc skinięcie głową admirała – że Afrika Korps przygotowuje obecnie ostateczną ofensywę. Bezpośrednie uderzenie w kierunku Aleksandrii i strefy Delt.

–To sprawa wojsk lądowych, prawda? – zmarszczył brwi Trapp. – Co to ma wspólnego z Royal Navy, tu na Malcie?

–Ponieważ Rommel jak każdy dowódca uzależniony jest od linii zaopatrzeniowych, komandorze. Ta wyspa natomiast jest właśnie jedynym alianckim terytorium na Morzu Śródziemnym, z którego wciąż możemy działać przeciwko niemu. Zarówno lotnictwo zwalczające nieprzyjacielską żeglugę, jak i Dziesiąta Flotylla okrętów podwodnych uzależnione są od baz na Malcie.

–Co sprawia, że ten kawałek skały ma dość żywotne znaczenie, tak?

Admirał spojrzał na niego i powiedział cicho:

–Jeżeli Malta upadnie, komandorze, utracimy kluczowy punkt oporu na całym Bliskim Wschodzie.

Nic nie powiedziałem. Nie było właściwie nic do dodania. Wreszcie Trapp wzruszył lekko ramionami.

–Co więc pan chce, żebym robił? I “Charon”? Dostarczać co trzeba... ale tym razem legalnie?

–“Charon” jest na to za mały. Nie nadawałby się, a poza tym obecnie najbardziej potrzebujemy paliwa. Możemy przetrwać jedynie wówczas, gdy choć jeden zbiornikowiec przebije się do nas w ciągu kilku najbliższych dni.

–A czy płynie choć jeden? – spojrzenie Trappa było twarde.

Miałem przed oczyma wyobraźni mrozący krew w żyłach widok samolotów, które eskadra za eskadrą waliły się na skrzydło do lotu nurkowego – czarnych, wyjących bombowców spadających w dół ku morzu, ku maleńkiej, plującej ogniem grupce statków, gdy w samym jej środku jeden szczególny statek wije się w unikach między spiętrzonymi, zabarwionymi kordytem kolumnami pieniącej się wody. Ludzi padających na swoich stanowiskach na jego pokładzie, odciąganych przez innych, którzy stają na ich miejscach. A kiedy padają i oni, z krążącej wokół eskorty przechodzą nowi ochotnicy...

–Tak, komandorze – mruknąłem patrząc na zawieszony na ścianie spis jednostek biorących udział w operacji “Pedestal” i zwracając szczególną uwagę na jedną nazwę –...jeden tankowiec płynie. Powinien wkrótce tu być.

Mężczyzna w obłachanym stroju zamyślił się na chwilę.

–Jaka ma być w tym nasza rola? Moja i “Charona”?

–Dopóki Malta się trzyma – odparł admirał – musimy wykorzystać każdą okazję, aby atakować z niej nieprzyjacielskie linie zaopatrujące bliskowschodni teatr wojenny... I pan, komandorze, oraz pański statek możecie stać się taką doskonałą okazją.

Tym razem Trapp sprawiał wrażenie człowieka, który rzeczywiście nie wie, co się właściwie dzieje. Admirał skinął znacząco głową w moją stronę, a ja zaczerpnąłem głęboko powietrza.

–Ma pan działać samodzielnie. Atakować linie komunikacyjne Rommla. Powinien pan operować blisko wybrzeży Afryki Północnej... tam gdzie jest zbyt płytko dla okrętów podwodnych.

Trapp popatrzył na nas ostro, jakby próbując zgadnąć, na czym polega dowcip. Potem zaczął uśmiechać się z powątpiewaniem:

–Ja? I stary “Charon”? Mamy działać, jakby to był okręt wojenny, na litość boską?

Żaden z nas nie uśmiechnął się w odpowiedzi i powoli wyraz jego twarzy zaczął się zmieniać.

–Chyba pan sobie kpi, admirale – warknął. – Ale z czystej ciekawości chciałbym się dowiedzieć, czy mam w Szwabów rzucać kamieniami, czy też może ich taranować? Z moją pełną prędkością ośmiu węzłów.

–Ani jedno, ani drugie. – Admirał mówił bardzo spokojnie.

–Ponieważ kiedy wyjdzie pan z portu, komandorze, “Charon” będzie okrętem wojennym. Bardzo szczególnym okrętem, obiecuję to panu.

–A dokładnie, statkiem-pułapką – dodałem – obserwując uważnie Trappa. – Gdy popatrzy się na niego z zewnątrz, będzie to ten sam “Charon” – niegroźny, mały frachtowiec. Ale wewnątrz – za opuszczanymi stalowymi płytami i brezentowymi osłonami...

–Działa! – mruknął Trapp. – Ukryte cholerne działa!

–Bardzo słusznie – skrzywiłem się w uśmiechu. Tylko że wtedy, kiedy się ujawnią,

będzie już za późno. W każdym razie dla pańskiego celu.

–Dla pańskiego celu, sir! – przypomniał mi Trapp mimochodem.

Przestałem się uśmiechać. – Sir! – burknąłem. Ale tak czy owak warto było przytaknąć, żeby choć trochę podtrzymać go na duchu.

–Założmy jednak, że on też będzie miał działa. Ten wasz cel?

–Nie będzie. Z dużymi transportowcami radzimy sobie za pomocą samolotów szturmowych. Pana cel to małe statki przybrzeżne, które płyną w nocy, a w dzień się ukrywają. Przeważnie arabskie i trochę włoskich... Dhow, kaiki i takie rozpadające się łajby jak pański...

–Jak mój co? – mruknął groźnie Trapp.

–Nic – poprawiłem się pospiesznie. – Sir.

–Ale dlaczego nie posłużycie się normalnym okrętem wojennym?

–To byłoby zbyt oczywiste. Już po pierwszej akcji zaczęliby go szukać, o ile Luftwaffe nie wysłodziłaby go wcześniej, jeszcze przed dotarciem na miejsce akcji.

–Natomiast “Charon” doskonale wtopi się w krajobraz lokalnej żeglugi. Dla ich lotnictwa będzie to jeszcze jedna jednostka zaopatrzeniowa Rommla.

–Ale nie dla ich marynarki – pokręcił głową Trapp. – Znam to wybrzeże, admirale, i wiem, że działa tam wciąż cholernie dużo szybkich łodzi patrolowych. A jeśli, powiedzmy, mnie zatrzymają i zechcą przeszukać?

–Podejmował pan to ryzyko od czternastu miesięcy – wzruszyłem ramionami. – I w końcu to Royal Navy pana złapała.

–Tak. Ale wtedy nie miałem statku pełnego cholernej artylerii, i to z oznakowaniem brytyjskich parków artyleryjskich. Wtedy mogłem się z tego jakoś wyłgać.

–A tym razem wcale nie będzie pan musiał, komandorze. Brał pan udział w poprzedniej wojnie. Chyba przypomina pan sobie, jak działały statki-pułapki?

–Należy zrobić tak, by nieprzyjaciel myślał, że opuszczacie statek. Część załogi tak zresztą zrobi. A potem, kiedy nieprzyjaciel uzna, że “Charon” został porzucony przez ogarniętą paniką załogę i zbliży się, żeby zbadać go dokładniej...

–Spadają osłony, opuszczają się pływy w burtach, obsada ma już działa naprowadzone na cel i...

–Bum! – mruknął Trapp w zamyśleniu. – Zanim nawet zdążą powiedzieć “Ich verstehe nicht!”

–Właśnie tak – admirał popatrzył na mnie z nadzieją. – Będzie pan miał przewagę zaskoczenia, komandorze. Pańska znajomość tej części wybrzeża jest niezrównana, a ponieważ wygląda na to, że był pan całkowicie samowystarczalny w czasie swoich niedawnych... hmm... wypraw handlowych, można przypuszczać, że bunkrowanie i zaopatrzenie zdoła pan sobie jakoś załatwić?

–Tak. Ale to kosztowne – powiedział odruchowo Trapp. – Te Wogsy * nie mają ani krzty patriotyzmu – i nigdy nie byli do tego stopnia głupi, żeby zaciągnąć się do rezerwy, swojej czy jakiejś innej.

Pogardliwa nazwa Arabów (przyp. tłum.)

Moim zdaniem stanowiło to wyraźny dowód, że Algierczycy i Libijczycy byli o wiele rozsądniejsi, niż ich o to podejrzewałem.

Admirał zrozumiał jednak aluzję Trappa.

–Przydzielimy panu fundusze. I oczywiście nie będziemy oczekiwać szczegółowych rozliczeń... rzecz jasna w rozsądnych granicach.

Trapp popatrzył na niego z wyrachowaniem.

–A “Charon”? Muszę się liczyć z poważną utratą zysków. I jednocześnie spadek wartości kapitału będzie straszny w takim rejsie.

Zwłaszcza jak cię Hans dopadnie, pomyślałem cynicznie – i wystrzeli dziurę w dnie Wojennego Przedsiębiorstwa Trappa Sp. z o.o.

–Osiemdziesiąt pięć funtów dziennie. Należność za czarter statku wypłacana do chwili, kiedy “Charon” przestanie istnieć.

–Sir? – ostrzegłem go szybko.

Admirał kaszlnął.

–To znaczy, oczywiście, kiedy przestanie istnieć jako jednostka Royal Navy.

–Sir – odezwał się Trapp z przejęciem. – Za te pieniądze nie byłby pan w stanie zaatakować Szwabów nawet na kajaku uzbrojonym w kuszę. Ale za sto sześćdziesiąt dziennie na dwunastomiesięcznym kontrakcie – trzy miesiące płatne z góry, a pozostałość gwarantowana niezależnie od wyników, jestem w stanie przynieść chlubę panu i Jego Królewskiej Mości. I mimo to będę konkurencyjny w stosunku do

niszczyciela z lend-lease'u.

–Komandorze Trapp – oznajmił admirał łagodnie. – W zaistniałych okolicznościach mam prawo skonfiskować pański statek bez żadnej rekompensaty...

–Zgoda na osiemdziesiąt pięć funtów, sir! – przerwał mu pospiesznie Trapp z miną człowieka, który traci wszystko. – Plus zabunkrowanie, zaprowiantowanie i pensje załogi – na sześciomiesięcznej gwarancji. Nawet jeśli czarter okaże się nieco krótszy.

–Trzymiesięcznej – oznajmił stanowczo admirał, co i tak według mojej oceny szans Trappa było wyrzucaniem przez okno pieniędzy za dwa i pół miesiąca. – I ponieważ pańska załoga składać się będzie z personelu marynarki wojennej, ich żołd bierzemy na siebie.

Trapp sprawiał wrażenie, jakby nieco popsuto mu szyki.

–Chce pan, żebym trzymał w dziobowym kubryku facetów z Royal Navy? Kupę czyściutkich, schludniutkich marynarzyków z wypucowanymi guzikami?

Przypomniałem sobie, w jaki sposób mój kumpel z wydziału personalnego określał typów, których miał obecnie do dyspozycji i uśmiechnąłem się w duchu.

–Niezupełnie, sir. Ale gwarantuję, że każdy człowiek, który zostanie skierowany na “Charona”, będzie osobiście wybrany przez zastępcę szefa wydziału personalnego Floty.

–Mimo wszystko nic z tego – Trapp pokręcił głową i spostrzegłem, że cierpliwość admirała zaczyna się wyczerpywać.

–Mam obecnie załogę, która zna “Charona”. A poza tym jest to banda agresywnych sukinsynów bez krzty sumienia. Nieźle im robi, jeżeli powojują trochę zawodowo, a nie tylko traktując to jako hobby...

Stłumiłem uśmiech, widząc przerażenie w niezmiernie brytyjskich oczach admirała, który z pewnością pomyślał o krążowniku pomocniczym HMS “Charon” płynącym wężykiem, w żółwym tempie i obsadzonym przez oficjalnie zatwierdzoną przez Admiralicję załogę składającą się z bandy krwiożerczych zbirów Trappa. Lecz admirał nie lubił rezygnować ze swoich planów.

–Dobrze – zgodził się Niechętnie. – Ale artylerzystów będzie pan miał przydzielonych z Royal Navy, podobnie jak – i to nie podlega dyskusji – jednego z moich oficerów jako pańskiego zastępcę. Będzie dowodził artylerią, także w razie potrzeby pomagał panu w rozwiązywaniu problemów taktycznych. Czy to jasne, komandorze?

Jak na mój gust Trapp był nieco zbyt zadowolony z siebie, ale w tej chwili moje myśli przepelniało przede wszystkim głębokie, straszliwe współczucie dla tego nieszczęśnika z listy wakatów Admiralicji, którego obarczą funkcją zastępcy dowódcy okrętu na "Charonie".

Dowódca najnowszego okrętu wojennego Royal Navy pokręcił głową, jakby sugerując, że pertraktacje nie zostały jeszcze zakończone.

–Rozumiem, admirale. Ale biorąc pod uwagę, że będę miał moich ludzi...

–Do czego pan zmierza, komandorze?

–...a zyski zostały ograniczone do absolutnego minimum...

–O co chodzi, u diabła?

Trapp pochylił się do przodu i zaczął swój niesłychanie logiczny wywód.

–Myślę o tych wszystkich arabskich dhows, które będziemy posyłali na dno, sir. I o tych wszystkich cennych przedmiotach, które zatoną razem z nimi. Chyba że próbowalibyśmy je uratować... byłby to swego rodzaju uboczny dochód, rozumie pan? No, taka premia za dobre wyniki.

Admirał wstał i pokręcił głową z niedowierzaniem. Kiedy jednak odezwał się, mówił spokojnie, choć ważył każde słowo.

–To, co mi pan sugeruje, Trapp, jest niczym innym niż propozycją, żebym pozwolił panu w imieniu Admiralicji Brytyjskiej na działanie w charakterze... Charakterze jakiegoś korsarza z czasów elżbietańskich. Żebym, do licha, dał panu pełnomocnictwa na uprawianie piractwa!

Trapp skinął głową, wyraźnie uszczęśliwiony. Wstyd nie był chyba jego najczulszym punktem. Osobiście nie wiedziałem, czy mam go podziwiać za jego bezczelność, czy też okazać wyniosłą pogardę dla jego chciwości. Ale Trapp, jak przystało na człowieka, który nienawidził marnotrawstwa, w jednym przypadku miał rację. Wtedy, gdy mówił o dobrach idących na dno. Admirał odwrócił się w moją stronę z nieomal błagalnym wyrazem twarzy.

–Nie chcę już nic więcej słyszeć, Miller. Na temat działań, jakie "Charon" podejmie po wyjściu z portu. Ani słowa, dopóki rzeczywiście czegoś nie zatopi. Najlepiej żeby to było coś nieprzyjacielskiego.

–Najlepiej, sir – odpowiedziałem.

–Tak jest, sir – przytaknął Trapp. – Jest jeszcze jeden drobiazg, jeśli można.

–Niech pan mówi, komandorze – warknął admirał. – Byle szybko.

Uśmiechnąłem się nieco złośliwie do Trappa. To było przyjemne – widzieć, jak ktoś przeciąga strunę. Odmrugnął mi, ale jakoś dziwnie, zupełnie jakby pamiętał, jak potraktowałem go przy naszym pierwszym spotkaniu.

–Bierze pan zapewne pod uwagę – rzekł – że “Charon” zasadniczo pozostaje statkiem handlowym, prawda, sir?

–Tak.

–Czy więc mój zastępca, którego mi pan przydzielili, nie powinien być facetem z pewnym stażem w marynarce handlowej?

–Do czego pan zmierza?

–Tak tylko... – wzruszył ramionami Trapp. – Po prostu pomyślałem, że może znam właściwego człowieka, który pasowałby na pierwszego oficera na “Charonie”. Sprawia wrażenie twardego, wie, co robić z pięściami.

Zaczęło mnie ogarniać paskudne uczucie. Zupełnie jakby te lodowate pazurki znowu głąskały mnie po plecach. Przeczucie.

–Dobry marynarz i artylerzysta... – admirał w zamyśleniu skinął głową. – Jeżeli trzeba, ma niewyparzoną gębę. I bardzo agresywny, komandorze. Idealny kandydat, jak pan zauważył.

–Nie, sir – zaprotestowałem z niepokojem. – Bardzo pana proszę. Obiecał mi pan... Mam pańskie słowo.

–I wcale go nie cofam, kapitanie Miller – uśmiechnął się łagodnie – wysyłam pana na morze w chwili rozpoczęcia operacji “Styks”.

–Mogę go mieć, sir? – w oczach Trappa zapłonęły błagalne błyski. – Na “Charonie”? Żeby miał pod komendą moich chłopaków?

–Mam pewne zobowiązanie wobec Millera, komandorze. – Admirał znowu uśmiechnął się do mnie. Szczerym uśmiechem dżentelmena. – Oczywiście, może go pan mieć. Od tej właśnie chwili.

Rozdział 4

A więc wróciłem na wojnę. Na pokładzie parowca “Charon”. Albo raczej z “Charonem”. Zacząłem już następnego ranka.

Czekał na mnie u szczytu trapu. Tuż pod tą bezczelną tablicą z nazwą – jedyną

częścią częścią statku Trappa.

–...stem Wullie – oznajmił. – Gorbals Wullie. Pamiętasz mnie, przystojniaku?

O Boże, znowu się zaczyna, pomyślałem, spostrzegając z ponurą satysfakcją jego rozbite i opuchnięte usta, które jeszcze bardziej przydawały mu wygląd chudej, rozzłoszczonej małpy. Jedynie złośliwe błyski w oczach tego kurdupla z Glasgow umiejscawiały go na nieco innym poziomie niż prawdziwego antropoida. Był o wiele bardziej niebezpieczny.

A poza tym goryle nie noszą czapek. Z drugiej jednak strony nie mogą jakąś ciemną nocą zakraść się od tyłu i wysłać cię za burtę z marynarskim nożem między łopatkami jako balastem. Ze znużeniem uznałem, że jeżeli chcę kiedykolwiek zmrużyć oczy na tej cholерnej parodii okrętu wojennego, to muszę wyrzucić wrażenie na Gorbalsie Wullie. Najlepiej za pomocą grubszego końca marszpiłka.

W przeciwnym razie załoga “Charona” załatwi mnie szybciej niż Kriegsmarine. Choć nie przypuszczam, by Szwaby chciały tracić zbyt wiele czasu, kiedy tylko zaczniemy strzelać do tego, co pozostało z floty zaopatrzeniowej Erwina Rommla.

Rzuciłem walizkę przed jego nogami.

–Zanieś ją do kabiny zastępcy dowódcy – rzuciłem ostro. – I powiedz kapitanowi, że jestem na pokładzie.

Nie okazał nawet cienia zaskoczenia. Najwidoczniej załoga “Charona” została powiadomiona o tym, że mnie tu wyznaczono. Teraz należało jedynie zastosować odrobinę perswazji, aby ich przekonać, że ewentualny jawny bunt może być jeszcze mniej atrakcyjny.

Gorbals Wullie wyszczerzył tylko zęby i z wielką stanowczością pokręcił głową. – Ze mnie nie taki, żeby przyjmować rozkazy. Zwłaszcza od pieprzonych łoficerków.

Nie jesteś zbyt dobry również w wymyślaniu nowych obelg, pomyślałem zerkając w stronę wystawionej nowej warty. Zauważyłem, że robią dokładnie to, co im wcześniej poleciłem – to znaczy udają, że nic nie widzą. Nie będę ich miał pod ręką, kiedy wypłyniemy, a nie przypuszczałem, by skierowani na “Charona” artylerzyści z marynarki byli jakoś specjalnie opiekuńczo nastawieni. Zwłaszcza w stosunku do oficera.

–Szkoda, marynarzu – powiedziałem łagodnie – bo właśnie przyjmiesz ten rozkaz ode mnie... Weź tę walizkę.

Gorbals Wullie znowu próbował się uśmiechnąć, ale ból rozciętej wargi musiał pobudzić jego pamięć i niedoszły uśmiech przekształcił się w wyzywający grymas.

–Och, daj się wypchać – mruknął ze złością. Pochylił się, balansując na ugiętych nogach jakby w przewidywaniu ataku. Jeżeli miałem jakieś wątpliwości co do jego intencji, to teraz zupełnie je straciłem. Prowokował mnie do walki.

I nagle odniosłem to samo nieprzyjemne wrażenie, które miałem już przy pierwszym wejściu na pokład “Charona” – że obserwują mnie z różnych zakamarków uważne, krytyczne spojrzenia. Zupełnie jakby to spotkanie z głównym brutalem “Charona” nie było wcale przypadkiem...

Patrzyłem na tego niebezpiecznego kurdupla jeszcze przez parę chwil, po czym odłożyłem hełm na pokrywę windy ładunkowej i starannie zawiesiłem nad nim torbę z maską przeciwigazową. Następnie odwróciłem się i powiedziałem bardzo wyraźnie:

–Weź ją. Natychmiast!

–Spier...

Mrugnąłem nerwowo, a potem spojrzałem w dół na walizkę i wzruszyłem ramionami, zupełnie jakby to wszystko nie miało większego znaczenia. Pokornie pochyliłem się do przodu, wyciągając dłoń w stronę rączki...

Jego noga poderwała się nagle w podstępny kopniaku wymierzonym w moje krocze. Zrobiłem zaplanowany wcześniej unik, a moja ręka kontynuowała swój ruch ku górze, równoległe do linii kopnięcia. Musiałem jedynie wykorzystać rozpęd, chwyciłem więc uniesioną nogę mocno za kostkę, wykręciłem, i kandydat na buntownika wykonał mimowolny piruet, który obrócił go tyłem do mnie.

Wtedy go kopnąłem – tak mocno i złośliwie, jak tylko potrafiłem. Poleciał do przodu śmiesznym, chwiejnym galopkiem zakończonym w chwili, gdy zaczepił o kant zrębnicy i runął na pokrywę luku ze stłumionym rykiem wściekłości.

–Walizka – przypomniałem mu uprzejmym tonem. – Weź ją, bądź grzecznym chłopcem.

Niezgrabnie stanął na nogi. W pękniętym kąciku ust widniała rozmazana krew, ale teraz bardziej interesowała mnie jego prawa ręka – ręka i nienagannie wyostrzona brzytwa umiejętnie trzymana tak, że stalowe ostrze opierało się tyłcem o kostki palców. Najwyraźniej przygotowywał się do wykonania ukośnego cięcia na odlew typowego dla prawdziwego rysztockowego zawodowca.

–Mam zamiar cię porznać, przystojniaczku... Poharatam twoją ładną facjatę, żebyś popamiętał Gorbalsa Wullie'ego!

Na ugiętych kolanach zaczął ostrożnie przesuwając się w moją stronę wzdłuż pokrywy luku, a jego wyszmelcowana, zsunięta daleko na tył głowy czapka

przypominała szyderczą aureolę otaczającą szczupłą, złośliwie wykrzywioną twarz. Co za cholernie wredny sposób toczenia tej wojny, pomyślałem z wściekłością... a kiedy jego mięśnie napięły się przed skokiem w dół, na poziom pokładu, pochyliłem się wysuwając do przodu ramię. Udało mi się zaskoczyć go po raz drugi – i zapewne ostatni.

Był jednak szybki. Zbyt szybki. Smagnięcie ostrza przypominało lodowatą kreskę wykreśloną poziomo na moim zgarbionym grzbiecie, ale, o dziwo, nie poczułem bólu – nie od razu. Tylko nagłą, straszliwą wściekłość na “Charona”, skretyniałe ludzkie śmiecie, które na nim pływały, i na pewnego admirała za sposób, w jaki wykręcił się z danego słowa.

Potem leżeliśmy razem na pokładzie, a błękitnawa stal tej paskudnej broni migiała szarpanymi, nie kontrolowanymi łukami tuż przed moimi oczyma, podczas gdy ja przytrzymałem z pełną przerażenia desperacją kościsty, wrywający się przegub. Poczulem wściekły ból, kiedy jego zęby zacisnęły się na moim przedramieniu i wtedy kopnąłem go kolanem w podbrzusze w ostatniej spazmatycznej próbie zadania bólu temu małemu, twardemu jak skała sukinsynowi.

Wydał stłumiony jęk, a jego ciało wygięło się pode mną w łuk. Udało mi się drugą ręką schwycić przegub dłoni wymachującej brzytwą. Wykręciłem ją gwałtownie i ponownie walnąłem go kolanem... a potem jeszcze raz. Nagle wrzasnął straszliwie i brzytwa wysokim łukiem poleciała wirując w stronę luku.

–Weź ją, sukinsynu! – wrzasnąłem i walnąłem go prosto w zęby. Odwrócił głowę i splunął wyzywająco.

–Nie przyjmuję rozkazów od...

Wtedy wyrznąłem go jeszcze dwa razy, a potem podniosłem się, ciągnąc go za sobą. Poczulem, że w moim przeciętym barku zaczyna narastać ból. Dygotałem gwałtownie – przede wszystkim z wściekłości, ale również pod wpływem szoku i z obawy, że już wkrótce nie będę w stanie utrzymać tego drania. Ostentacyjnie zamachnąłem się pięścią, tak żeby wiedział, co go czeka.

Przez chwilę jego oczy spoglądały nerwowo w moje, być może w nadziei, że dostrzegą w nich jakiś ślad dżentelmeńskiego wahania, ale go nie znalazły. Wreszcie Gorbals Wullie mruknął boleśnie:

–Och... wielkie mi rzeczy... – i ku mojej niezmiernej uldze, jakby sflaczał w poczuciu klęski.

Odepchnąłem go od siebie, starając się zachować z pogardliwą arogancją, podczas gdy w rzeczywistości miałem ochotę jak mały chłopiec uciec i schować się gdzieś. W tym samym czasie z niepokojem uświadomiłem sobie, że z nadbudówek wyszli cicho

ludzie i okrążyli nas, wciąż przypatrując się bacznie. Zupełnie jakby czekali. Ale czego jeszcze mogli się spodziewać?

Moją uwagę zwróciło szczególnie dwóch ludzi. Stali z boku, nie mieszając się z pozostałą częścią załogi “Charona” i wydawało mi się, że są bardziej wrogo usposobieni do Gorbalsa Wullie'ego niż do mnie. Jeden z nich był szczupłym, wysokim Arabem o dziwnie zniewieściałym wyglądzie, drugi zaś – krępy, wyglądający na Europejczyka facet o sympatycznej, pokancerowanej twarzy, był – sądząc po niegdyś białym kombinezonie – mechanikiem.

Niepewnie przyglądałem się, jak zupełnie załamany Wullie podszedł i sięgnął po rączkę walizki. Ale coś, jakieś nieokreślone zachowanie otoczenia włączyło maleńki dzwoneczek alarmowy w moim mózgu. Świadomy, że ból promieniujący z rany na barku wciąż narasta, zmusiłem się, żeby podejść niedbale do windy i unieść torbę z maską przeciwgazową na taśmę nośną.

Nagle mały Szkot zawahał się, a potem wyprostował. Kiedy odwrócił się w moją stronę, na jego twarzy widniał pewien zakłopotania, głupawy uśmiezek. Niezgrabnie ściągnął brudną czapkę i zacisnął ją w pięści, a drugą dłoń wyciągnął w geście, który niewątpliwie był propozycją uściśnięcia ręki.

Spoglądałem na niego ponuro, a on podchodził coraz bliżej i uśmiechał się coraz szerzej z wyraźną, choć nieoczekiwaną chęcią pojednania. Nie bardzo wiedziałem, jak się w tej sytuacji zachować. Po prostu stałem i czekałem, trzymając torbę za parciany pas.

Na pokładzie “Charona” nikt nie drgnął. Wydawało się, że nikt nawet nie oddycha.

Niechlujny, maleńki marynarz wzruszył nieśmiało ramionami.

–Och, przecież Gorbals Wullie nie jest taki, żeby pamiętać urazę, panie pierwszy... Daj pan grabę.

Stojący nie opodal mężczyzna ożył nagle i rzucił ostrym, amerykańskim akcentem:

–Uważaj chłopie. Czapka...

Zauważyłem już jednak, że Gorbals Wullie rzuca się na mnie, a drugą ręką wykonuje gwałtowny zamach czapką w kierunku mojej twarzy. W tej samej chwili dostrzegłem niemal niewidoczny pod maskującą warstwą smaru jasny błysk nierdzewnej stali żyłek zręcznie wszytych w połamany daszek tego niewinnego nakrycia głowy.

Rozpaczliwym gestem wyciągnąłem na oślep rękę usiłując go schwytać i wykonałem półobrót, żeby uniknąć smagnięcia czapką. Jakimś cudem udało mi się go złapać za rękaw i gwałtownym szarpnięciem przerzucić przed siebie. Jednocześnie

zamachnąłem się trzymaną w rękę torbą. Poleciała po nierównej, falującej orbicie, dogoniła małego Szkota i trafiła go na wysokości pasa z głuchym, potwornie ciężkim łomotem.

Efekt był taki, jakbym wyrzucił go żelazną kulą na łańcuchu.

Sądząc z pełnego niedowierzania osłupienia, jakie odmalowało się na twarzach załogi "Charona", wywarło to na nich identyczne wrażenie.

Gorbals Wullie wydał przeraźliwy okrzyk bólu, poleciał do przodu jak kłębek pozbawionych nagle czucia kończyn, palnął w reling i zawisnął na nim prawie do góry nogami ze zwieszoną głową i krwawą pianą ściekającą po odchylonej ku górze, obmięklej nagle twarzy.

Odwróciłem się w stronę półkola gapiów i spojrzałem na nich wściekle. Zupełnie nie zwracałem uwagi na lepkie ciepło krwi, którą nasiąkała moja koszula na ramieniu.

–No dobra, tak zwane twarde sukinsyny – warknąłem, nienawidząc ich tak jak nikogo jeszcze dotąd – od tej pory jestem tu zastępcą dowódcy na tej śmierdzącej, brudnej parodii statku i jeżeli komuś się to nie podoba, ma teraz okazję, żeby mi o tym powiedzieć.

Odniosłem wrażenie, że bardzo długo po prostu gapili się na mnie w milczeniu. Grecy, paru czarnych z Indii Zachodnich, wysoki, kościsty Arab i trójka nie ogolonych Europejczyków. Wreszcie ktoś z tyłu parsknął nerwowym śmiechem i stopniowo wszyscy zaczęli uśmiechać się niepewnie. Jeden z czarnych wskazał kciukiem wciąż jeszcze uspiętego Wullie'ego i mrugnął do mnie z podziwem.

–Człowieku – powiedział promieniejąc szczęściem – aleś mu pan przypalantował. Zupełnie jakby go koń kopnął... panie pierwszy, sir.

Całym wysiłkiem woli zachowałem pionową pozycję nie krzywiąc się z bólu.

–Wasze nazwisko?

–Joseph, sir. Marynarz pokładowy Joseph. I nic więcej.

–Weź tego człowieka na dół i zajmij się nim. Dobra?

Kiwnął głową.

–Dobra, sir. – Robił wrażenie zadowolonego.

–I jeszcze jedno... Joseph.

–Tak jest, sir?

Staralem się zachować powagę.

–Kiedy znowu stanie na nogi... powiedz mu, że wciąż życzę sobie, żeby zaniósł walizkę do kabiny zastępcy dowódcy.

Zmuszałem się, żeby stać prosto, aż do chwili, kiedy rozeszli się, dość obojętnie wlokąc za sobą w stronę kubryku na dziobie ciągle jeszcze rzygającego Gorbalsa Wullie'ego. Nagle moje samopoczucie zdecydowanie się poprawiło. Może trochę za nerwowo popatrzyłem przez ramię, bo wyczułem jakiś ruch obok siebie. Spozrzegłem dwóch mężczyzn, którzy poprzednio stali blisko mnie. Pokancerowany mechanik w kombinezonie z uśmiechem wyciągnął rękę. Pamiętałem, że to właśnie on ostrzegł mnie, kiedy ktoś niedawno proponował mi uściśnięcie dłoni i bez wahania podałem mu rękę.

–Al Kubiczek – przedstawił się Amerykanin. – Jestem pierwszym mechanikiem na tej balii. A ten przystojny facet, to Chafic. Nie uwierzysz pan, ale to drugi oficer.

Odpowiedziałem mu niepewnym uśmiechem.

–Na tym statku, czif, jesteśmy w stanie uwierzyć we wszystko... i dziękują.

–Nie ma za co. Wullie to w gruncie rzeczy dobry chłopak, tylko chwilami trochę nietowarzystki. Może powinien pan regularnie obnosić go na kopach wokół pokładu. Byłoby to zbawienne dla jego duszy – choć wcale nie jestem przekonany, że ten mały skurwysyn ją ma.

–Może powinienem ostrożnie korzystać ze swoich przyjemności – odparłem tonem pełnym nadziei. – To może wejść w nałóg.

W tej samej chwili coś sprawiło, że spojrzałem w górę, na posiekany odłamkami mostek, i zamilkłem gwałtownie.

Tuż nade mną stał oparty na relingu człowiek. Wyglądało na to, że był tam przez cały czas. Widział wszystko, co się działo, i nie próbował tego powstrzymać.

–Widzę, że już zaczął pan służbę, zastępczo – Trapp nie ukrywał radości. – Witam na pokładzie HMS “Charon”.

Miałem jeszcze coś do zrobienia, zanim przebrałem się w strój roboczy. Zrobiłem to, kiedy nikt nie patrzył w moją stronę, ukryty za zewnętrzną częścią nadbudówki śródokręcia.

Wysypałem osiem funtów piasku z mojej torby na maskę przeciwgazową. Tej torby, którą obezwładniłem Gorbalsa Wullie'ego.

Może z pewnym poczuciem winy... Ale cóż, skoro wlałeś między wrony...

Nieco później tego samego ranka przeszliśmy do stoczni admiralicji. Skieorwano nas do chyba najbardziej odległego, dyskretnie ukrytego nabrzeża w La Valletta. Przede wszystkim, oczywiście, ze względów bezpieczeństwa – cała wartość “Charona” jako statku-pułapki równałaby się zeru, gdyby choć jedno słowo o jego niekonwencjonalnym wyposażeniu dotarło do nieprzyjaciela. Chodziło jednak, jak sądzę, i o to, żeby nikt nie przypuszczał, że Royal Navy zdradza jakiegokolwiek zainteresowanie tym statkiem. Choćby tylko w celu zatopienia go u wejścia do portu, gdyby Niemcy podjęli próbę wdarcia się do Grand Harbour.

Kiedy już przycumowaliśmy, przyglądałem się ponuro, jak stoczniowcy i spece z parku artyleryjskiego wchodzą ostrożnie na pokład. Najczęściej rozglądali się naokoło z czymś w rodzaju pełnego niedowierzania szacunku. Zupełnie jakby wkraczali do jakiegoś nieznanego, starożytnego grobowca. A potem usiłując robić wrażenie osoby, która niby całkiem przypadkowo znalazła się na tym statku, spróbowałem przemknąć się na rufę, w stronę tego, co humorystycznie nazywano kabiną zastępcy dowódcy.

Ale niezbyt mi się powiodło. Kiedy wchodziłem po trapie z przedniego pokładu, znalazłem się twarzą w twarz z moim byłym przeciwnikiem z planowania.

Popatrzył na mnie podejrzliwie, aż wreszcie coś zaświtało mu w głowie.

–Czyż to nie... hmmm... Miller? Czy to nie pan jest tym przeklętym...

Odpowiedziałem mu wściekłym spojrzeniem. – Tak jest, sir! – W każdym razie słowo “przeklęty” było dość precyzyjnym określeniem, choć nie w tym sensie, o jaki mu chodziło.

–Dopiero teraz mi powiedziano, że został pan mianowany zastępcą dowódcy na tym... hmmm, tym...

–Sir.

Sztabowiec uśmiechnął się. Był to cudowny, anielski uśmiech.

–Wobec tego obawiam się, że muszę przyznać, iż byłem w błędzie, Miller – oznajmił z bezgraniczną pokorą. – Cokolwiek myślałem przedtem, to obecnie jestem przekonany, że admirał wcale nie przestał panować nad sytuacją.

Wszedłem do swojej kabiny, z hukiem zatrzasnąłem drzwi za sobą i rozejrzałem się wokół z nie ukrywanym obrzydzeniem. Pomieszczenie miało wymiary mniej więcej połowy niewielkiej szafy, było wyłożone zaplamioną nikotyną boazerią z drzewa tekowego i śmierdziało czosnkiem, brylantyną oraz ludzkim potem. Znajdowała się w

nim wysoka koja z porysowanymi ściankami, poźółkła fajansowa umywalka w niebieskie kwiatki i z wyszczerbioną dziurą na dole, a także pojedynczy iluminator w pokrytej grynszpanem oprawie, przez który jasne, śródziemnomorskie słońce przebijało się jako brudnobrązowy poblask. I niewiele więcej – poza wszechobecnym brudem.

Ściągnąłem z koi obrzydliwy, sfilcowany ze starości materac, otworzyłem ponownie drzwi, wywlokłem go na wyciągniętych jak najdalej rękach i wyrzuciłem prosto za burtę. Przez chwilę obserwowałem, jak płynie sobie w rozszerzającej się, połyskującej tęczowo tłustej plamie i czułem, jak moja smętna i zapewne dość krótka przyszłość wisi nade mną jak czarna chmura, przed którą nie ma ucieczki. Potem wymamrotałem pod nosem: “Och, mam w dupie całą marynarkę!” – i odwróciłem się gwałtownie.

Znalazłem się nos w nos ze szczupłą, groźną postacią marynarza pokładowego Gorbalsa Wullie'ego.

Który mruknął z uznaniem:

–To samo powiedziałem, panie Miller, sir. Osiem lat temu, zanim zdezerterowałem z “Royal Oak”... Czy chce pan walizkę do kabiny?

Sprawdziłem, czy czapka tkwi niewinnie na jego głowie, zanim odważyłem się zerknąć podejrzliwie na jego ręce. Nie miał w nich niczego poza walizką.

–Na koję! – warknąłem, on zaś tylko skinął głową i zniknął za drzwiami.

Kiedy w chwilę później przekroczył z powrotem zrębnicę, obrzuciłem go zimnym spojrzeniem.

–A więc jesteś i dezertorem. Z marynarki.

Odwrócił lekko głowę i spojrzał na pokład “Charona”, gdzie kręciło się mnóstwo marynarzy i pracowników stoczni. Gdy ponownie spojrzał na mnie, w jego wzroku widniał smutek:

–Zdaje się, że nie bardzo mi się to udało... Pójdę i przyniosę wiadro...

Musiał dostrzec pytanie malujące się na mojej twarzy, bo zawahał się chwilę z pewnym zakłopotaniem, a potem uśmiechnął się:

–Ten Grek, który był przed panem... to był kawał brudasa... i nie mogę pozwolić, żeby pan sam czyścił ten chlew, panie Miller.

Powstrzymałem się przed poinformowaniem go, że nie miałem najmniejszego

zamiaru robić tego własnoręcznie, było to bowiem coś najbardziej przypominającego przeprosiny, co ktokolwiek i kiedykolwiek usłyszał od Gorbalsa Wullie'ego. Z drugiej jednak strony, nie każdy zdobył jego szczerzy szacunek przerzucając go przez cały pokład za pomocą ośmiu funtów maltańskiego piasku.

Patrzyłem w ślad za nim, jak idzie beztrąsko w swojej śmiercionośnej czapce nasuniętej zawadiacko na jedno oko. Było w nim jakieś poczucie całkowitej niezniszczalności, które rzucało wyzwanie całej potędze Royal Navy, Kriegsmarine czy też innej pieprzonej bandzie, która chciałaby spróbować swoich szans z prawdziwym twardzielem.

I nagle, po raz pierwszy od wielu dni spostrzegłem, że uśmiecham się lekko. W czarnych chmurach, które rozpościerały się przede mną, był jednak maleńki prześwit.

Ale tylko jeden. Z pozostałych stron czerń była wciąż cholernie nieprzenikniona.

Zupełnie nieoczekiwanie widoki na przyszłość przybrały chyba lepszy obrót. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Nieprzyjaciel zaatakował Trappa i pierwszy wypowiedział wojnę "Charonowi".

Zrzucając na niego wielką, wspaniale wycelowaną bombę.

Już następnego dnia.

Tego ranka nadlecieli na dwóch pułapach – Stukasy wysoko, od północnego zachodu, a jednocześnie, tuż nad grzbietami fal dwusilnikowe "setki" i Reggione przedzierały się w stronę Grand Harbour i stoczni w czołowym, "wszystko albo nic" ataku. Nieprzyjaciel wiedział, że jest to dla niego ostatni dzwonek. Być może największą ironią w tym wszystkim był fakt, że my też uzmysłowiliśmy sobie to samo – jeżeli chodzi o Maltę. Obie strony – Oś i alianci zaciekle starali się przeważać szalę walki na swoją stronę.

Ten nalot był klasycznym przykładem ataku z doskoku. Syreny, zrywające się staccato zaporowego ognia artylerii przeciwlotniczej i narastający ryk nie zsynchronizowanych silników lotniczych zlały się w jedno. Na "Charonie" starczyło nam tylko czasu na to, żeby stanąć i zobaczyć, jak nadlatują.

Do diabła, nie udało mi się nawet to. Stałem razem z Trappem i dwoma facetami z parku artyleryjskiego w otwartym luku drugiej ładowni, zmagając się z niemożliwym do rozwiązania problemem – w jaki sposób zżarty przez czas kadłub "Charona" wzmocnić do tego stopnia, żeby nie rozsypał się w chmurę rudego pyłu, gdy tylko oddamy pierwszy strzał z działa. Wtedy jakiś bezosobowy głos ryknął: – Nalot!... kryć się! – i natychmiast skrawek błękitnego nieba zaczęły przecinać wirujące,

nurkujące kształty, czarne rozkrzyżowane sylwetki połyskujące od czasu do czasu odblaskami słońca w owiewkach kabin i, skierowanych prawie pionowo w dół, kołpakach śmigieł żółtomordych Stukasów.

Jeden z facetów z parku artyleryjskiego zerknął nerwowo do góry i wymamrotał:

–Może odłożylibyśmy to spotkanie na jakiś czas? – ale drugi tylko mrugnął do mnie i odparł lakonicznie:

–Po co, Charlie? Jesteśmy najprawdopodobniej w jedynym miejscu na Malcie, którego nie mają ochoty trafić.

Trapp spojrział na niego wściekle.

–Weź się pan lepiej do roboty i życzyłbym sobie więcej szacunku dla jednego z okrętów Jego Królewskiej Mości. Nie pozwolę, żebyśmy przez jakiegoś głupiego szwabskiego pilota mieli tracić czas. Dla mnie czas to pieniądz i niech mnie diabli...

Byłem chyba jedynym, który słyszał nadlatującą bombę. Tę, która przeznaczona była “Charonowi”. Najpierw rozległo się wycie nurkującego Stukasa niewidocznego jeszcze za obramowaniem luku. Wycie narastało stopniowo przybierając coraz wyższe tony i paraliżując umysł przerażającym przeczuciem tego, co miało nastąpić. Zacisnąłem mocno oczy ogarnięty obezwładniającym strachem i poczułem, jak pokład zakołysał się lekko pod wpływem podmuchu strumienia zaśmigłowego, kiedy automatyczne hamulce aerodynamiczne Stukasa wyrwały maszynę z nurkowania tuż nad piszczalkowatym kominem “Charona”. I w tej samej chwili jęk syren umieszczonych na końcówkach skrzydeł zagłuszony został jeszcze wyższym w tonacji narastającym świstem...

Ktoś jęknął wstrząśniętym, bolesnym tonem: – O Chryste!

Może to byłem ja. Nigdy się tego nie dowiedziałem.

W każdym razie byłem już w pół drogi na dół do drewnianego międzypokładu, ramię przy ramieniu z podobnie reagującym komandorem podporucznikiem Edwardem Trappem, Royal Navy, gdy bomba rzeczywiście nas trafiła. I kiedy tak nurkowałem w dół, w moich myślach tłukło się szydercze: No i po jakie лихо to robisz, chłopie? Już jesteś trupem, bo przed bezpośrednim trafieniem nie ma się gdzie schować... najpierw wpakowali cię do trumny, a potem rozszarpali na kawałki...

Gdzieś nad nami rozległ się dźwięk przypominający zerwanie gigantycznej struny harfy. Wycie bomby gwałtownie rozpląnęło się w mrożącej krew w żyłach serii łomotów przeplatanych zgrzytem rozdzieranej stali. Coś uderzyło w podstawę zrębnicy luku i otworzyłem oczy w tej samej mikrosekundzie, kiedy pocisk otarł się ze zgrzytem o stalowy wspornik, zrykoszetował w szaleńczym młyńcu od jednego

końca ładowni do drugiego, aż wreszcie – a wszystko w czasie jednego uderzenia serca – przewiercił się gładko przez deski międzypokładu pomiędzy Trappem a mną i zniknął w dolnej części ładowni “Charona”.

Potem zapadła cisza. Niewiarygodna cisza.

Patrzyłem oszołomiony na Trappa ponad rozdzielającą nas wyszarpaną dziurą. – Nie... nie wybuchła... – wyszeptałem oskarżycielskim tonem. – Ta... cholera... nie... wybuchła.

Jeden z facetów z parku artyleryjskiego zaczął straszliwie dygotać pod wpływem przeżytego szoku. Trapp zaś zerknął ponuro w otwór i rzekł: – Ale jeszcze może, kolego. Wybuchnąć, oczywiście...

...biorąc pod uwagę, że nie mam w ładowni żadnych zegarów. A tymczasem, tam na dole coś tyka jak cholerny metronom. Bezpośrednio pod nami...

Kiedy pomagałem wstrząśniętemu artylerzyście wygramolić się po pionowym trapie na pokład, wokół luku zaczynał się już zbierać tłum.

Błyskawiczny nalot prawie się już zakończył i gdy wysunąłem głowę nad zrębnicę, aby zaczerpnąć głęboko powietrza, dostrzegłem ostatni nieprzyjacielski samolot – włoski myśliwiec bombardujący Reggione – jak przemyka obok nas nieomal muskając powierzchnię wody, a na jego ogonie wisi jak wściekły owczarek plujący ogniem Spitfire. Potem, trochę za wejściem do portu z Reggione zaczęły się sypać jakieś kawałki, aż wreszcie ciągnąc za sobą ogon czarnego jak smoła dymu zaczęli końcówką płata o wodę i przekoziółkował dwieście jardów rozbryzgując naokoło pianę i płonące paliwo.

Ktoś złapał mnie za ramię i przeciągnął nad zrębnicą. Uniosłem wzrok, zobaczyłem piwne, rozbiegane nerwowo oczy mojego młodszego stopniem kolegi, drugiego oficera Babikiana i wykrztusiłem:

–Wygoń wszystkich na brzeg, chłopie. Szybko! Mamy na pokładzie tykającą bombę.

Parę osób z tłumu natychmiast zaczęło się odsuwać, ale reszta niezbyt przejęła się ostrzeżeniem. Z pewnym zdziwieniem spostrzegłem, że większość tych, którzy pozostali, składa się z członków załogi “Charona”. W istocie tylko paru Greków dołączyło do powszechnej rejterady w stronę trapu zejściowego i bezpieczeństwa, jakie zapewniało nabrzeże, reszta zaś tkwiła naokoło luku z krwiożerczymi minami. Pomyślałem wtedy ni w pięć, ni w dziewięć: Bóg jeden wie, jak zaszkodzą Szwabom, ale dla mnie będą cholernie ciężkim orzechem do zgryzienia...

–Proszę? – wymamrotał z wahaniem Babikian. – Słuchajcie, może zeszlibyście na ląd, co? Tam będzie bezpieczniej.

Prawdziwy przywódca.

Wullie – oczywiście, to musiał być Gorbals Wullie, któż by inny? – zapytał zadziornie:

–E tam, jeszcze nie wybucha. Może by ją wyciągnąć i wypieprzyć za burtę, co?

Wytrzeszczyłem na niego oczy. Nie wydawało mi się, żeby była to najwłaściwsza pora na rozważanie wszelkich za i przeciw samodzielnemu rozbijaniu bomby. Poza tym zresztą, gdyby nawet udało się wyrzucić ją za burtę, to jeśliby grzebnęła, wybuch zapewne wyjąłby “Charona” z wody jak piórko i umieścił go gdzieś w środku tej cholerniej wyspy.

Co zresztą, jeżeli się lepiej nad tym zastanowić, nie byłoby wcale takim złym rozwiązaniem. Pod warunkiem, że nie rąbnie w chwili, kiedy będę jeszcze na pokładzie. Nagle, przez klub dyskusyjny s8s “Charona” przecisnął się nowy przybysz i z uczuciem ulgi rozpoznałem tchnące rozsądkiem, pokancerowane oblicze Ala Kubiczka.

Uczucie ulgi trwało do momentu, kiedy on również odezwał się beztrosko:

–Może to niewypał? O ile wiem, zaczepiła o wantę masztu, potem odbiła się od pokładu jak ósma kula na stole bilardowym... i jeżeli wtedy zapalnik nie zadziałał, to przypuszczam, że nic jej już nie ruszy.

Zrobiłem głęboki, kontrolowany wdech. Nigdy dotąd nie przypuszczałem, że kiedykolwiek znajdę się w towarzystwie ludzi, którzy w momencie, kiedy trzeba podjąć decyzję, jak zachować się wobec niewypału, będą kierowali się niczym nie uzasadnionym optymizmem zamiast rozsądną, logiczną zasadą “ratuj się kto może”.

Każdy mięsień mojego ciała był napięty jak drut, gdy czekałem na eksplozję, która podmuchem zmiecie mnie, Trappa i całą tę kretyńską, niewiarygodnie krnąbrną załogę w nieskończony, ognisty niebyt.

–Czifie – powiedziałem wolno i z naciskiem. – Tu, bezpośrednio pod naszymi nogami znajduje się wyjątkowo wybuchowy obiekt. To nie jest niewypał, ale bomba o opóźnionym działaniu, która w związku z tym, że mechanizm zegarowy się uruchomił, niewątpliwie eksploduje w najbliższej przyszłości... Ona już zaczęła tykać. A ponadto, po tych wszystkich karambolach zapalnik jest niewątpliwie czuły jak wszyscy diabli...

Dostrzegłem jakiś ruch w ładowni, przerwałem więc gwałtownie i spojrzałem w dół. Przez parę błogich chwil zupełnie nie pamiętałem o Trappie, ale teraz, nie wierząc własnym oczom zobaczyłem, jak niedbale podnosi brzeg podziurawionej pokrywy luku, odsuwa ją na bok, a potem pochyla się głową w dół i zawisa górną połową ciała nad pustą dolną ładownią.

I nad bombą.

–Zostaw ją pan, na litość boską – wrzasnąłem mimowolnie.

–Kapitanie, niech pan tylko opróżni statek z ludzi i wezwie grupę rozminowania...

Jego głos, stłumiony, ale złowieszczo obojętny, dobiegł do nas z dołu.

–Widzę ją, kolego. Tkwi ślicznie jak złoto w zbiorniku McIntyre'a między płytami pokładu i wręgą poszycia...

–No to niech pan wyjdzie na górę i wygoni tę bandę na brzeg... – Chyba trochę się uniosłem, mimo to nikt nie zdradzał zamiaru ruszenia się z miejsca. – Muszę zejść na brzeg i wezwać saperów. Na pewno uzyskam od admirała absolutne pierwszeństwo... ale, na litość boską, niech ich pan wszystkich wygoni z okrętu, sir!

–Ach, tak – odpowiedział Trapp.

Z namysłem. Jęknąłem rozpaczliwie.

I zacząłem biec.

Gdy szaleńczym galopem pokonałem trap zejściowy kierując się w stronę najbliższego telefonu, na nabrzeżu było pusto. Mała grupka pracowników stoczni tkwiła za węgłem warsztatów w odległości jakichś osiemdziesięciu jardów i wydawało mi się, że za ich plecami dostrzegłem hełm zbliżającego się policjanta. Zatrzymałem się z poślizgiem i rozejrzałem z niepokojem wokoło wypatrując jakiegoś środka transportu. Uświadomiłem sobie bowiem, że o bombie wiedzą jedynie ci, którzy znajdowali się na pokładzie “Charona”.

Nagle, w cieniu budynku warsztatów zauważyłem błysk chromowanej części. Podbiegłem i ujrzałem zaparkowany dyskretnie za rogiem kabriolet – staroświeckiego Alvisa. Najwidoczniej jego właściciel unikał ostentacji na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy zadawać zbyt wiele pytań, skąd pochodzi benzyna... a raczej, z którego składu paliw Admiralicji.

Czując ciągle napięte mięśnie grzbietu w oczekiwaniu nieuniknionej eksplozji, wskoczyłem na miejsce kierowcy, z ulgą zobaczyłem, że kluczyki są w stacyjce i nacisnąłem rozrusznik. Za moimi plecami “Charon” dalej rdzewiał ze spokojną godnością i jedynie mała grupka samobójców gestykulująca wokół luku drugiej ładowni, zakłócała sielankowy nastrój tej śródziemnomorskiej sceny.

Alvis obudził się z warknięciem. Zwolniłem ręczny hamulec, rzuciłem ostatnie spojrzenie na kolegów z załogi, których zapewne stracę lada chwila, i odjechałem z rykiem silnika i dziwnym uczuciem żalu... Być może dlatego, że po raz pierwszy od

chwili, gdy się z nimi zetknąłem, uświadomiłem sobie ich niewytłumaczalne przywiązanie do tego archaicznego wraku i poczucie jakiegoś pirackiego braterstwa, jakie łączyło całą jego załogę.

Straciłem osiem minut na wrzaski, klątwy i groźby, zanim ostatecznie połączono mnie z admirałem.

–O co chodzi, Miller? – warknął ze złością. – Wydałem polecenie, żeby mi nikt nie przeszkadzał podczas narady.

–Mamy bombę na pokładzie – odrzekłem. – Opóźnionego działania z zapalnikiem czasowym...

–Dobrze. Opuścić statek. Daję panu pierwszeństwo.

Słuchawka w moim ręku zamilkła. Popatrzyłem na nią z obrzydzeniem i mruknąłem:

–Sam im rozkaż opuścić statek. Nawet pieprzona Luftwaffe nie była w stanie ich do tego zmusić!

Potem znowu wskoczyłem do Alvisa i przewyciężając pragnienie zwinięcia się w kłębek i ukrycia gdzieś głęboko do chwili, aż usłyszę głośny i ostateczny wybuch, przełożyłem biegi i wystartowałem w kierunku “Charona”.

Teraz na mnie kolej, żeby się wściec. Podjąłem postanowienie, że ewakuuję tę pływającą strefę klęski żywiołowej, nawet jeżeli będę musiał osobiście wyrzucić każdego członka załogi za burtę. Włącznie z komandorem podporucznikiem Edwardem Trappem – najemnikiem wyjątkowym i specjalistą od przetrwania.

Prawdę mówiąc – szczególnie komandora podporucznika Edwarda Trappa. Z ogromną i od dawna tłumioną satysfakcją.

Albo mi się uda, albo wylecę w powietrze razem z nim. W gruncie rzeczy to jedynie w niewielkim stopniu przyspieszało zatonięcie “Charona”, mnie zaś mogło oszczędzić niewygodę gnieźdzenia się w tej dziurze zwanej kabiną po to tylko, żeby zostać storpedowanym, ostrzelanym albo usmażonym żywcem w płonącym kordycie gdzieś u wybrzeży Afryki Północnej.

Rycząc klaksonem przemknąłem między wciąż jeszcze patrzącymi stoczniovcami i na pełnym gazie pomknąłem po nabrzeżu w stronę statku. Ku mojemu zaskoczeniu był tam jeszcze. Wydawało mi się, że wygląda na jeszcze bardziej zaniedbany, kiedy zatrzymałem się z piskiem hamulców, wyskoczyłem...

I stanąłem. Jak wryty. I popatrzyłem osłupiały.

Winda ładunkowa działała. Mogłem się o tym przekonać, widząc kłęby pary uciekające ze źle zakonserwowanego dławika i otaczające nogi obsługującego windę marynarza pokładowego Josepha I-nic-więcej. Przerdzewiała lina stalowa wybiegała z bębna windy do góry, przez blok bomu ładunkowego, a potem opadała w dół, przechodziła obok pełnej skupienia postaci drugiego oficera Babikiana i znikła w kwadracie luku drugiej ładowni.

Tam, gdzie znajdowała się bomba.

–Nie! Proszę... – szepnąłem. – Tylko nie windą, na litość...

A potem zacząłem biec. Znowu. Na nogach jak z ołowiu.

Otworzyli całkowicie dolną ładownię. Teraz deski międzypokładu leżały złożone w kącie i jasne światło słoneczne wpadało do środka statku, oświetlając jak reflektorem czarny, kroplowaty cylinder wbity niezgrabnie między dwoma stalowymi wręgami. Na dolną część stateczników założona była pętla z liny konopnej połączona ze stalówką windy ładunkowej. Do zaczepów bomby umocowane zostały sizalowe linki odciągowe. Jedną z nich trzymał z ponurą determinacją pierwszy mechanik Kubiczek, drugą zaś bawił się Gorbals Wullie w swej czapce zsuniętej na tył głowy. Z wyraźnym zniecierpliwieniem czekał, żeby coś wreszcie zaczęło się dziać.

I niewątpliwie się zacznie, pomyślałem W chwili, gdy zaczną wybierać linę.

Trapp, który stał na szeroko rozstawionych nogach i z rozłożonymi ramionami w najlepszym punkcie obserwacyjnym – nad pokrywą zapalnika bomby – zerknął w górę i mruknął:

–Już z powrotem, co?... Podnosimy, drugi... wybieraj luz – powoli i delikatnie, dobra?

–Nie! – wrzasnąłem. – Wróć!

Było już jednak za późno, Babikian bowiem uniesioną ręką zatoczył nad głową śmieszne kółko, Czarny Joseph zwolnił sprzęgło windy ładunkowej znikając przy tym w kłębach pary, a wiekowa maszyna zajazgotała, budząc się do życia. Stalówka naprężyła się gwałtownie jak struna i zadźwięczała basowo usiłując pokonać opór zaklinowanej bomby.

Przez parę chwil nic się nie działo, jedynie przerdzewiała lina zdawała się coraz cieńsza, w miarę jak jazgot windy przeszedł w przygłuszony ryk wściekłości. Trapp podrapał się w zamyśleniu po głowie, a Wullie oparł stopę na bombie i próbował uwolnić ją, kołysząc z boku na bok.

Pochylając się nad zrębnicą luku, czułem, jak po twarzy spływa mi lodowaty pot

przerażenia.

–Trapp, na litość boską, człowieku...

–Komandorze Trapp, kolego – beznamiętnie spojrział w górę. – A poza tym wiem, co chce mi pan powiedzieć.

Bęben windy ze złowrogim zgrzytem wykonał ćwierć obrotu i lina jęknęła z bólu. Zacisnąłem dłonie na łuszczącej się krawędzi luku, aż pobieleły mi kostki palców.

–Przekazuję panu bezpośredni rozkaz, komandorze. Od admirała. Ewakuować okręt aż do momentu, gdy grupa rozminowania załatwi tę sprawę.

–Tak? A czy powiedział coś o ubezpieczeniu? Na przykład o tym, kto zapłaci, jeżeli bomba pieprznie, zanim wasi eksperci z marynarki zjawią się, żeby przystąpić do roboty?

Gorbals Wullie przestał kopać bombę i zaczął rozglądać się naokoło wyraźnie czegoś szukając – zapewne czegoś, co mogłoby mu posłużyć jako dźwignia, choć równie dobrze mogłem się po nim spodziewać, że będzie to młot kowalski.

–Jeżeli pieprznie teraz – warknąłem – to tak czy owak nie będzie pan w stanie nic odebrać.

Trapp wzruszył ramionami.

–W takim razie nie ma potrzeby przejmować się ubezpieczeniem, co, kolego? – odparł z miażdżącą logiką – a teraz muszę brać pod uwagę moje własne interesy. Mam sporo kapitału zamrożonego w starym “Charonie”, no i trzymiesięczny czarter dla bardzo solidnej firmy, więc...

Wciąż pracująca winda gwałtownie zwiększyła obroty w momencie, gdy opór nagle zniknął. Przez chwilę miałem zarejestrowany na siatkówce oka obraz, jak wypełniony materiałem wybuchowym cylinder wyskakuje z uścisku wręg, krzesząc iskry przelatuje ze ścinającym krew zgrzytem po stalowym pokładzie, uderza z łomotem w wewnętrzne poszycie kadłuba, omija Gorbalsa Wullie'ego o grubość warstwy farby i wreszcie zawisa zataczając zmniejszające się spiralne kręgi z błyszczącą mosiądzem osłoną zapalnika o pół cala nad pokładem.

–A co, nie mówiłem? – stwierdził Trapp z ogromną satysfakcją w głosie.

Wullie miał minę skrzywdzonego dziecka.

–Ale to niebezpieczny sukinsyn. Omal mi nie przypalantował, no nie?

Czif przyłożył ucho do powoli obracającej się bomby i po chwili uśmiechnął się uspokajająco.

–Chyba ją załatwiliśmy na dobre. Przestała tykać.

Wrzasnąłem “O Jezu!”, a potem, nienawidząc ich za to, że nie pozostawiają mi żadnego wyboru, chwyciłem drugiego oficera za ramię i powiedziałem do niego tak stanowczo i wyraźnie, jak tylko mogłem:

–Babikian, mamy parę sekund, może parę minut. Na nabrzeżu stoi samochód. Weź stąd tę cholerną bombę i opuść ją na brzeg... a teraz Ruszać się, chłopaki!

Zbiegłem po trapie, wskoczyłem za kierownicę i zawróciłem szaleńczo, zanim bom ładunkowy z podwieszoną bombą wychylił się majestatycznie za burtę. Wskoczyłem z samochodu i starając się stłumić kołysanie bomby, kierowałem ją na tylne siedzenie.

Od strony “Charona” rozległ się głośny okrzyk. Obejrzałem się przestraszony, ale to tylko Gorbals Wullie i czif Kubiczek szarżowali po trapie w moją stronę. Wullie potknął się na ostatnim stopniu, przekoziółkował w chmurze pyłu, zgrabnie poderwał się i popędził dalej. Jego nogi pracowały jak tłoki.

–Poczekaj pan! Pomożem panu.

Nie było czasu na dyskusje. W końcu to była ich bomba.

–No to włączcie na tylne siedzenie – rzuciłem ostro – i uspokójcie to cholerstwo. DELIKATNIE! – a potem wskoczyłem znów za kierownicę i zacząłem ruszać z gardłowym rykiem silnika.

–Chwileczkę, chłopie! – wrzasnął czif. – Chyba że chcesz zabrać ze sobą tę przeklętą łajbę.

Dopiero wtedy zauważyłem, że bomba wciąż jest przymocowana konopną linką do stalówki.

Wullie wymamrotał dziko: – Och, nie mogę odwiązać tej zdziry – ja zaś wrzasnąłem: – To odetnij, człowieku. Odetnij ją!

Spojrzał na mnie nieco roztargnionym wzrokiem.

–Nie mam noża, sir.

Zamknąłem oczy. Tylko na chwileczkę. Potem zerwałem mu z głowy czapkę, przejechałem wszytymi w daszek ostrzami po konopnej linie, ze zgrzytem zmieniłem

biegi i wystartowałem jak Sea Fury wykatapultowany z lotniskowca.

Bomba wybuchła dokładnie trzydzieści sekund po tym, jak zatrzymaliśmy się z poślizgiem na pustym kawałku terenu. Natychmiast wyskoczyliśmy nie gasząc silnika i rzuciliśmy się szaleńczym klusem w stronę najbliższego ukrycia. Podmuch eksplozji przeturlał mnie parę razy i wreszcie zostawił rozciągniętego na grzbiecie.

Dostrzegłem jak przez mgłę krąg pełnych potępienia twarzy należących do członków naszej, przydzielonej z absolutnym pierwszeństwem, właśnie przybyłej, grupy rozminowania.

Dowodzący saperami kapitan marynarki oznajmił z irytacją: – Muszę stwierdzić, że uważam za nieco niestosowne takie grzebanie w naszej własności.

Mrugnąłem oszołomiony. – Mam wrażenie, że w tym przypadku nie mieliśmy szczególnego wyboru.

Odwrócił się i wgramolił na swoją ciężarówkę. Wciąż wyglądał na urażonego. – No cóż, mimo wszystko, podobno to właśnie my jesteśmy tu jedynymi facetami, którzy mają prawo dać się wysadzać w powietrze. Bardzo proszę mieć to w przyszłości na uwadze.

Pozbierałem się jakoś i wstałem, patrząc wściekle za odjeżdżającą ciężarówką.

**–Jeżeli będę się chciał wysadzić, to na pewno to zrobię! – wrzasnąłem histerycznie.
– Gdzie zechcę, kiedy zechcę... I tak często jak zechcę!**

Trapp czekał na mnie, gdy przykuśtykałem z powrotem na “Charona”.

–Jeśli chodzi o samochód, którego pan użył – oznajmił stanowczo – to był pański pomysł i całkowicie pańska odpowiedzialność. Mam nadzieję, że nie spodziewa się pan, że to ja za niego zapłacę.

Popatrzyłem na niego osłupiałym wzrokiem.

–Ty sukinsynu – wymamrotałem. – Ty nieszczęsny, chciwy, skąpy sukinsynu!

–Sir?! – dodał. I uśmiechnął się jak wielki, wspaniały kot z Cheshire.

–Sir! – warknąłem.

A potem, trochę wbrew swojej woli, również zacząłem się uśmiechać. Ale wydawało mi się, że nie mam żadnej innej logicznej alternatywy. Poza popadnięciem w totalny obłąd, oczywiście.

W każdym razie dopóty, dopóki będę zastępcą dowódcy na HMS “Charon”.

Rozdział 5

Tak więc remont trwał nadal, prowadzony przez zgrają stoczniowych monterów i zbrojmistrzów. Trudzili się w dzień i w nocy nad tym, żeby przekształcić “Charona” w najbardziej niezwykły okręt wojenny od czasu, kiedy Leonardo da Vinci zaprojektował swoją pierwszą łódź podwodną. Która, o ile mi wiadomo, zatonała w chwili wodowania.

Jeżeli chodzi o ogólnie rozumianą wartość bojową, byliśmy w dalszym ciągu dość bezsilni. W przypadku bezpośredniego pojedynku artyleryjskiego “Charon” miał mniejsze szanse niż wynurzony U-boot – tym bardziej że nie uwzględniałem dużego prawdopodobieństwa, iż jego leciwy kadłub rozpadnie się pod wpływem nie tylko bezpośredniego trafienia, ale i bliskiej eksplozji.

Jedynym asem w naszej talii mógł więc być element zaskoczenia. Gdy więc los w nieunikniony sposób zetknie nas w końcu z prawdziwym okrętem wojennym, część załogi uda, że opuszcza niewinny frachtowiec w zrozumiałej panice – co w danej sytuacji nie wymagało, jak sądzę, szczególnych umiejętności aktorskich. Ci z nas natomiast, którzy pozostaną na pokładzie, może uzyskają jedną króciutką szansę, by otworzyć ogień do nieprzyjaciela przekonanego, że nic mu z naszej strony nie zagraża. Musieliśmy trafić go mocno, szybko, dokładnie i zadać mu tak śmiertelny cios, żeby nie był w stanie odpowiedzieć. W tym celu wyposażono nas w dwa działa. Jednym, optymistycznie nazwanym działem głównego kalibru, było działo morskie kalibru 4,7 cala, które wydało mi się niezwykle odpowiednim uzbrojeniem, jeżeli wziąć pod uwagę, że było ono prawie tak stare jak “Charon”. Strzelało jednak pociskami burzącymi, a nie okrągłymi kulami żelaznymi. No i nie ładowano go od wylotu lufy.

Ta niezgrabna broń została umieszczona na specjalnie wzmocnionym międzypokładzie w ładowni numer dwa – tam gdzie niedawno poskramiano bombę o opóźnionym działaniu. Zręcznie wycięto płyty poszycia kadłuba “Charona”, a następnie zastąpiono je opuszczanymi klapami, które dawały zupełnie przyzwoite pole ostrzału zarówno z prawej, jak i z lewej burty. Jedno było całkiem pewne. Wyraz twarzy jakiegokolwiek dowódcy jednostki Kriegsmarine, który nieoczekiwanie zobaczy, jak “Charon” rozpada się w szwach i ujrzy przed sobą kolubrynę z wylotem lufy przypominającym tunel kolejowy wymierzonym prosto w niego, nieomal wart był tego, żeby mimo wszystko na niego czekać.

Nasze drugie działo było przynajmniej nowocześniejsze, ale miało zdecydowanie mniejszy kaliber – był to wycofany z Królewskiej Artylerii Bofors, który pozwalał utrzymać stałe tempo ognia wspierającego znacznie wolniejsze działo 4,7. Mógł się on okazać w rzeczy samej bardziej przydatny do walki z mniej groźnymi przeciwnikami, jednostkami nocnej floty zaopatrzeniowej Rommla, które stanowiły nasz główny cel dopóty, dopóki zdołamy utrzymać się na powierzchni.

Ukrycie Boforsa było pewnym problemem do chwili, kiedy ostatecznie postanowiliśmy zamaskować go jako ładunek pokładowy. Został umieszczony na przednim pokładzie ładunkowym i schowany w wielkiej, prymitywnie skleconej drewnianej skrzyni, która powinna się rozłożyć po wyciągnięciu jednego sworznia, kiedy padnie rozkaz otwarcia ognia. Coś w rodzaju wielkiego i “rozrywkowego” diablaka wyskakującego z pudełka.

Po namyśle dodano nam jeszcze cztery ciężkie kaemy, które ukryto pod ażurowymi skrzynkami na warzywa umieszczonymi po wewnętrznej stronie nadburcia. To na wypadek, gdybyśmy mieli zamiar zająć się dość szczególną formą walki na krótki dystans.

Czy może – morderstwem? Do tej pory bowiem nie wiedzieliśmy jeszcze, co mamy robić z ocalałymi członkami załóg zaatakowanych przez nas arabskich dhow i małych kabotażowców? Jak mamy uniemożliwić im złożenie w najbliższym nieprzyjacielskim punkcie dowodzenia meldunku, który uświadomiłby wszystkim niemieckim jednostkom w południowej części Morza Śródziemnego, że zamaskowany brytyjski okręt wojenny znalazł się na ich akwenie.

Chyba że, oczywiście, zniechęcimy ich do narażania naszej operacji na szwank. Za pomocą kuli...

W czasie gdy instalowano artylerię, dokonano również innych przeróbek. Nowa sterówka, odpowiednio spatynowana, zastąpiła poprzedni kurnik, a w tym samym czasie obudowano skrzydła mostka pokrytymi drewnem stalowymi płytami. Bardzo mi to odpowiadało, bo było to właśnie moje stanowisko bojowe. Dość prymitywne przyrządy kontroli ognia, którymi dysponowałem, składały się z odpowiedniej ilości przysłoniętych przezierników, dzięki którym na mostku nie było nikogo widać i mógł on sprawiać wrażenie opuszczonego, a także zamaskowanych dalmierzy na każdym skrzydle i telefonicznych połączeń z dowódcami dział 4,7 i Boforsa oraz z maszynownią.

Aha, i ponadto ze stalowych hełmów dla Trappa i dla mnie. Jak widać, w przypadku operacji “Styks” nie liczone się z kosztami.

Wyposażono nas również w nowiutkie kamizelki ratunkowe. Kiedy jednak przekonałem się, że nie są kuloodporne i trudno liczyć na to, że któraś z nich pomoże utrzymać się przy życiu, kiedy będę sobie pływał oko w oko z wylotem lufy Schmeissera trzymanego przez poirytowanego hitlerowskiego Oberbootsmanna, to hojność Royal Navy przestała robić na mnie wrażenie.

I wreszcie ostatni szczegół. Biorąc pod uwagę naszą taktykę polegającą na tym, że “zespół paniki” opuści statek i tym samym uśpi czujność Niemców, i zakładając, że być może trzeba będzie robić to niejednokrotnie, zastąpiono dziurawą jak rzeszoto

oryginalną szalupę "Charona" zupełnie nową. Istniała więc szansa, że nie pójdzie w zanurzenie natychmiast po opuszczeniu jej na wodę.

Albo jak to zgrabnie określił mój arcywróg z planowania sztabowego: – W ten sposób... hmm... Miller, chyba jest mniej prawdopodobne, że prędzej zabraknie panu marynarzy niż szczęścia.

Kilka dni później, kiedy wysmarowani olejem i pokryci płatkami rdzy oraz prehistorycznym brudem z najgłębszych otchłani statku pospiesznie rzężyliśmy herbatę w mesie "Charona", Al Kubiczek zastygł nad na wpół opróżnionym kubkiem cieczy stanowiącej nasz podstawowy posiłek i zmarszczył brwi.

–Słyszycie, chłopaki? Tam, daleko.

Przestałem żuć i zacząłem nasłuchiwać. Miał rację. Słysząc było coś, czego nie byłem w stanie od razu zidentyfikować. Powoli narastająca wrzawa od strony Grand Harbour. Przez chwilę siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie z lekkim przestraszaniem, aż wreszcie Trapp rzekł:

–Ludzie wiwatują. Słyszycie?

–Może wojna się skończyła? – Babikian uśmiechnął się z nadzieją.

Popatrzyłem z obrzydzeniem na trzymaną w rękę kromkę czerstwego chleba z cieniutką warstwą dżemu. Za parę dni może nie być nawet tego.

–Pewnie ktoś znalazł puszkę z wołowiną – warknąłem. I wtedy ogarnęła mnie fala nadziei zbyt pięknej, żeby mogła być prawdziwa. – PEDESTAL! – krzyknąłem i zerwałem się przewracając krzesło. – To musi być konwój "Pedestal"!

Przyglądali mi się z niepokojem wzrokiem lekko szajbniętych ludzi, którzy nagle przekonali się, że wśród nich znajduje się prawdziwy wariat.

Stałem na wałach obronnych nad portem ramię przy ramieniu z podskakującymi, wiwatującymi żołnierzami przemieszczanymi z Maltańczykami, którzy tyle i tak długo cierpieli.

Szare, umęczone transportowce powoli płynęły w naszym kierunku przez oczyszczony tor wodny poprzedzane przez trałowce z Malty i osłaniane przez krążące wyzywająco w górze Spitfire'y, które pobłyskiwały skrzydłami na wieczornym niebie. To było święto wyspy. Nieprzyjaciel nie został na nie zaproszony.

Policzyłem statki. Nie zajęło mi to zbyt wiele czasu. Były tylko trzy – trzy z czternastu. Długie, głęboko zanurzone frachtowce podpływały spokojnie do nabrzeży, przy których tak gorąco ich oczekiwano. "Melbourne Star" o kadłubie

pokancerowanym i osmalonym podczas przeprawy przez płonące morze w miejscu, gdzie zatonął jeden z jego mniej szczęśliwych współtowarzyszy. “Port Chalmers”, “Rochester Castle”...

I nic poza tym. Zbiornikowca nie było. Nie było “Ohio”...

Usłyszałem obok mnie cichy głos. – Dzięki Bogu, ludzie znowu będą mieli co jeść. Ale kosztowało nas to dużo... bardzo dużo.

Odwróciłem się i zobaczyłem komandora porucznika z planowania wpatzonego ze smutkiem w morze. Potem drgnął i mruknął. – Dobrze by było, żebyście mogli wyruszyć w morze przy pierwszej okazji... hmmm... Miller. W przeciwnym razie może nie będziecie mieli czasu, żeby się w ogóle stąd wydostać.

–Ależ sir? – popatrzyłem na niego osłupiały. – Przecież “Pedestal” dotarł. Przynajmniej jego część... Pewnie...

Popatrzył na mnie. Jego oczy były poważne. – W obecnej chwili kończą nam się ostatnie rezerwy paliwa. Potrzebowaliśmy tych statków, ale na Boga, jeszcze bardziej potrzebujemy zbiornikowca.

Horyzont wydał mi się bardzo odległy i bardzo pusty. Odezwałem się cicho: – Co z “Ohio”? Czy został zatopiony?

Komandor wzruszył ramionami.

–Nie wiemy dokładnie. Ale to nie ma znaczenia. Musieli go zostawić siedemdziesiąt mil stąd... tak że to tylko kwestia czasu...

Przeciskałem się przez morze ludzi o szczęśliwych, pełnych ulgi twarzach. Nikt z nich jeszcze nie wiedział. Z wyjątkiem kilku z nas na tej wyspie, gdzie sama odwaga już nie wystarczała.

Kilku z nas. I jeszcze grupa wyczerpanych ludzi, którzy w tej właśnie chwili czekali z goryczą obok tonącego powoli, porozbijanego bombami statku, znajdującego się osiemdziesiąt bezgranicznie długich mil od bezpieczeństwa.

Ale byliśmy już prawie gotowi. Musieliśmy jeszcze tylko zamontować windę kotwiczną na miejsce tej, którą odstrzeliła Royal Navy i zakończyć przegląd maszynowni “Charona” prowadzony pod sokolim okiem pierwszego mechanika Kubiczka. Choć Kubiczek był dezercerem z US Navy, zdołał zdobyć poważny, choć niechętny podziw mechaników z Royal Navy pracujących przy mechanizmie napędowym, który uważali za równie przestarzały jak “Rakieta” Stephensona.

Być może był to podziw raczej dla dobrego gustu, jaki okazał podczas dezercji, nie

zaś dla jego zręczności w dorabianiu niemożliwych do zdobycia części zapasowych do maszyny "Charona".

Wtedy też, skoro już mowa o potencjalnych dezterterach, przybyła grupa przeznaczonych dla nas artylerzystów. Naszych dziesięciu "ochotników". Z jednostek Floty.

Na wpół pijani, agresywni i niezbyt podobni do specjalistów z jakiegokolwiek marynarki wojennej. Może z wyjątkiem marynarki Trappa.

Stałem u szczytu trapu i obserwowałem z pogłębiającym się z każdą chwilą przygnębieniem, jak jeden po drugim wypadają z tyłu ciężarówki wśród lawiny plecaków, czarnorynkowych puszek z piwem i zgubionych czapek wojskowych. Wreszcie przekleństwa i plugawe wyzwiska stopniowo przeszły w pełną oszołomienia ciszę, kiedy po raz pierwszy dostrzegli "Charona" i zaczęła do nich docierać świadomość, co może się zdarzyć zbyt krnąbrnemu podkomendnemu, który narazi się zastępcy dowódcy.

Jeden z nich, coś w rodzaju umundurowanej kopii Gorbalsa Wullie'ego, oznajmił wstrząśniętym głosem: – Chcecie powiedzieć, że dostałem przydział na to?

Drugi, potężny mat o złamanym nosie i perwersyjnym poczuciu humoru, mruknął: – Dali ci przecież wybór, co? Równie dobrze mogłeś wybrać dwumiesięczną odsiadkę, stary!

Kolejny artylerzysta zakręcił się na pięcie i zaczął gramolić się z powrotem do ciężarówki. – Masz rację, Killich. Pierdel będzie czystą przyjemnością po tym, jak zobaczyłem...

Z wnętrza ciężarówki ryknął potężny głos:

–Wróć, Clark. Do SZEREGU, kazałem!

Boże, co za bosmana trzeba, żeby utrzymał w garści tę hałastrę, pomyślałem. I wtedy właśnie zobaczyłem jakiego. Artylerzysta Clark poleciał gwałtownie do tyłu, po tym jak o jego pierś oparła się czyjaś stopa i popchnęła go. Mocno.

Po chwili z ciężarówki zeskoczył lekko mężczyzna, otrzepał się nie zwracając uwagi na rozciągniętego na ziemi marynarza i uśmiechnął się do mnie radośnie.

–Czy mnie pan pamięta, sir?... Jestem Artur Crocker. Zgłosiłem się do służby, kiedy tylko dał pan znać.

Na chwilę zmarszczyłem brwi, ale nagle mimowolnie odpowiedziałem uśmiechem. Okazało się bowiem, że mój bezpośredni pomocnik to najdoskonalszy kandydat,

jakiego mogłem sobie wyobrazić – bosman Crocker, RN. Ostatnio widziany pod ścisłym aresztem za niedopełnienie obowiązków, ponieważ będąc na służbie jako dowódca warty nie wykonał rozkazów i po wejściu na pokład statku, do którego dostępu pilnował, uderzył kilku członków załogi rzeczonyj jednostki...

–Witamy na pokładzie, bosmanie! – zawołałem serdecznie. – Większość tych typów już pan zna.

Jedyną rzeczą, jakiej nie mogłem sobie wyobrazić, było to, jakim cudem uda mu się zmusić tych ewidentnie niepoprawnych drani do wykonywania jakichkolwiek rozkazów, nie mówiąc już o stworzeniu z nich czegoś, co choć trochę przypominałoby sprawnie działający zespół bojowy.

A właśnie najwyższa sprawność, wynikająca przecież z dobrej woli nie zaś z wzajemnych animozji była jedyną rzeczą, która mogła uchronić nas przed wyleceniem w powietrze, kiedy po raz pierwszy staniemy twarzą w twarz z nieprzyjacielem. Coraz bardziej zaczynałem żałować niewybaczalnego braku entuzjazmu, jaki okazałem organizując uzupełnienie dla “Charona”.

Podszedł Trapp i oparł się o reling statku obok mnie, a ja czekałem ponuro, aż artylerzyści wgramolą się na pokład popędzani nieubłaganymi wrzaskami bosmana Crockera.

–...Wstać... Mówię WSTAĆ, wy obrzydliwa bando platfusowatych, skretyniałych, śmierdzących idiotów... Podnieść tego człowieka, ale już! Ten plecak... Zabrać go... raz, raz, RAZ!

Marynarz artylerzysta Clark obwisł nagle w pijackim omdleniu, oparł się o burtę statku i puścił pawia na przód swojej bluzy. Trapp skinął głową i sprawiając wrażenie niesłychanie zadowolonego powiedział: – Dobrze ich pan wybrał, kolego. Te chłopaki są w sam raz... To właśnie coś, co świetnie pasuje do starego “Charona”.

Była to chyba najtrafniejsza opinia, jaką kiedykolwiek wygłosił.

Czy chciałby pan do nich przemówić? – zapytałem słabiotkim głosem. – Czy ja mam to zrobić?

–To pańscy ludzie. Są z marynarki...

–Pan również, sir. W chwili obecnej... wychrypiąłem. – A poza tym jest pan dowódcą.

–Ach tak, ciągle zapominam. No dobra, pierwszy. Proszę łaskawie całą załogę... hmmm... Jakie jest właściwe słowo?

–Zamustrować – odparłem. – Sir.

–Zamusztardować – przekręcił z rozkoszą. – No to niech pan ich zamusztarduje przed mostkiem, żebym mógł zrobić przegląd. Jak na prawdziwym, cacanym okręcie wojennym.

Zrobiłem to. A potem rzuciłem przerażone spojrzenie na nierówny szereg, brudnych, obszarpanych marynarzy chwiejących się w tył i przód i pomyślałem złośliwie: Na prawdziwym okręcie wojennym, Trapp, dowódca tak długo wyszukiwałby ich wady, że zanim by skończył, byłby już cholernym admirałem.

–Uzupełnienie gotowe do przeglądu, sir – oznajmiłem sucho.

Wtedy Trapp podszedł niedbale i przez dość długą chwilę stał, przyglądając się swojemu nowemu Działowi Bojowemu Artylerii. Na jego twarzy zaskakująco wyraźnie malował się niesmak, co biorąc pod uwagę jeszcze bardziej kretyński wygląd jego własnej zgrai, było dość niezwykle. Wreszcie zsunął czapkę na tył głowy, wepchnął rękę do kieszeni i oznajmił pogardliwie:

–Powiedziano mi, że podobno jesteście cwaniaki. Specjalnie wybrani do tej roboty. Tacy, jacy będą mi potrzebni na statku-pułapce... Ale jak wy wyglądacie... Spójrzcie tylko na siebie...

Na chwilę jakby zabrakło mu słów, ale pokręcił tylko głową z pełnym obrzydzeniem i ciągnął dalej: -...niech to diabli, jesteście CZYŚCI! Jesteście tacy czysti i schludni jak żadna banda matrosów, którą miałem nieszczęście widzieć do tej pory...

Wytrzeszczyłem na niego oczy nie wierząc własnym uszom. Podobnie zresztą jak szyk nowo przybyłych marynarskich łajz. Zauważyłem, że bosman Crocker zaczął się nawet uśmiechać, podczas gdy pozostali po prostu zapomnieli robić posępne miny i zaczęli sprawiać wrażenie zaskoczonych. Spodziewali się zapewne Bóg wie jakiej sztywnej, rutynowej gadki, no ale nie znali przecież jeszcze komandora podporucznika Edwarda Trappa z Royal Navy.

–Od tej chwili jednak – kontynuował ponuro Trapp – będziecie musieli wyglądać w sposób godny tego statku. TE ładne, zgrabne mundurki – wywalić je za burtę. Te lśniące jak lustro buty, chcę, żeby jutro rano były tak poobdzierane jak tyłek aligatora. Aha, jeszcze o goleniu. Żaden z was nie ma zarostu starszego niż dwudniowy i jeżeli myślicie, że mam zamiar tolerować na pokładzie tego okrętu bandę wyperfumowanych, gładkich jak pupa niemowlaka alfonsów, to możecie dać się...

Odwróciłem się. Jeszcze jedno spojrzenie na szereg przejętych, niedowierzających twarzy przekonało mnie ostatecznie, że Trapp dokonał tego, czego nigdy nie byłby w stanie osiągnąć żaden zupak w całej Royal Navy.

–I że Okręt Jego Królewskiej Mości “Charon” będzie mógł wyjść w morze mając na pokładzie lojalną i skuteczną – choć może niezbyt higieniczną i wonną – obsługę dział.

Następnego dnia udałem się do Dowództwa Marynarki, żeby zorganizować zaopatrzenie statku – jeżeli w ogóle było jakieś zaopatrzenie.

Atrakcyjnie zachmurzona trzeci oficer z WRENS wpadła na mnie, gdy skręciłem za róg. Było to najwygodniejsze zderzenie, jakie kiedykolwiek przeżyłem i ku mojemu zdziwieniu nawet uśmiechnęła się, gdy mnie poznała.

–Słyszał pan? – rzekła. – Dobrą nowiną?

–Admirał miał zawał? – zapytałem z nadzieją.

–Nasz zbiornikowiec “Ohio”... Jej oczy iskrzyły się ze wzruszenia. – Znowu weszli na jego pokład. “Rye” i “Penn” są przy nim. Mają spróbować wziąć go na hol.

Było mi miło ze względu na nią i całą wyspę. Ale czułem również straszne przygnębienie.

Wszystko to bowiem sprawiało, że moja własna wojna wydawała się błaha. I podła.

Kiedy tylko wróciłem, dostarczono ciężarówką pod silną eskortą tajemniczą skrzynię.

Nalepka ze zrozumiałych względów dość dyskretnie informowała, że przesyłka adresowana jest do Kapitana s8s “Charon”. Pod nalepką ktoś o niezbyt wyrobionym zmyśle w sprawach zachowania tajemnicy wypisał wielkimi, drukowanymi literami:

TAJNE. NIE OTWIERAĆ BEZ

UPOWAŻNIENIA.

–Otwórz to – polecił Trapp.

–Nie może pan tego robić – odpowiedziałem, przyglądając się skrzyni z zaciekawieniem. – Dopiero po otrzymaniu zgo...

Trapp wetknął łom pod pokrywę, nacisnął i opasujące skrzynię druty pękły z odgłosem strzału karabinowego. – Ależ oczywiście, że mogę. To łatwe, jeżeli ma się dryg...

Zawartość skrzyni wysypała się na podłogę kabiny. Spojrzałem na niego, a on odpowiedział mi równie zdziwionym spojrzeniem spod zmarszczonych brwi.

Były to fragmenty marynarskiego umundurowania. Białe marynarskie czapki, grube, impregnowane golfy i parę bluz. Zauważyłem, że na bluzach były odznaki torpedystów.

Podniosłem jedną czapkę i spojrzałem na nią z zaskoczeniem.

Złote litery na jej otoku układały się w dość dziwny napis: OKRĘTY PODWODNE R.n.

Tego dnia dotarł również jakimś cudem maruder z “Pedestala”. Przybył o własnych siłach płynąc dumnie w stronę wejścia do Grand Harbour pod ochronnym parasolem nieugiętych Spitfire'ów i Beaufighterów z Malty.

Nazywał się “Brisbane Star”.

Przez kilka dni płynął z wielką, ziejącą dziurą wywaloną w dziobie przez torpedę i rozwijając maksymalną prędkość ośmiu węzłów. Royal Navy utraciła natomiast krążowniki “Manchester” i “Cairo” oraz niszczyciel “Foresight” – silnie uzbrojone, szybkie okręty.

Po raz pierwszy od chwili gdy stanąłem na pokładzie “Charona”, zacząłem mieć nadzieję, że po przykładzie, jaki dał dzielny “Brisbane Star” i przy niezrównanym zmyśle przetrwania niewątpliwie cechującym Trappa, może uda nam się przeżyć nieco dłużej, niż poprzednio przewidywałem.

Horyzont za rufą “Brisbane Star” wciąż był złowieszczo pusty.

Wzdłuż wałów Baracc Valletty stały niewielkie grupki ludzi ciągle jeszcze

wyczekujących i spoglądających w morze. Słysząc było przyciszone rozmowy.

Ale "Ohio" wciąż nie nadpływał.

Dostarczono nam jeszcze jeden dziwny przedmiot, który stał się dodatkowym źródłem gorączkowych i raczej nieprzyjemnych rozważań.

Tym razem był to zwykły, nadmuchiwany ponton. Przedmiot zawsze mile widziany na pokładzie jednostki, która ma duże szanse na to, że zostanie zatopiona w najbliższej przyszłości.

Jednakże był to typ pontonu, który znajdował się na wyposażeniu bardzo określonej grupy okrętów.

Na okrętach podwodnych Jego Królewskiej Mości.

Wreszcie byliśmy gotowi. Na tyle gotowi, na ile to było możliwe. Najważniejszą sprawę stanowiło dla mnie doprowadzenie artylerzystów do wyjątkowej skuteczności i zgrania, których tak bardzo będziemy wkrótce potrzebować. Musiałem zrobić to tak szybko, jak się dało. Potem nie będzie już czasu. Kiedy wyruszymy bezpośrednio do strefy działań bojowych, a wtedy ze względu na konieczność zachowania tajemnicy, gdy tylko zostawimy wybrzeże Malty za rufą, nie będziemy już mogli zawrócić.

Wszystko zależało od tego, czy artylerzyści będą mieli ochotę współpracować. A może niezadowolenie z anty-sanitarnych nowinek "Charona" już dało o sobie znać, mimo przebojowego sposobu powitania ich przez Trappa?

Wyszedłem na pokład. Księżyc wisiał nad wyspą jak wielka, czerwona kula. Gdy podszedłem do burty zobaczyłem opartego o reling człowieka i poznałem krępa postać odpoczywającego bosmana Crockera.

Uśmiechnął się na mój widok. – Dobry wieczór, sir.

– Dobry wieczór, bosmanie – zawahałem się – Jak nowi chłopcy przyjęli to wszystko. Warunki i tak dalej.

– Chodzi panu o to, czy będą dalej odgrywać bolszewików?

– Nie mamy czasu, żeby walczyć jednocześnie z nimi i przeciwko Szwabom – wzruszyłem ramionami. – Jutro ładujemy amunicję. Następnego dnia możemy wejść do akcji.

Uśmiechnął się i w świetle księżyca zobaczyłem, jak pokręcił głową. – Niech pan posłucha, sir.

Od strony dziobu dobiegały głosy. Ordynarne jak diabli, ale jednocześnie przepojone jakąś cholerną dumą. Uczuciem, któremu każdy marynarz od czasów Nelsona daje wstrzemięźliwy wyraz, kiedy wie, że jego okręt, bez względu na to jak niepozorny czy też niewygodny, mimo wszystko jest najlepszym okrętem w całej marynarce.

Tylko że żaden z nich nie mówił o tym wprost. Ani nie śpiewał. Może najwyżej w taki sposób jak śpiewali nasi artylerzyści.

“To jest nasza historia i to jest nasza pieśń

jesteśmy na tej łajbie dłużej, niż można by to znieść

więc “Nelson”, “Rodney”, “Renown” spieprzać póki czas

a ta cholerna łajba wykończy wkrótce nas...”

–Już się tu zadomowili, sir – zapewnił mnie bosman Crocker. – I w ten sposób wyrażają swoje uznanie.

Przyjęliśmy amunicję w ostatnim możliwym momencie.

Po tym jak widziałem, w jaki sposób zgraja Trappa traktowała przedtem bombę, twardo odmówiłem dopuszczenia któregokolwiek z nich nawet w pobliże naszego nowego ładunku. Całe szczęście, że uzupełnienie z marynarki nie okazało niechęci do pracy i ułożyło samodzielnie cały ten majdan w kanerach amunicyjnych z nieco lekceważącymi minami zawodowej wyższości, windując na pokład i przenosząc na dół czterdziestopięcioletnie pociski.

Załoga “Charona” z wielką pokorą przystała na swoją podrzędną rolę. Polegało to na tym, że porozkładali się na słońcu z zadartymi nogami i od czasu do czasu przypominali sobie, że powinni wyglądać na strasznie sfrustrowanych swoim silnym poczuciem dyscypliny, które uniemożliwia im przyjscie z pomocą pracującym w pocie czoła kolegom.

Jak określił to Gorbals Wullie pomiędzy łykami uwarzonego w kubryku piwa:

–Ło rany, ależ bebecchy skręcają się na supeł, kiedy człek widzi, jak te bidne matrosy ganiają jak głupie tam i nazad i ni może im pomóc przez szacunek dla pana Millera.

Ponieważ nasza przestrzeń mieszkalna była dość zatłoczona, byliśmy zmuszeni zaimprovizować kubryk dla artylerzystów w przedniej części ładowni. Pozostałą część zajmował magazyn amunicji dla Boforsa. Marynarz artylerzysta Clark, najwidoczniej wzór wszelkiej niedoskonałości, bardzo szybko urządził sobie

podręczny składzik swojego skromnego przydziału papierosów na półeczce, jaką była tabliczka z napisem PALENIE WZBRONIONE zawieszona nad jego hamakiem.

W końcu bosman Crocker okazał jednak poważne i na swój sposób zrozumiałe poirytowanie, kiedy zobaczył, że napis ten został bardzo szybko zatarty śladami petów gaszonych przez marynarza artylerzystę Clarka.

Dolna część ładowni numer dwa została przekształcona w zaimprovizowany magazyn amunicyjny dla dział 4,7. Było to idealne rozwiązanie, jeżeli chodzi o dostarczanie pocisków, ale jednocześnie oznaczało, że obsługa przystępując do walki znajduje się dosłownie nad kilkoma tonami niczym nie zabezpieczonego materiału wybuchowego. Stanowiło to jednak dość akademicki problem, bowiem jeżeli "Charon" zostanie trafiony w niewłaściwe miejsce to nie będzie miało żadnego cholernego znaczenia, gdzie którykolwiek z nas będzie się w tym momencie znajdował.

Zakończenie tej operacji oznaczało, że jesteśmy gotowi do wypłynięcia.

Równie gotowi, jak chory na astmą pacjent szpitalny mógłby być gotowy do podjęcia głębokomorskiego nurkowania.

Kiedy Trapp i ja przyszliśmy po raz ostatni spotkać się z admirałem, wyglądał on na dziwnie roztargnionego. Kiedy patrzył na nas uważnie i oceniająco szarymi, żywymi oczyma, odnosiłem wrażenie, że na coś oczekuje, myśli o innych poważniejszych sprawach. Jego ręka odruchowo przesuwiała się w stronę telefonu. Zupełnie jakby spodziewał się, że zadzwoni.

–Czy są jakieś pytania, panowie? – zapytał ostrożnie.

Miałem ochotę mruknąć: – Mniej więcej około tysiąca, sir, – kiedy Trapp odpowiedział bardzo konkretnie. – Trzy. Pozostały tylko trzy sprawy, sir.

–Jakie?

–Po pierwsze. Chodzi o drobną sprawę kontraktu oraz mojej zaliczki. Rozumie pan, tego kawałka, że zawarliśmy umowę o charakterze handlowym.

Admirał uśmiechnął się niewesoło. – Pańskie pieniądze są przygotowane i czekają na pana w biurze płatnika Floty, komandorze.

Wziął z biurka dokument i podał Trappowi. – To jest pańska umowa czarterowa z Admiralicją. Jak sądzę, nie będzie pan miał do niej zastrzeżeń. A może życzyłby pan sobie... hm... jakichś referencji odnośnie naszych zdolności kredytowych?

Trapp pokręcił poważnie głową. Odnosiłem niekiedy wrażenie, że gdy tylko

rozmowa zaczyna dotyczyć aspektów handlowych, natychmiast opuszcza go poczucie humoru.

–Nie, dziękuję sir. Sądzę, że Herr Hitler nawet bez pytania z mojej strony mógłby uznać Royal Navy za dość żywotny problem.

Admirał znowu popatrzył na telefon, a potem skinął głową:

–Spodziewam się, komandorze... Spodziewam się. – Wskazał dokument, który Trapp trzymał w ręku. – Nawiasem mówiąc, może pan zauważył, że ubezpieczenie “Charona” obejmuje jego pełną... hmmm... wartość.

Oznaczało to, że kolejne piętnaście funciaków z pieniędzy podatników zostały wyrzucone w błoto, pomyślałem posępnie, ale Trapp wydał się bardzo z tego zadowolony. – Świetnie – rzekł z ogromną satysfakcją. – W takim razie nie mam potrzeby zwracać panu głowy drugą sprawą, prawda?

–Jaką, komandorze?

–Zabezpieczeniem magazynów amunicyjnych... Nie mamy go wcale. Nic, co mogłoby zapobiec przedwczesnemu zapłonowi w samym magazynie. Nie ma zaworów zatapiających na wypadek pożaru. Ani węży pożarniczych, jeżeli chodzi o ścisłość... – Trapp radośnie wzruszył ramionami. – Ale to już nie ma znaczenia. Teraz, kiedy polisa “Charona” obejmuje i to.

O Chryste, pomyślałem. Do jakiego stopnia można być wyrachowanym!

Miałem koszmarną wizję błyszczących od mazutu rozbitków krztuszących się i szamoczących w piekle tonącego statku. Krwawiące, poranione ręce wyciągające się w stronę jedynej szalupy, a ponad zduszonymi, gulgoczącymi wrzaskami rozlegający się potężny ryk Trappa: “Nie porysujcie farby! To kosztuje...”

Dłoń admirała przesunęła się po słuchawce telefonu. – A trzecia, – komandorze?

Trapp zrobił przeproszającą minę. – Dostarczono nam skrzynię. Tajną. Ale spadła z ciężarówki...

–I rozbiła się. Przypadkowo. – Admirał ze zrozumieniem skinął głową, najwyraźniej świadom nieszczęść, jakie mogą dotknąć ciekawskich kapitanów.

–To było umundurowanie podwodniaków, sir – powiedziałem szybko. – I dostaliśmy również ponton.

–Wiem. – W zamyśleniu przygryzł dolną wargę, a potem popatrzył w górę. – Operacja “Styks” ma żywotne znaczenie, panowie. Jest również wyjątkowo

niebezpiecznym i nieprzyjemnym przedsięwzięciem. Zdajecie sobie z tego sprawę równie dobrze jak ja. A jednym z waszych największych zagrożeń jest możliwość przedwczesnego ujawnienia istnienia "Charona" dowództwu Kriegsmarine. Informacja tego rodzaju może nadejść przede wszystkim ze strony ocalałych członków załogi statków, które zaatakujecie.

Popatrzyłem na Trappa, a on odpowiedział mi obojętnym spojrzeniem. Był to problem, o którym staraliśmy się myśleć. Być może do czasu, kiedy trzeba będzie podjąć decyzję, czy pozwolić człowiekowi w wodzie żyć, czy też trzeba go zabić, żebyśmy my mogli działać.

–Zgodnie z instrukcjami jakie otrzymaliście – ciągnął admirał – będziecie nawiązywać kontakt bojowy wyłącznie po zapadnięciu ciemności. O świcie musicie być już daleko poza tym rejonem i płynąć udając albo statek neutralny, albo jeden z ich floty zaopatrzeniowej. Mamy nadzieję, że w ten sposób będziecie mogli uniknąć podejrzeń, a zniszczenie obiektów waszego ataku zostanie przypisane innym czynnikom. Będzie to fałszywy trop, który ma zmylić przeciwnika.

Mimowolnie pochyliłem się do przodu. – Na przykład okrętowi podwodnemu. Chce pan, żeby zaczęli szukać okrętu podwodnego, sir? Którego nie będą w stanie znaleźć, bo go po prostu nie ma.

–Właśnie tak, Miller. Jak pan się orientuje, nie możemy ryzykować wysłania prawdziwych okrętów podwodnych w ten rejon. Ale dla Kriegsmarine będzie to bardziej przekonujące niż najprawdziwsza prawda. Niż "Charon".

Osobiście uważałem, że wszystko mogło być bardziej przekonujące niż "Charon".

–Będziecie więc mieli szczególny powód, żeby abordażować statki, podejrzane o łamanie blokady przed ich zatopieniem. Szczególnie w czasie pierwszych akcji.

Trapp wyszczerzył zęby.

–Na pontonie, jak z okrętu podwodnego. I ubrani w podwodniackie ciuchy, podczas gdy "Charon" będzie ukryty w ciemności... Te Wogsy będą potem wszędzie widzieć peryskopy. A Szwaby przełkną wszystko, co im powiedzą. Nie ma nic bardziej przekonującego, niż spietrany do nieprzytomności Arab.

Chwilowa euforia nagle mnie opuściła.

–Ale to nie zawsze się uda, prawda sir? – zapytałem cicho. – Ciemność nie zawsze jest ciemna. Może być nieprzewidziana luka w chmurach, światło księżyca... Ktoś może się zorientować, czym naprawdę jest "Charon"... rajderem.

Admirał patrzył na nas, zdawało się, bardzo długą chwilę. Potem rzekł ostrożnie:

–To wasze życie będzie na szali. Wasze i waszej załogi... Uważam, że jest jedynym słusznym wyjściem, by decyzja należała do was i tylko do was. Ja ze swojej strony popnę każdą, jaką podejmiecie.

Znowu spojrzął na telefon. Z niepokojem. A ja patrzyłem uparcie na Trappa i zastanawiałem się, co zrobi, kiedy ten problem faktycznie się pojawi. Wprawdzie pozornie przyjął tę sprawę w dość stoicki sposób, to jednak znowu wciągano go w zabawę w strzelanego...

Wtedy właśnie zadzwonił telefon.

Admirał chwycił słuchawkę, zanim zdążyłem na niego popatrzeć.

–Tak? – głosem napiętym jak struna.

Chwilę później. – Dziękuję. Będę tam zaraz.

Usłyszeliśmy trzask odkładanej z drugiej strony słuchawki, ale admirał przez bardzo długą chwilę nie poruszał się i nie wyrzekł ani słowa. Potem łagodnie, nieomal bezwiednie, odłożył słuchawkę i odchylił się w fotelu. – Muszę panów przeprosić. Jednak inne sprawy...

Trapp zrobił w moją stronę znaczący ruch głową i podniósł się – Nie mamy już nic więcej, sir. Będziemy gotowi do wyjścia o dwudziestej pierwszej zero zero jak to planowano.

Admirał również wstał i wyciągnął rękę. – Może to niewłaściwe – rzekł cicho – ale chwilami wierzę, że Bóg jest po stronie mieszkańców tej wyspy. Może i wam przypadnie w udziale ta bezcenna przewaga.

Popatrzyłem na niego i po raz pierwszy zobaczyłem w jego oczach przebłyski dumy.

–Ten, telefon, sir?

Skinął głową, wziął czapkę i założył ją. Złote liście dębowe na jej daszku błysnęły łagodnie światłem odbitym od wiszącego schematu operacyjnego. Schematu, gdzie tak niedawno znajdował się spis jednostek uczestniczących w operacji nazwanej enigmatycznie "Pedestal".

–Był ostatnią nadzieją Malty – powiedział cicho. – Zbiornikowiec "Ohio"... Właśnie w tej chwili wprowadzają go do portu.

Strasznie powoli holowano go przez przetrałowany tor wodny. Trzy okręty wojenne

starały się nie dopuścić, by zdryfował na rozciągające się po obu stronach pola minowe. Ledwo unoszący się na powierzchni, z głównym pokładem niemal zalewanym przez wodę, dzielny statek kierował się uparcie w stronę szerokiego wejścia do Grand Harbour. Śmiertelnie ranny, ale rzucający wyzwanie śmierci, przymocowany do niszczycieli “Penn” i “Bramham”, które dosłownie utrzymywały go na wodzie, “Ohio” wciąż wiozł bezcenne paliwo – ropę naftową i benzynę – do punktu przeznaczenia.

Dwukrotnie opuszczony, poharatany bombami, z silnikiem i sterem beznadziejnie uszkodzonymi – miał dwudziestostopową dziurę w lewej burcie, a pokład nad miejscem trafienia był poszarpany i sterczał jak wielkie, strzępiaste liście. Relingi i nawiewniki wiły się dziwnymi splotami, a na śródkręciu szramy w miejscach, w których szalał ogień, odcinały się czernią od pokrytej pęcherzami szarej farby.

Kościotrup rozbitego Stukasa ciągle sterczał z przodu jego mostka...

Rzuciłem pełne zaciekawienia spojrzenie na Trappa, podczas gdy wokół nas histeryczne okrzyki mieszkańców Malty zagłuszały nawet orkiestrę dętą grającą na główce mola wyzywającą “Rule Britannia”.

Nie widział mnie. Po prostu patrzył na pełznącego “Ohio” z pewną obojętnością, zupełnie jakby była to wojna nie przewidziana w jego kontrakcie. Prowadzona przez inną, mniej nastawioną na zyski firmę.

Do pewnego stopnia. Było bowiem w jego spojrzeniu jeszcze coś prawie niedostrzegalnego. Jakieś poczucie żalu, że pewne rzeczy minęły już bezpowrotnie. Smutne uzmysłowienie sobie, że te wspaniałe chwile mogły być i jego udziałem. Kiedyś. Bardzo dawno temu.

Wyruszyliśmy “Charonem” na nasz kawałek wojny parę godzin później.

Nie było orkiestry dętej grającej na pożegnanie. Nie było nawet ludzi.

Tylko ledwo widoczna sylwetka zbiornikowca “Ohio” – pustego i spoczywającego na dnie.

“Pedestal” zakończył się chwałą. Operacja “Styks” dopiero się zaczynała.

Nędznie, byle jak, anonimowo.

Rozdział 6

Kuter patrolowy, który przeprowadził “Charona” przez pole minowe, opuścił nas i, kiedy z pełną prędkością popłynął z powrotem w stronę wyspy w całkowitej ciemności widać było jedynie biały, spieniony wir za jego rufą.

Krótkie: “Powodzenia” “Charon” “ i zostaliśmy sami. Od tej chwili Royal Navy nie bardzo będzie mogła nam pomóc, czy nas osłonić.

Wykreśliłem już kurs do strefy, którą mieliśmy patrolować. Zaczynała się na wysokości niegościnnych, słonych bagien Misurata i ciągnęła na wschód przez zatokę Syrty w stronę linii frontu. Gdy już do niej dotrzemy, zawrócimy i popłyniemy z powrotem wzdłuż libijskiego wybrzeża. A potem znowu na wschód. Dokładnie tak samo jak będą postępować statki zaopatrujące Rommla. Chyba że im przeszkodzimy.

Gorbals Wullie stał przy sterze. Powiedziałem cicho: – Kurs jeden sześć zero.

Popatrzył na mnie podejrzliwie w ciemności sterówki: – Hę?

Dokonałem w myśli szybkich obliczeń. Bez względu na to ile dział było na pokładzie, na “Charonie” wprowadzono nawigację metodami z czasów kliprów. – Powiedzmy... Południowy wschód ku południowi.

Ze skrzydła mostku dobiegł ostry głos Trappa: – Wróć! Prosto na wschód i tak trzymać.

–Może byśta się zdecydowali, co?– mruknął ponuro Wullie.

–Wschód – oznajmiłem sucho. – Trzymaj prosto na wschód.

Obrócił z łatwością kołem sterowym i statek ospale zaczął zakręcać w lewo. – Jak pan sobie życzy, panie Miller.

Wyszedłem na skrzydło mostku i stanąłem przed Trappem.

–Teraz płyniemy w stronę Krety... – przerwałem gwałtownie, bo nagle olśniła mnie paskudna myśl. – Albo wysp greckich. Na Boga, Trapp, nie ma pan chyba zamiaru...

Jego zęby błysnęły w uśmiechu.

–Gdyby dowodził pan okrętem wojennym i zobaczył obcą jednostkę, panie Miller, to o czym chciałby się pan najpierw dowiedzieć?

Zmarszczyłem brwi. – Dokąd płynie?

–Owszem. I skąd. A więc gdyby był pan dowódcą U-boota i spostrzegł frachtowiec na bezpośrednim kursie między Maltą a zajęętym przez Szwabów terytorium, to nabrałby pan pewnych podejrzeń, co?

–Ma pan cholerną rację.

–Ale gdyby był pan tym samym kwadratowym, szwabskim łbem i zobaczył statek na

kursie między Tarentem i Rommlem... A w dodatku płynący pod italiańską flagą?

Uśmiechnąłem się szeroko. Zacząłem się uczyć sposobów, dzięki którym Trapp mimo drobnych niedogodności, takich jak na przykład wojna światowa, zdołał utrzymać się w branży. – Prujemy więc prosto na wschód, aż wyjdziemy na ich linie komunikacyjne, a potem zawrócimy na Misuratę. I miejmy nadzieję, że RAF został dobrze poinformowany o tym, że będziemy się tam kręcili.

–Czy przypadkiem nie zaopatrzone nas w tym celu w sygnał rozpoznawczy, pierwszy? A poza tym – odwrócił się w stronę relingu i oparł o niego – zawsze będziemy mogli dać im do zrozumienia, żeby się od nas odpieprzyli. Przy pomocy Boforsa...

–I w każdym razie – dodałem z kamienną twarzą – statek jest ubezpieczony. Prawda, dowódco?

–Szybki pan jesteś – zachichotał w ciemności. – Szybko pan to łapiesz w samej rzeczy.

Zaczęliśmy dopracowywać szczegóły.

Został wyznaczony “zespół paniki”. Na “Charonie” pozostać mieli natomiast ludzie, którzy związani byli z marynarką wojenną – obsługa dział pod sokolim okiem bosmana Crockera, Trappa i moim. My dwaj mieliśmy ukryć się na mostku, obserwować i czekać na odpowiednią chwilę, żeby dać sygnał do rozpoczęcia akcji. Z właściwej załogi “Charona” był tylko Al Kubiczek oraz jeden palacz w maszynowni, i Gorbals Wullie przy sterze. Reszta miała odpłynąć wraz z drugim oficerem Babikianem – jakby stworzonym do tej roli, największym panikarzem pod słońcem.

Przez osiem godzin Crocker i ja ćwiczyliśmy w zamkniętym piecu drugiej ładowni obsługę działa 4,7 cala. Kiedy skończyliśmy, nawet ja zacząłem nieco bardziej wierzyć, że w razie potrzeby, “Charon” może dać ostrą nauzkę każdemu nadmiernie wścibskiemu intruzowi.

Ale pod warunkiem...

Zastąłem Trappa ciągle stojącego na mostku. Ani razu nie zszedł na dół od chwili, kiedy opuściłem go osiem godzin wcześniej. Im dłużej znałem tego dziwnego, ekstrawertyjnego człowieka, tym bardziej zaczynałem czuć do niego coś w rodzaju niechętnego szacunku. Ale nie okazywałem swoich uczuć. Już dawno zorientowałem się, że Trapp uwielbiał długie, zażarte dyskusje przed podjęciem każdej decyzji – nawet z kucharzem na temat jadłospisu na następny dzień. Całe szczęście, że Kuk był równie wrednym typem jak kapitan i doskonale dawał sobie radę w tradycyjnej, codziennej pyskówce. Ja jednak nie byłem kucharzem...

–To mi się nie podoba – oznajmił Trapp, co było łatwe do przewidzenia.

–Ale przecież musimy wystrzelić, dowódco – westchnąłem. – Do diabła, przecież nawet nie możemy mieć całkowitej pewności, że takie drańskie działa w ogóle wystrzelą, dopóki nie spróbujemy choć raz.

–A skąd pan wiesz – zapytał chytrze, czy jakiś szwabski dowódca U-boota nie gapi się na nas w tej chwili przez swój peryskop? Próbuje się zorientować, cośmy za jedni... i właśnie wtedy zaczniesz pan strzelać z dział, których wcale nie powinniśmy mieć. Będziemy wyglądać jak jakiś pieprzony fajerwerk, a nie niewinny Italianiec...

–A skąd pan wie – odgryzłem się złośliwie – że cały ten zżarty przez mole tramp nie rozleci się od odrzutu pierwszego wystrzału. Jeżeli już jest nam pisane rozpaść się z powodu starości, to osobiście wolałbym, żeby odbyło się to w miarę dyskretnie. Poza tym, jest wyjątkowo mało prawdopodobne, żeby ktoś nas właśnie w tej chwili obserwował.

Tak myślałem. Wtedy.

–W dalszym ciągu mi się to nie podoba, Miller.

Kłęcząc pod osłoną relingu z mikrotelefonem w rękę, za pomocą którego porozumiewałem się z obsługami dział, spojrzałem ze znużeniem na Trappa. Po raz piąty byliśmy prawie gotowi – ale jak do tej pory, za każdym razem w ostatniej chwili coś mu się przywidziało i tracił pewność siebie. Jeszcze raz spojrzałem przez szczeliny obserwacyjne i zobaczyłem tylko puste, lekko falujące morze. Potem popatrzyłem na pokład i ujrzałem płaczący się ze zniecierpliwieniem obok wysuniętej już za burtę szalupy “Zespół paniki”, który sprawiał wrażenie wkurzonego do ostateczności.

–Komandorze, proszę. To przecież tylko kilka minut... Wyimaginowany okręt podwodny wynurza się z prawej burty, Babikian opuszcza statek, a artylerzyści zajmują stanowiska. Podają im namiary na rzekomo zbliżającego się U-boota, a potem...

–Dobra, dobra... – Po raz ostatni obrzucił spojrzeniem horyzont. – A ja myślałem, że to Arabcy będą wszędzie widziały te cholerne peryskopy... Załoga – do opuszczenia statku. Opuszczać STATEK!

W tej samej chwili rzuciłem ostro do mikrotelefonu: – Obsługa, do dział! – i usłyszałem odgłos biegnących stóp. Byłem całkowicie pewny, że obszarpani artylerzyści “Charona” właśnie przekształcają się w sprawną załogę okrętu wojennego.

–Panie drugi, pogoń ich pan! – ryknął z irytacją Trapp i kucnął gwałtownie obok

mnie. Od tej pory mostek miał sprawiać wrażenie opuszczonego. Skulony za kołem sterowym Gorbals Wullie zawołał nagle: – Hej, czyśta o czemś nie zapomnieli?

Trapp spojrział na mnie pytająco, ale ja tylko wzruszyłem ramionami. Wszystko było zbyt dobrze zaplanowane, żeby mogła zaistnieć jakaś pomyłka. Wullie filozoficznie wzruszył ramionami, i jakby przechodząc nad wszystkim do porządku: – No dobra. Po prostu pomyślałem tylko, że może zechceta najpierw zatrzymać statek, zanim opuścita szalupę na wodę...

Pięć minut później staliśmy w dryfie, kołysząc się ponuro na fali.

–No dalej, rób pan swoje! – warknął wściekle Trapp.

–To co, mamy odpływać, kapitanie? – drżącym głosem zawołał Babikian od strony rufy.

–Oochch, spieprzaj! – ryknął w odpowiedzi Trapp. Potem klapnął obok mnie i westchnął: – Decyzje... Ciągłe te cholerne decyzje...

Gwałtownie zająłem się mikrotelefonem. – Uwaga. To ćwiczenia... Cel – U-boota. Odległość trzy tysiące jardów i zmniejsza się. Kąt kursu celu – zero dwa pięć. Przesuwa się ku rufie...

Crocker ustawia kąt podniesienia lufy i naprowadza wciąż ukryte za opuszczanymi klapami działo, w miarę jak zmieniam odległość i kąt kursu celu. Będzie to robił do czasu, kiedy w wybranej przeze mnie chwili klapy zostaną opuszczone, wycelowane działo wystrzeli i...

...potem wszystko może się zdarzyć. Jedno było zupełnie pewne – jeżeli nie zdołamy obezwładnić naszego nic nie podejrzewającego kontrolera kilkoma pierwszymi pociskami, to krążownik pomocniczy JKM “Charon” bardzo szybko zostanie przekształcony w piekło wybuchającej amunicji, wrzeszczących i płonących żywcem ludzi.

Ale ten strzał miał być tylko ćwiczebny. Niczego tam przecież nie było. Skorygowałem, teoretycznie oczywiście: – Obecna odległość celu dwa tysiące pięćset jardów. Kąt kursu celu – zero cztery zero.

–Widzę coś – odezwał się nagle Trapp. – Z prawej burty!

Spojrzałem na niego z irytacją. Od strony rufy rozległ się łomot bloków i wysoki głos Babikiana popędzającego załogę: – Puścić fały... Chyba wyraźnie mówię, co? No to puść te fały i nie sprzeczasz się...

W każdym razie ta banda nie miała żadnych problemów z okazywaniem

demoralizacji.

Trapp jednak klęczał i patrzył bacznie przez szczelinę obserwacyjną tuż obok mnie. Próbowałem nie zwracać na niego uwagi i dalej śledziłem kurs wyimaginowanego okrętu podwodnego zmierzającego do dającego się przewidzieć finału.

–Odległość dwa tysiące trzysta stała. Kąt kursu celu jeden osiem pięć, na trawersie... Przygotować się do strzału.

–Poczekaj, chłopie – warknął nagle Trapp. – Na rany Chrystusa, wstrzymaj...

Słuchawka pisnęła cichutko: – Na celu. Gotów do opuszczenia osłon.

–Hej! – wrzasnął nagle Gorbals Wullie. – Czy nie mówiliście, że to majom być ćwiczenia? Bo ja coś widzę...

Trapp odwrócił się w moją stronę. Jego twarz była czerwona pod wpływem hamowanego wzburzenia. – To okręt podwodny – krzyknął niemal błagalnie. – To prawdziwy, cholerny okręt podwodny!

Wtedy również i ja go zobaczyłem. Wynurzającego się jak wielki, czarny wieloryb z białą pianą spływającą z jego kadłuba szybkimi, skłębionymi stróżkami. Z tą tylko różnicą, że nie znajdował się wcale tam, gdzie miał być mój wyimaginowany U-boot. Był o wiele bliżej rufy i nieubłaganie przesunął się w drugą stronę... całkowicie w martwym polu obstrzału naszego działa.

–Jeżeli opuszczą teraz te cholerne osłony – powiedział z rozpaczą Trapp – kiedy nawet do niego nie celujemy...

W panice wdusiłem przycisk mikrotelefonu. – Stop! Stop! Stop! Crocker, słyszycie mnie?

–Tak jest, sir – odparł z niezmaconym spokojem.

–Mamy prawdziwy cel. Prawdziwy okręt podwodny. To nie ćwiczenia, Crocker. Powtarzam... To nie ćwiczenia.

Chwila ciszy, a potem: – To nie ćwiczenia. Tak jest, sir.

Odległy, pełen zrozumiałego przerażenia okrzyk z “zespołu paniki”: – Sir, proszę. Co teraz mamy robić?

Z kiosku odległego okrętu podwodnego wyłonili się już ludzie i biegli do przodu, gdzie na wciąż jeszcze zalewanym wodą pokładzie przykucnęło wysmukłe działo. Chwyciłem za okulary zamaskowanego dalmierza: – Ma zamiar zaatakować nas na

powierzchni. W dalszym ciągu uważa nas za łatwy kąsek.

Trapp znowu tkwił przy szczelinie obserwacyjnej, ale jego początkowy niepokój zaczynał mijać. W głosie zaczynały mu pobrzmiwać nutki starego wyrachowania:

–Niech pan tylko naprowadzi działo. Poza tym, nic pan nie rób, jasne? Żaden Szwab nie będzie do nas strzelał, skoro jesteśmy na tym kursie i mamy wywieszoną włoską flagę. Uzna, że jesteśmy swoi.

W tej samej chwili w dalmierzu ukazał się gwałtownie powiększony obraz. Przez jeden mrożący krew w żyłach moment ujrzałem, jak lufa wielkiego działła na przednim pokładzie obraca się Nieubłaganie w moją stronę, a potem z pełnym przerażenia niedowierzaniem zacząłem gapić się na obserwujących je ludzi i biały napis na boku kiosku.

–Nie, nie uzna. Zwłaszcza pod tą flagą.

Popatrzyłem na Trappa. Czulem, że twarz mam jak z drewna. – Bo to wcale nie jest - U-boot... To brytyjski okręt podwodny.

Przez chwilę spoglądał na mnie mrugając oczyma. A potem stwierdził posępnie: - To dlatego szykują się do strzelania, co? Może nikt nie zadał sobie trudu i nie powiedział im, żeby zostawili nas w spokoju?

–Nie wiem, do cholery... – przerwałem gwałtownie, bo nagle mnie olśniło. – A może to pan tego nie zrobił, Trapp? Nie zadał pan sobie trudu, żeby powiadomić facetów z operacyjnego, że ma pan zamiar powędrować o sto mil z hakiem na wschód od miejsca, gdzie według ich danych powinien znajdować się teraz “Charon”?

Zerknąłem znowu przez dalmierz i zobaczyłem, że działo wciąż się obraca, ale obsługa nie zdradzała szczególnego pośpiechu. Dla nich byliśmy po prostu jednym z włoskich łamaczy blokady, opuszczonym pospiesznie przez załogę, która wykazała godną podziwu przezorność – jeszcze jednym zwyczajnym celem dla ich działła. – Czy poinformował ich pan, dowódco – zapytałem ostro – że zmienił pan plan?

–Sir? – odezwał się zaniepokojony głos w słuchawce. – Jakie będą nowe rozkazy, sir?...

–Czekać... – warknąłem, a potem znowu popatrzyłem na Trappa. – Czy powiedział im pan?

Z zakłopotaniem wzruszył ramionami. – Możemy im nadać sygnał Aldisem.

–Nic z tego. Ten okręt podwodny znajduje się daleko poza naszą strefą działania. Nawet go nie poinformowano, że istniejemy.

Trapp przekręcił się, żeby spojrzeć przez szczelinę obserwacyjną. Mięśnie karku zaczęły mi wiotczeć w przeczuciu tego, co miało nastąpić. Nie mieliśmy już zbyt wiele czasu. Wtedy Trapp odezwał się do mnie:

–Działo – rzucił sucho. – Naprowadź pan działo, jak panu kazałem.

Poczułem, jak krew zaczyna tętnić mi w skroniach.

–To przecież Royal Navy, Trapp! Nasi!

–Wiem! – wrzasnął w odpowiedzi. – Ale to oni zmusili mnie do tej pieprzonej roboty, Miller. To był ich wybór, nie mój, pamiętasz pan? No to naprowadź pan to pieprzone działo i przygotuj się do otwarcia ognia... To rozkaz...

Właśnie w tym momencie pierwszy pocisk z okrętu podwodnego z hukiem oszalałej lokomotywy przemknął tuż nad przednim pokładem. Wiedziałem, że jest już za późno, bez względu na to, jak szybki okaże się Crocker. Zbyt późno na wszystko. Mimo to uniosłem słuchawkę i rzuciłem głosem pełnym beznadziei: – cel – okręt podwodny! Odległość jeden tysiąc siedemset jardów, stała. Kąt...

Drugi ich pocisk wybuchnął na trawersie mostku i był tylko o dwadzieścia pięć jardów za krótki. Poczułem, jak cały statek podskakuje od podmuchu niczym spłoszony koń pociągowy i po chwili zostaliśmy zalani potężną kaskadą zabarwionej na żółto wody morskiej, która runęła na pokład z grzmiącym łoskotem.

Gorbals Wullie rozdarł się w sterówce:- O wy takie syny!

Trapp głosem zimnym jak lód rzucił do telefonu łączącego z maszynownią: – spieprzaj pan stamtąd, czif. I pański palacz... macie może jakieś dziesięć sekund.

Teraz odezwał się mikrotelefon. Bosman Crocker. Wciąż jakby to były cholerne ćwiczenia. – Odległość ustawiona. Czy może pan podać kąt kursu celu?

Za chwilę będzie koniec...

Zupełnie sparaliżowany zacząłem podawać Crockerowi namiary: – Jeden dwa pięć... jeden dwa zero... Odległość stała... jeden jeden siedem...

Wybuch, który nastąpił, był jakoś odmienny od tego, co sobie zawsze wyobrażałem. Nie było błysku, bólu... tylko dziwnie oddalony łoskot. Zupełnie jakby nie miał nic wspólnego z "Charonem". Nagle okulary dalmierza zaszyły białą mgłą, podczas gdy brytyjscy marynarze wokół dalekiego działa rozsypali się jak liście zdmuchnięte potężnym uderzeniem wiatru...

–Jakżeś pan to zrobił? – zapytał Trapp dziwnym głosem. – Nie opuszczając osłon?

Zamrugalem ze zdumieniem. Przecież już powinno mnie tu nie być. Żadnego z nas. I w tej chwili Gorbals Wullie stojący w sterówce wymamrotał wstrząśniętym głosem:

–Spójrzcie na to... O Jezusie! Spójrzcie tylko na to!

Uniesiony eksplozją pył wodny wisiał wciąż jak mglisty całun nad okrętem podwodnym przesuając się po przekątnej nad jego długim, czarnym przednim pokładem. Załamywały się na nim tęczo promienie słońca. Nie było już widać artylerzystów wokół działa, a jego długa lufa pochylała się jak pijana w stronę morza. Dopiero po chwili zorientowałem się, iż dzieje się tak dlatego, że brytyjski okręt podwodny przechyla się na lewą burtę, a zaokrąglenie jego prawych zbiorników balastowych rysuje się ostro na linii horyzontu.

Nagle cały kadłub przed kioskiem wybuchł wielkim, pomarańczowym rozbłyskiem i jednocześnie z kiosku rzygnął obrzydliwie strumień czarnego i białego dymu. Wzbijał się coraz wyżej i wyżej w zdziwione, błękitne niebo, aż wreszcie poprzez pieniaące się od spadających szczątków morze dobiegł nas grzmot drugiej eksplozji...

Bosman Crocker z drugiej strony telefonu rzucił bezgranicznie zaskoczonym głosem: – Co tam... Sir, naprowadziliśmy na cel i czekamy na rozkaz... Na rany boskie, czy jesteście tam jeszcze, kapitanie Miller?

–Jeszcze jesteśmy, Crocker – powiedziałem cicho. – Odwołuję ten cel, ale musicie zostać przy dziale... I trzymać osłony zamknięte.

Trapp zaczął wstawać jak oszołomiony. Przewyciężyłem paraliż ogarniającego mnie przerażenia i chwyciłem go za ramię.

–Niech się pan nie podnosi – mruknąłem. – Na litość boską, niech pan zostanie w ukryciu.

Skrzywił się ze złością. – Już go nie ma, chłopie. Nie wiem, jak się to stało, ale tych biedaków już nie ma.

Przezołgałem się szybko do szczeliny obserwacyjnej. Z okrętu nie zostało już nic. Tylko połyskujący ropą wir na powierzchni i kilka tańczących na fali, niemożliwych do zidentyfikowania kształtów.

–Został storpedowany – warknąłem, czując, że znowu zaczynam się bać. – A to znaczy, że jest tu jeszcze jeden okręt podwodny, który nas obserwuje. Ale tym razem, to jest U-boot.

Leżeliśmy czekając w napięciu dwadzieścia minut. Dwadzieścia długich, doprowadzających do szału, cholernych minut.

Przez cały czas zdawaliśmy sobie sprawę, że podejrzliwie obserwuje nas krążący wokół obiektów. I przez cały czas oczekiwaliśmy, że lada chwila pokład wyrznie nas w twarz po uderzeniu drugiej torpedy. Tej, po której będzie błysk i ból. I huk.

Wciąż jednak pozostawaliśmy na stanowiskach bojowych. Ale dla tego odległego oka na pokładzie milczącego, kołyszącego się na fali “Charona” nie było żywego ducha. Tylko kręciła się bez celu jak bezdomny żuk wodny nasza mała, brudna łódź ratunkowa, na której z kolei czekał Babikian ze swoimi ludźmi. Być może na warknięcie bliskiej serii ze Schmeissera, która nastąpi po grzmocie torpedy U-boota.

W czasie tych dwudziestu nie kończących się minut Al Kubiczek wraz z mniej entuzjastycznie nastrojonym palaczem przeczołgał się z powrotem do swojej ukochanej maszynowni. Crocker razem ze swoimi artylerzystami czekał niecierpliwie w łaźni, jaką była ładownia numer dwa, a obsada Boforsa, zamknięta w swojej kruchej, drewnianej skrzyni na przednim pokładzie, musiała przeżywać klaustrofobiczne katusze potępieńców.

Wreszcie, kiedy minęło już dwadzieścia minut, Trapp wdusił niedopałek papierosa w pokład i oznajmił wojowniczo: – Pieprzę ich, panie pierwszy. Mieli swoją szansę, a ja mam umowę do zrealizowania.

Po raz setny popatrzył przez szczelinę obserwacyjną. Ja również. Widniało w niej tylko puste, zalane słońcem morze. I tylko tych kilka żalonych tłumoczków, powoli odpływających na rozszerzającej się plamie ropy.

–W każdym razie proponuję, żebyśmy w dalszym ciągu się nie pokazywali, dowódco – mruknąłem w nadziei, że nie zaczną się znowu ze mną sprzeczać. Nie teraz. – Niech Babikian wróci na pokład, jakby statek był zupełnie opuszczony. Potem się pojawimy.

Trapp spojrzał na mnie wyniośle.

–Oczywiście. Zanim pan zaczął te ćwiczenia, usiłowałem pana przekonać, że w pobliżu jest U-boot. Teraz cholernie dobrze wiem, że tu jest... i coś mi mówi, że jeszcze z nami nie skończył.

Sam jednak doszedłem już do tego wniosku. Dowódca niemieckiego okrętu podwodnego był cierpliwym, obliczającym szanse człowiekiem.

I to, co zrobimy w czasie kilku następnych minut, zadecyduje, czy będziemy żyć, czy też umrzemy.

Nawet więc po tym, jak wstrząśnięty “zespół paniki” wrócił na pokład i podniesiono szalupę z wody, pozostałem na mostku ukryty pod osłoną relingu i czekałem. Tym razem spokojnie. Ze słuchawką w ręku.

Kiedy wreszcie ujawniona już część naszej załogi zawisła na relingach i zaczęła gapić się z niepokojem na morze – co nie wyglądało wcale niezwykle ani nie wymagało z ich strony jakichś specjalnych talentów aktorskich – Trapp, który ponownie znalazł się w sterówce i stał trzymając rękę na telegrafie maszynowym, rzucił ostro:

–Tak, ciągle tu jest, Miller. Podchodzi od rufy. Trzy rumbury za trawersem.

Obróciłem się cały zeszywniały i popatrzyłem do tyłu. Jednocześnie mocniej ścisnąłem mikrotelefon i powiedziałem: – Cel ciągle w zanurzeniu, bosmanie. Zbliża się do rufy, z prawej burty.

–Tak jest, sir – odpowiedział. Zupełnie jakbyśmy dopiero w tej chwili zaczęli pracować...

Nagle z krążącej smugi piany wysunął się palec, który potem wydłużył się w pionową kolumnę. U jej podstawy, z kotłującego się morza zaczął wysuwać się kiosk okrętu podwodnego, aż wreszcie w ślad za nim w wirze spienionej spływającej wody pojawił się przypominający spłaszczony od góry metalowy pojemnik na cygaro, pokryty zaciekami rdzy kadłub.

U-149... Nie było żadnej wątpliwości, jaka jest przynależność państwowa tej zmaterializowanej nagle zjawy.

Potem obserwowaliśmy ponuro dokładną kopię przygotowań do walki na powierzchni przeprowadzonych przez naszego poprzedniego gościa. Marynarze wyroili się z kiosku; szereg płynnie poruszających się ludzi skierował się w stronę działa na przednim pokładzie, podczas gdy pozostali zaczęli wykonywać nienagannie wyćwiczone czynności wokół paskudnie wyglądającego, szybkostrzelnego działka znajdującego się za kioskiem.

–Znowu się zaczyna – mruknął sucho Trapp. – Otworzyć ogień, kiedy będziecie gotowi.

Popatrzyłem na niego z rozpaczą. – Nie mogę, do diabła! Jest wciąż za bardzo z tyłu. Nie jestem w stanie naprowadzić działa. A on ma nas prosto przed dziobem... dziwne, że pokrywy aparatów torpedowych są zamknięte.

–Już mam tego zupełnie dosyć, do cholery – oznajmił Trapp.

W tej chwili od strony U-boota doleciał wzmocniony przez głośnik szum statyki, a potem metaliczny głos zahuczał nad rozdzielającą nasze dwie jednostki wodą: – “Guten morgen, Kapitan! In welchem Jahrhundert hat dieser Schiff gelebt?...

I w tej samej chwili od strony U-boota rozległ się chrapliwy śmiech z elektronicznym

pogłosem.

Trapp machnął na mnie ręką. – Co on mówi? Co on mówi do diabła?

Ulga, którą odczułem, była najszcześniejszym uczuciem, jakiego do tej pory zaznałem.

–W porządku, dowódco. Nawet nas nie podejrzewają... niech pan tylko struga głupka i modli się, żeby żaden z nich nie umiał po włosku.

–Ale co ten pieprzony, kwadratowy łeb gada?

Nie odważyłem się na niego spojrzeć. – Pyta... hm... z którego wieku jest ten statek. – I dodałem z pośpiechem: – ale to żart, na rany boskie. To tylko taki teutoński, przyjacielski dowcip.

–Przekręć no pan tę swoją armatę trochę ku rufie, to popatrzę sobie jak ten sk...syn skona ze śmiechu...

–“Achtung, Achtung, Kapitan Womit kann ich dienen?”

Tym razem ostrzej. I bez żadnej wesołości w głosie.

–Niech pan coś powie, na litość boską – mruknąłem nerwowo. – Kiedy stoimy, nie mamy najmniejszej szansy go trafić... nawet gdybyśmy byli pewni, że to cholerne działa w ogóle wystrzeli.

Zobaczyłem, jak pod osłoną relingu zaciska z wściekłością pięści, ryknął: – “Italiano... nicht sprechen... aaa?”

–“Sie deutsch – szepnąłem szybko.

–...się duś – skończył ciężko Trapp.

Chwila ciszy ze strony U-boota. Zerkając ostrożnie mogłem dostrzec obsługę wciąż stojącą przy działach, która bardziej cieszyła się świeżym powietrzem, niż zajmowała wyłącznie formalnymi środkami bezpieczeństwa. – “Boże, proszę cię, pomyślałem błagalnie, żeby przesunęli się trochę bardziej do przodu i do diabła z róbowaniem działa...”

Nad wodą rozległy się jakieś wykrzykiwane rozkazy. Niemieccy marynarze zaczęli biec w stronę kiosku i wspinać po metalowych klamrach. Jednocześnie nad osłoną pomostu uniosła się w pożegnalnym geście ręka i głośnik zahuczał po raz ostatni:

–“Unterseebootn Eins Vier Neun zu ihren Diensten. Kommen sie wieder... Gluck und auf Wiedersehen.”

–U-boot 149 do usług. Wzywajcie nas, kiedy będziecie chcieli. Powodzenia i...

–Wiem, wiem – warknął Trapp. – Nie jestem taki zupełnie głupi...

Nagle okręt podwodny ruszył gwałtownie do przodu zostawiając za sobą białą, spienioną smugę. A potem z rykiem sprężonego powietrza wysmukły kształt zaczął wślizgiwać się pod powierzchnię i po chwili jedynym śladem jego obecności były zawirowania na wodzie.

Przez dłuższą chwilę na pokładzie “Charona” panowała niemal namacalna cisza. Bo zacząłem dygotać gwałtownie, czując się zupełnie wyprany z emocji. Wreszcie Trapp mruknął: – Przydałoby się obejrzeć miejsca, gdzie nasz okręt podwodny dostał torpedę?

Popatrzyłem przez moment tam, gdzie plama ropy prawie już zlała się z pustą gładzią morza. – Nie – odparłem cicho. – Nie ma sensu. Poza tym nasi sojusznicy mogą nas jeszcze obserwować.

Potem uniosłem słuchawkę. – Obsługi dział. Koniec alarmu. Wydać herbatę, bosmanie.

Na pokładzie HMS “Charona” wszystko znowu było normalnie. Tak normalnie, jak tylko mogło być.

Statek zaczął dygotać w rytm wolnych obrotów śruby, gdy Trapp przesunął rączki telegrafu na “Cała naprzód”. Potem odwrócił się do mnie: – No i jak się panu podobało pańskie małe ćwiczonko?

–Ćwiczonko...

Zacząłem się uśmiechać, patrząc na niepoprawnego szypra. – Na pokładzie tego statku, dowódco, nie ma czasu na ćwiczenia. Zbyt wiele roboty z wyjątkowymi sytuacjami.

Rozdział 7

Nasz pierwszy samolot zobaczyliśmy następnego dnia, tuż po śniadaniu. Albo raczej po owsiankowych pomyjach i szerniałej, wyschniętej grzance nazywanych przez kucharza, ulubionego wroga Trappa, dość eufemistycznie śniadaniem.

Babikian usłyszał go pierwszy. Stałem po zawietrznej stronie mostku, słuchając kątem ucha Trappa, który jak zawsze omawiał problem, czy będziemy doświadczać gastronomicznych rozkoszy zwanych “Frytki i klopsiki” czy też “Klopsiki z cholernymi frytkami”.

Kucharz wrzasnął właśnie z narastającą wściekłością, dając upust swemu greckiemu oburzeniu: – Kiedy byłem szefem kuchni w hotelu “Majestique” w Salonikach...

–Szefem?... – ryknął Trapp z niedowierzaniem. – Szefem? Byłeś drugim pomocnikiem zastępcy cholernego pomywacza. I to w przytułku Georgia Kariakopulosa, tuż obok...

Wtedy właśnie drugi oficer wychylił się z tylnej części mostka i odezwał się z niepokojem:

–Kapitanie, proszeeę? Sądzę, że w naszą stronę leci samolot.

Wystartowałem jak sprinter na olimpiadzie:

–Zespół pokładowy na stanowiska. Przystąpić do wałkonienia się. Obsada Boforsa – zamknąć się!

Przez jakieś pół minuty na “Charonie” panował kompletny chaos. Część ludzi, która chciała zająć stanowiska na pokładzie, usiłowała przepchnąć się na górę przez falę pozostałych, którzy z dzikimi klątwami starali się utorować sobie drogę na dół i zniknąć z pola widzenia.

Trapp wystrzelił jeszcze zwycięską pożegnalną salwę pod adresem rozwścieczonego kuka: “...a i to było, zanim zarobiłeś kulkę za to, że byłeś zbyt brudny”. – Potem wbiegł po trapie na mostek z wdziękiem młodego słonia, warknął swoje zwykłe “Spieprzaj!” do sarniookiego drugiego oficera i zatrzymał się z poślizgiem obok mnie.

–Gdzie jest?

–Dwa rumby w prawo od dziobu. Jeszcze nie mogę go zidentyfikować.

Wysunąłem się z niepokojem za reling, żeby przyjrzeć się badawczo scenie na dole. Wałkonie, zwani tak, bowiem ich podstawowym zadaniem w razie kontroli z powietrza było sprawianie wrażenia, iż wykonują normalne czynności niewielkiej załogi, robili, co do nich należało. I tylko z bliska można było zauważyć, że mają zaczerwienione twarze i oddychają ciężko.

Aby zatrzeć ewentualne niekorzystne wrażenie, na wszelki wypadek trzymali się fałszywych skrzynek na warzywa, pod którymi ukryte były ciężkie karabiny maszynowe. Ponieważ jednak nasza ostatnia linia obrony składała się z wojowniczego Gorbalsa Wullie'ego, nerwowego drugiego oficera Babikiana, greckiego palacza wiecznie pogrążonego w letargu i krwiożerczego kucharza z przytułku Georgia Kyriakopoulosa, miałem bardzo poważne wątpliwości co do

skuteczności naszego pomocniczego uzbrojenia.

Z drugiej jednak strony, jako część bandy z “Charona”, sprawiali wrażenie nader autentycznej gromady walczyli.

Samolot przybliżał się z buczeniem, aż wreszcie jego dwusilnikowa sylwetka wypełniła obiektywy mojej lornetki. – Dornier – mruknąłem. – Samolot zwiadowczy.

–Dobra – Trapp uśmiechnął się z entuzjazmem. – No to wyciągaj pan Boforsa i możemy im przyłożyć dla odmiany.

Popatrzyłem na niego z obawą. W miarę jak zbliżaliśmy się do nieprzyjaciela, Trapp stawał się coraz mniej neutralny. Albo to, albo też coraz bardziej dawał się ponieść swojej nazbyt już optymistycznej ocenie siły ognia “Charona”. Dlatego właśnie chciałem początkowo, żeby dowódcą został doświadczony oficer marynarki. Taki, który będzie w stanie obliczyć szanse i podjąć odpowiednie decyzje, a nie pakować się w drakę za każdym razem, kiedy zobaczy swastykę, powodowany wyłącznie megalomańskim przeświadczeniem, że interes jest interesem i do jego obowiązków należy realizacja kontraktu.

W gruncie rzeczy, ten bojowy rejs pod dowództwem komandora podporucznika Edwarda Trappa, RN, zapowiadał się coraz bardziej niebezpiecznie i koszmarnie.

–No i co?

Otrząsnąłem się z zamyślenia. Trapp patrzył na mnie dziwnie, trochę jakby z rozbawieniem.

–Nie możemy ryzykować otwarcia do niego ognia, dowódco – powiedziałem ze znużeniem. – Po pierwsze, nie możemy naprowadzić Boforsa – ani na kierunek, ani na wysokość – dopóki nie usuniemy skrzyni. Każdy pilot będzie miał w tej sytuacji wystarczająco dużo czasu, żeby odskoczyć. Poza tym jeżeli nawet będziemy mieli szczęście i go zrąbiemy, i tak będzie mógł podać przez radio naszą pozycję wraz z opisem... a następnego U-boota nie zdołamy zobaczyć!

Samolot zbliżał się równo i nieubłaganie. Teraz można go było zidentyfikować nawet i bez lornetki.

Trapp jednak wciąż gapił się na niego i najwyraźniej oceniał własną miarką. – No, nie wiem. W końcu Szwaby wpakowały parę tysięcy funciaków...

–Do diabła! Bez względu, co pan sobie myśli, nie jesteśmy przecież pieprzonym krążownikiem przeciwlotniczym! – zawałałem się przez moment, a potem dodałem chytrze: – Oczywiście, niech pan robi jak pan uważa, ale jeżeli nie trafimy go pierwszym pociskiem i “Charon” zostanie zdekonspirowany, to proszę pamiętać, że

złamię pan warunki kontraktu. Działając wbrew rozkazom...

Widząc, jak marszczy brwi, zrozumiałem, że odkryłem jego piętę Achillesową.

–Złamię warunki?

–Zakaz działań zaczepnych w czasie dnia. Co oznacza, że nie powinniśmy strzelać do Niemców, którzy biorą nas za dobrą monetę.

Spojrzał z urazą na Dorniera, a potem, podjąwszy decyzję, przewiesił się przez reling mostku. – Hej tam, zacznijcie się wałkonić jak należy. I przestańcie tkwić przy kaemach, jakby to były prezenty gwiazdkowe... Gdzie jest ta duża flaga?

Babikian popędził na rufę i wrócił z naręczem tkaniny. Rozłożyli ją na pokrywie drugiej ładowni i “Charon” płynął teraz pod włoską banderą, która musiała być widoczna z samolotu jak słońce.

Pierwsze podejście wykonał dość wysoko nad nami. Potem obserwowaliśmy z napięciem, jak samolot nieomal leniwie zawrócił i zaczął lecieć w naszym kierunku pięćdziesiąt stóp nad powierzchnią morza. Minął nas z lewej burty w odległości około pół mili, a jego czarne krzyże były doskonale widoczne na smukłym kadłubie. Może nic nie podejrzewał, ale wciąż był ostrożny. Miałem przecucie, że ten pilot ma spore szanse dożyć do końca wojny.

A może miał jakieś wątpliwości? Może coś nie było całkiem w porządku?

Przy trzecim podejściu skierował się prosto na nas, lecąc niewiele wyżej od czubków naszych masztów. Kiedy patrzyłem na rosnącą coraz bardziej wydłużoną sylwetkę i rozmazane kręgi obracających się śmigieł, poczułem się nagle straszliwie odsłonięty. Równocześnie ogarniał mnie coraz większy lęk, że to Trapp miał rację, a nie ja.

Luki bombowe Dorniera były ciągle zamknięte, widziałem to wyraźnie. Ale miał również działko i karabiny maszynowe, które mogły momentalnie zamienić mostek i pokłady “Charona” w krwawe, podziurawione rumowisko. Schwyciłem mikrotelefon łączący mnie z Boforsem w jedną rękę, a drugą zacząłem machać.

Niemal błagalnie.

Trapp również zaczął gestykulować powitalnie, a za jego przykładem cała reszta – zupełnie jakby nasze życie od tego zależało. Zresztą, jeżeli się zastanowić, tak właśnie było. Bez względu na to jakie uczucia włoscy marynarze żywili do swoich hitlerowskich sojuszników, na pewno byli cholernie zadowoleni widząc ich w miejscu, gdzie równie dobrze mogli ich odwiedzić Anglicy.

Pięćset jardów... czterysta. Dwa karabiny maszynowe wyraźnie widoczne w oszklonym nosie przedniej kabiny... trzysta...

Gorbals Wullie wymachiwał histerycznie i darł się na całe gardło: – Chodźta tu, kwadratowe łby. Zejdźta niżej, żebym mógł wam dosunąć. Pieprzone Szwaby, pieprzone Szwaby...

Trapp ryczał wściekle: – Uśmiechać się, sukinsyny! Uśmiechajcie się, jakby przywozili wam szmal...

...dwieście jardów... sto.

Dobry Boże, spraw, żeby nic nie zauważyli.

W ostatniej chwili potężna maszyna opuszczając jedno skrzydło zaczęła kłaść się w zakręt i przemknęła z grzmotem tuż nad nami. Strumień zaśmigłowy rozwichrzył nam włosy i porwał czarny dym z pieszczalkowatego komina “Charona” w kotłujące się, spłoszone strzępy.

Jedno migawkowe spojrzenie na kabinę, skąd patrzyły na nas obramowane haubami białe twarze, zaciśnięta pięść uniesiona w pozdrowieniu i samolot pognał z hukiem wzdłuż naszego śladu wodnego, a podmuch powietrza zwinął i pociągnął skotłowany kłębek włoskiej flagi po pokrywie luku.

Patrzyliśmy w milczeniu na Dorniera, jak rozplywa się za drgającym w upale horyzontem. Wreszcie Trapp westchnął z rozczarowaniem i odwrócił się w stronę relingu.

–I jeszcze jedno! – wrzasnął do kucharza. – Ta jajecznicca, którą wczoraj spartoliłeś, była jak z cholernej gumy...

Tak oto, w równym stopniu dzięki naszemu szczęściu jak i dobremu kierownictwu, osiągnęliśmy zajęte przez państwa Osi wybrzeże Afryki Północnej.

Wciąż nie wystrzeliliśmy z naszych dział. Nawet nie spróbowaliśmy opuścić osłon.

Ale mieliśmy już sporo praktyki. Przynajmniej jeżeli chodzi o udawanie statku-pułapki.

Tej nocy, gdy tylko ujrzeliliśmy ląd, wzięliśmy zaopatrzenie i świeżą wodę.

Również zabunkrowaliśmy statek. Po prostu. W pozbawionej szczególnych cech, wolnej od piasku zatoczce i w samym sercu terenów zajętych przez wroga.

Zbliżyliśmy się do ciemnego, skalistego brzegu na wschód od słonych bagien i

rzuciliśmy kotwicę na głębokość czterech sążni. Potem Trapp i Al Kubiczek popłynęli cicho na brzeg szalupą o wiosłach owiniętych szmatami. Była w tym zapowiedź działań w stylu płaszcza i sztyletu, których ewentualna konieczność użycia mroziła mi krew w żyłach. Aż wreszcie, po półtorej godzinie straszego napięcia przewiosłowali wężykiem z powrotem – bardzo wesolotcy, skrzypiąc i popiskując jedną nienaoliwioną dulką.

Potem Trapp w alkoholowym uniesieniu popłynął sapiącym i brzęczącym “Charonem” prosto w stronę obcego brzegu i dając “Cała wstecz” dobił do rozpadającego się, kamiennego nabrzeża z łomotem, który niewątpliwie słyhać było w Kairze.

Na brzegu już czekały w szeregu trzy zabytkowe ciężarówki Forda, mniej więcej tego samego rocznika co “Charon” i według mojej stronniczej opinii, w takim samym stopniu zdolne do żeglugi. Dwie z nich wyładowane były do pełna węglem – wprawdzie tylko czwartej klasy, niemniej zupełnie nadającym się do użytku. Trzecia natomiast wyraźnie osiadła na swych resorach pod ciężarem skrzynek. Na każdym opakowaniu widniał orzeł niemieckiego Wehrmachtu oraz napisy objaśniające, na sam widok których ciekła ślinka. Jak choćby: “ochschwanzragout albo “Gerakucherte Rinderzunge” czy “Klops”.

Czyli, jak to określił radośnie Trapp: – Żarcie, kolego. Szwabskie żarcie. Nie wiadomo, co tam jest, dopóki nie otworzy się puszek, ale dzięki temu te cholerne obiady stają się podniecające...

Stała tam również grupa mężczyzn, przyglądająca się nam beznamietnie. Wysokich, o błyszczących oczach i ciemnych twarzach z orlimi rysami – a także ze Schmeisserami wiszącymi niedbale na ich okrytych ciemnymi burnusami ramionach.

Byli to ludzie pustyni, których obecność w tym groźnym, niewiarygodnym miejscu sprawiła, że czułem się bardzo nieprzyjemnie.

Oczywiście, w tym krył się właściwy powód, dla którego admirał tak bardzo potrzebował Trappa i jego niepozornego kameleonowego “Charona”, tak doskonale pasującego do tego lokalnego tła, gdzie całe wyposażenie techniczne było zacofane o co najmniej pięćdziesiąt lat. Żaden bowiem oficer Royal Navy ani też jakiegokolwiek innej marynarki wojennej na świecie nie mógł posiadać tak gruntownej jak Trapp znajomości tych odludnych, na wpół zapomnianych przystani na libijskim wybrzeżu.

Nie mówiąc już o przestępczych kontaktach, które Trapp tak zręcznie nawiązał z groźnymi przedstawicielami arabskiej mafii, czy czegoś podobnego. W gruncie rzeczy, po tym pierwszym spotkaniu w środku nocy byłem święcie przekonany, że gdybyśmy zamówili czołg w kamuflażu pustynnym i dobrym stanie, albo parkę mało

używanych Me-109, to beduińscy kontrahenci Trappa dostarczyliby je z równą skwapliwością – dorzucając zwłoki prawowitych właścicieli, jako gratisowy dodatek.

Wszystko to pozwalało przypuszczać, że działalność arabskich wspólników Trappa sprawiała, iż problemem Rommla w mniejszym stopniu było dowodzenie walką Afrika Korps niż zapobieganie całkowitemu okradzeniu jego wojsk zanim w ogóle do tej walki dojdzie.

Jakby na potwierdzenie tego, Trapp szepnął gardłowo:

–Nie spuszcza pan oka ze statku nawet na chwilę. Te złodziejskie Ali Baby nie mają żadnych zasad moralnych. Żadnej uczciwości w interesach.

Od tej pory modliłem się jedynie, żeby stały dochód, który mieli z zaopatrywania “Charona”, był dla nich bardziej atrakcyjny niż cena, jaką mogliby wytargować od Niemców za jedną prostą transakcję.

Następnej nocy morska sekcja Przedsiębiorstwa Wojennego Trappa rozpoczęła swoją działalność.

Weszliśmy do akcji.

Cel był mały, siedział głęboko w wodzie i był na tyle wolny, że nawet “Charon” mógł go zaskoczyć.

Zauważyliśmy go na pełnym morzu, na tle jaśniejszej linii horyzontu. Trapp, ze swoją smykałką do przetrwania, postanowił prowadzić łowy blisko brzegu, tak żeby sylwetka “Charona” niknęła na tle nieprzeniknionej czerni łądu. Dawało nam to również tę przewagę, że mogliśmy o wiele łatwiej dostrzec inne obiekty.

Jeżeli chodzi o mnie, cieszyłem się ze wszystkiego, co mogło zapobiec rozpoznaniu nas jako jednostki nawodnej. Wciąż nie mogłem pozbyć się lęku na samą myśl o reakcji Trappa wobec konieczności rozwiązania problemu mogących go zdekonspirować rozbitków. I najstraszliwszą chyba częścią tych przerażających rozważań była niepewność, jakie kroki ja sam bym podjął na jego miejscu. Było to zwyrodnienie, którego nie sposób było rozwiązać, aż do momentu, gdy nadejdzie chwila prawdy.

Jednak tej nocy, przy panującej obecnie ciemności, niebezpieczeństwo dekonspiracji prawie nie istniało. Kiedy tropiliśmy nieprzyjacielski kabotażowiec, nie musieliśmy nawet kryć naszego uzbrojenia. Opuściliśmy tylko cichutko kłapy i odsłoniliśmy Boforsa, dzięki czemu jego obsada po raz pierwszy od chwili wypłynięcia z Malty mogła przez cały czas prowadzić cel.

Zbliżaliśmy się stopniowo, a napięcie na pokładzie “Charona” stawało się niemal

namacalne w chłodnym, nocnym powietrzu. Podchodząc prostopadle dziobem nie mogliśmy wycelować naszego działa 4,7 cala do chwili, kiedy Trapp przejdzie na kurs równoległy do nieprzyjaciela, ale smukła lufa Boforsa ciągle podążała za niewyraźną sylwetką nic nie podejrzewającego parowca.

Przez szkła lornetki nie dostrzegłem na nim żadnych anten. Nie ma więc potrzeby rozbijać go w drzazgi pierwszą salwą.

Cisza. Śmiertelna cisza zakłócana jedynie szumem wody pod pionowym dziobem "Charona" i pulsacją jego ciężko pracującej maszyny. Na przednim pokładzie prawie nic nie było widać poza widmowo białymi kapturami przeciwplomieniowymi, osłaniającymi ramiona i głowy artylerzystów oraz przypadkowymi błyskami zabłąkanej poświaty księżycowej na nieruchomym hełmie...

Oparty niedbale o reling Trapp patrzył uważnie i mruzczał krótkie komendy do stojącego przy sterze Josepha I-nic-więcej. Zerknąłem z zaciekawieniem w jego stronę, ale na jego beznamiętnej, ogorzalej twarzy nie znajdowało odbicia nic, co sugerowałoby jakiś zamęt panujący w jego duszy. W duszy człowieka, który został zmuszony do pogodzenia się z zabijaniem i marnotrawieniem, czyli z czymś, czego przez całe życie starał się uniknąć.

Nerwowy, zupełnie tu nie pasujący Babikian stał obok swojego kaemu przy relingu tylnego pokładu. Obok broni, z której, jak dotąd uczył się strzelać jedynie na podstawie podręcznika i informacji, których udzieliliśmy mu razem z Crockerem.

Sam bosman Crocker i jego koszarne uzupełnienie, które było chyba największą niespodzianką wszechświatów dla mnie, i dla Royal Navy. Banda matrosów, którzy w nieposłuszeństwie mogli zakasować załogę "Charona" – chyba, że była jakaś robota do wykonania. Większość z nich znajdowała się teraz poza zasięgiem mojego wzroku, na dole, w odsoniętej otchłani ładowni numer dwa i zapewne zastanawiała się ponuro, czy w razie potrzeby to ich cholerne działo w ogóle wystrzeli.

Tłusty, straszliwie nieudolny kucharz ubrany w brudny fartuch przy swoim kaemie. I Al Kubiczek, dosłownie żywcem pogrzebany wraz ze swoimi zlanymi potem, klnącymi palaczami w stalowej trumnie o cienkim jak z bibułki poszyciu burt... Gorbals Wullie, cichy i dziwnie zamyślony, wyglądający strasznie głupio i niewiarygodnie czysto w marynarskiej czapce i mundurze z odznakami torpedysty z okrętu podwodnego JKM. Oczekuje ze Stenem w ręku obok już napompowanego pontonu.

Ale to czekanie nie miało potrwać długo. Drugi statek płynął spokojnie prostopadłym kursem...

Nasz plan był prosty. Ostrzelamy go początkowo wyłącznie z Boforsa, bo prawdopodobieństwo, że zacznie wzywać pomocy przez radio było niewielkie.

Chcieliśmy tylko, żeby stanął w dryf i umożliwił nam wejście na pokład. Potem popłyniemy z powrotem na “Charona”, podczas gdy te biedne sukinsyny mogą zwiewać, jeżeli im się uda. A my zatopimy go z naszego dział. Jeżeli zdołamy...

Wreszcie, trzeba będzie wynieść się z tej okolicy z pełną prędkością ośmiu węzłów, modląc się, żeby nie było w pobliżu nieprzyjacielskiego kutra patrolowego... który może nawet w tej właśnie chwili podąża za nami i obserwuje podejrzliwie przez przyrządy celownicze swoich dział.

A jutro – jeżeli będzie jakieś jutro – na luku ładowni znajdzie się tunezyjska flaga, albo Francuzów z Vichy, albo włoska... Nasz “zespół paniki” będzie czekał, a wałkonie wałkonili się jak diabli. W tym samym zaś czasie Luftwaffe będzie latać jak kot z pęcherzem, szukając “das verdammt Britisch Untersee-booten”.

Ale to również była tylko teoria. Podobnie jak pozostała część planowej wojny “Charona”.

Aż do tej chwili...

Nagle Trapp burknął:

–Ster lewo dwadzieścia... Ster prosto. Tak trzymać... Tak trzymać, chłopie.

Popatrzyłem na nieprzyjacielski statek, który teraz płynął niemal na trawersie wciąż w błogiej nieświadomości naszego sąsiedztwa. Wiedziałem, że w chwili, kiedy wykonaliśmy zwrot, Crocker naprowadził działo na słabo widoczny mostek kabotażowca. Odległość nie była trudna do ustalenia. Bezpośrednia.

W tym momencie Trapp rzucił suchym, beznamiętnym głosem. – Proszę otworzyć ogień, gdy będzie pan gotów.

Nie posłużyłem się telefonem. Nie było sensu kryć się dłużej.

**Nabrałem tylko głęboko powietrza i ryknąłem: – Bofors! Dwanaście pocisków...
OGNIA!**

Obrzydliwy, paraliżujący umysł jazgot rozerwał ciszę nocy. Ogłuszył nasze zmysły charakterystycznym, czterotaktowym rytmem. Mikrosekundowe rozbłyski płomienia wylotowego wydobywały z mroku przerdzewiałe płaszczyzny i wpatrzone, pełne lęku twarze na pokładzie “Charona”... Utrwalony w pamięci migawkowy, jak w filmie Chaplina, obraz marynarza na platformie ładowniczej, wsuwającego magazynki z amunicją do podajnika. Przygarbione plecy celowniczych kierunku i położenia...

Cisza...

I znowu ciemność. A w tym właśnie czasie “Charon” w mgnieniu oka stał się ostatecznie okrętem wojennym.

Nieprzyjacielski statek zaś stał się ofiarą. Czerwone, niepozorne iskierki przebiegły wzdłuż czarnej linii jego pokładu od dziobu do rufy. A potem nic. Żadnego wybuchu, ognia, przerażonego wezwania pomocy z naszej ustawionej na nasłuch radiostacji.

–Jeszcze raz – warknął sucho Trapp. – Dobrą serię.

W zapadłej na nowo ciszy usłyszeliśmy nagle chrapliwy ryk spuszczonej pary. Stateczek zaczął skręcać w naszą stronę, a jednocześnie ledwo dostrzegalna luminescencja pod jego dziobem zniknęła zupełnie.

–W porządku – powiedziałem z ulgą i zaskoczeniem. – Zatrzymuje się.

Trapp spojrział na mnie i na chwilę nasze oczy się spotkały. Potem odwrócił się i chwycił rączki telegrafu maszynowego.

“Maszyny stop.”

Poczułem, że “Charon” zwalnia i po chwili stanęliśmy w dryf; burta w burtę, w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów od nich. Bofors wciąż wycelowany był w mostek statku i wiedziałem, że działo 4,7 cala również jest skierowane dokładnie w ten sam punkt. Z tamtej strony w dalszym ciągu nie było żadnej reakcji. Żadnych okrzyków, świateł, czy pisku bloków, które świadczyłyby, że opuszczają statek. Uniosłem mikrotelefon i zapytałem z niepokojem Crockera:

–Zaraz ruszamy. Czy na dole wszystko w porządku?

–Tak jest, sir! – odpowiedział pewnym głosem.

–Przejmujecie kierowanie ogniem. Proszę pamiętać – coś nie tak i musicie im przyładować. Nie martwcie się o nas, nie macie na to czasu.

To nie była z mojej strony żadna brawura. Jeżeli coś pójdzie nie tak, to my w grupie abordażowej i tak znajdziemy się jak na patelni. Otwarty ponton jest bardzo wrażliwy na pociski najmniejszego nawet kalibru. Nasze jedyne zabezpieczenie może stanowić niewiadoma groźba ze strony osłaniającego nas “Charona” – oraz nadzieja, że załoga tego maleńkiego frachtowca składa się z ludzi, którzy są teraz zbyt przerażeni, żeby bawić się w lojalność wobec swoich obecnych pracodawców.

Chyba, że natkniemy się na jakiegoś arabskiego Trappa... albo spróbujemy abordażować pseudotransportowiec wojska obsługujący Afrika Korps.

–No, ruszaj pan – odezwał się z irytacją Trapp.

Spojrzałem po raz ostatni w stronę tamtego statku i wzruszyłem ramionami: – Cóż, dobra...

Ześlizgnąłem się po trapie z mostku. Trapp zbliżył się do krawędzi i spojrzał na mnie z góry.

–Dwadzieścia minut. Chcę was tu widzieć za dwadzieścia minut, albo dajcie znać lampą sygnałową, że musicie zatrzymać się dłużej.

Skinąłem głową i podszedłem do niewyraźnych postaci opuszczających ponton na wodę. Płynęliśmy w pięciu. Gorbals Wullie, marynarz artylerzysta Clark, Mulholland, potężnie zbudowany mat, który popisał się tak wisielczym humorem, gdy po raz pierwszy zobaczył “Charona” i grecki palacz zwany Polly, który rzucał nożem i płynnie mówił po arabsku. No i oczywiście, ja. Dzięki Bogu choć za to, że jako wsparcie miałem czterech najtwardszych, najbardziej niszczycielskich zbirów, jacy kiedykolwiek nosili mundury Royal Navy.

Gdy tylko zacząłem przechodzić przez reling, Trapp zawołał: – powodzenia, chłopie. I nie rób niczego, przy czym mógłbyś zarobić guza.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi. Miałem nadzieję, że w ciemności nikt nie zobaczy, jak trzęsą mi się ręce.

–Obiecuję, dowódco.

Naprawdę miałem taki zamiar. Co do joty.

Nieprzyjemne uczucie, że jest się zupełnie odsłoniętym, stawało się coraz silniejsze, w miarę jak zbliżaliśmy się do tajemniczego, cichego statku. Nawet siedzący przy wiosłach Gorbals Wullie z niepewnością odwracał głowę, żeby rzucić niespokojne spojrzenie, a Mulholland i Clark siedzieli na dziobie z odbezpieczonymi i wycelowanymi w linię nadburcia Stenami.

Przybiliśmy do burty obok spływającego łagodnie strumyczka wody chłodzącej silnik. Do naszych uszu dobiegało przygłuszone tętnienie wciąż jeszcze wolno pracujących mechanizmów wewnątrz tego pordzewiałego, pokrytego szramami kadłuba. Grek Polly spojrzał na mnie pytająco.

–Czy chce pan, żebym ich okrzyknął?

Potrząsnąłem głową. – Wejdziemy na pokład, dopóki droga wolna.

Stanąłem niepewnie na ruszających się deskach tworzących pokład i zamachnął się. Usłyszałem, jak brzęk uderzającego o pokład haka abordażowego rozbija ciszę. Potem Grek ujął oburącz linę i pociągnął. Hak trzymał mocno.

–Nie podobuje mi się to – mruknął ponuro Wullie. – Nie mogli przecie wszystkich ich wytłuc, no nie?

Mulholland nie spuszczał wzroku ani lufy Stena z widniejącego nad nami relingu.

–Chłopie, coś ty. Przynajmniej dwunastu ludzi w załodze – po jednym wystrzelonym pocisku na głowę? Dziwiłbym się, gdyby te pierdoły przy Boforsie w ogóle trafiły w ten statek.

–Dość gadania – warknąłem sucho. – Idę na górę. Ty za mną, Mulholland. Potem Clark, Wullie i Polly – tak szybko, jak potraficie.

Rzuciłem jedno, niezmiernie tęskne spojrzenie w stronę, gdzie w ciemności znajdował się “Charon” zupełnie niewidoczny na tle czarnego jak smoła brzegu, a potem wspiąłem się niezgrabnie parę stóp do góry po przerzuconej przez reling linie z węzłami. Gdy tylko moje oczy znalazły się na wysokości krawędzi pokładu, z wysiłkiem zacząłem, niespokojnie wypatrywać jakiegoś ruchu. Zawieszony w powietrzu, niezdolny do ukrycia się czy zrobienia jakiegoś uniku, byłem narażony na zamaszystego kopa w zęby albo niedbały, spokojny strzał w czoło.

Jednakże pokład tego statku-widma był zupełnie pusty. Żadnego ruchu, poza trzepotaniem przyciśniętego klapą skrawka papieru i miarowym klap... klap... klap... linki uderzającej o maszt w rytm wolnego kołysania się kadłuba.

Przeleżałem przez reling na trzęsących się nogach i z ulgą przyklęknąłem na jedno kolano, usiłując niewprawnie zdjąć Stena z ramienia. Gwałtownie odciągnąłem rączkę zamka, a potem czekałem, badając wzrokiem każdy mroczny i tajemniczy cień na pustym pokładzie.

Mulholland, pospiesz się do...

Od strony relingu rozległo się mruknięcie i po chwili potężny mat opadł ciężko obok mnie i nerwowo przygotował broń do strzału. Następnie zjawił się artylerzysta Clark, który natychmiast odwrócił się, żeby umocować linę, a wreszcie Wullie, który ni to wspiął się, ni to wpadł na pokład i zapominając o wszystkim warknął:

–Ja pier...

–Gdybym chciał udawać skubaną małpę – mruknął z rozdrażnieniem Clark – zapisałbym się do pieprzonych komandosów... – i w tym momencie uśmiechnąłem się do siebie mimo niepewnego uczucia w żołądku.

Szkody wyrządzone przez krótką serię naszego Boforsa stopniowo stawały się coraz bardziej widoczne. Ponad nami widniała kwadratowa, paskudna sterówka – równie stara i przypominająca szoferkę ciężarówki jak ta na “Charonie”. Teraz była

przechylona na bok, podziurawiona odłamkami i połyskująca świeżymi, białymi szramami w miejscu, gdzie rozerwał się nasz funtowy pocisk. Ktokolwiek stał tam na wachcie, pomyślałem ponuro, na pewno nie wyjdzie, żeby powitać nas na pokładzie.

Powyginana upiornie sylwetka również pochodzącego z czasów “Charona” komina, teraz pochylonego do przodu, z nierówną, poszarpaną krawędzią w miejscu, gdzie pocisk rozerwał go niczym najzgrabniejszy nóż do konserw i ledwo widoczny dymek jak dla ironicznego kontrastu wzbijający się prawie pionowo w spokojne, nocne niebo.

Kłębowisko porozbijanych, zerwanych desek, pokryw luków spiętrzone nad zrębnicą i pokryte całunem poszarpanych podmuchem i rozerwanych brezentów. Przewrócony nawiewnik patrzący na nas martwym okiem z rowka odpływowego. Niegdyś pionowy trap, prowadzący obecnie z pokładu dziobowego nad nadburciem prosto w morze.

Wyprostowałem się pomału. – Muszą gdzieś być na pokładzie. Ktoś powinien być, do diabła.

Rozsypaliśmy się ostrożnie w wachlarzyk i ruszyliśmy w stronę nadbudówki rufowej. Ciągle żadnego ruchu, tylko plusk wody chłodzącej, syk pary i miarowe klap... klap... linki mąciły ciszę.

Aż nagle...

–Boże!

Odwróciłem się gwałtownie z palcem na języku spustowym.

Tęgi mężczyzna siedział oparty o podziurawioną zrębnicę luku. Nogi miał wygodnie wyciągnięte, a ręce złożone na pokrwawionym brzuchu. Czapka z długim daszkiem tkwiła równo nad szeroko otwartymi, nieruchomymi oczyma, które patrzyły na nas z niemym zdziwieniem. Na rękawach spranej koszuli koloru khaki wyraźnie widniały dystynkcje feldfebla Wehrmachtu.

Gorbals Wullie, który sprawiał wrażenie nieco wstrząśniętego, patrzył na niego przez chwilę, a potem zrobił ostrożnie krok do przodu i gniewnie pchnął tęgiego mężczyznę lufą Stena. Martwy żołnierz osunął się bezwładnie na bok i upadł wciąż patrząc na nas zdziwionym, obojętnym spojrzeniem. Spod jego zaciśniętych dłoni wysunęła się upiornymi splotami dość duża część jego wnętrzości.

–Odłamek – mruknąłem napiętym głosem. – Pewnie wartownik, który pilnował załogi, żeby była grzeczna. A to również pozwala przypuszczać, że są Libijczykami.

Wullie uśmiechnął się zawadiacko, jakby chcąc udowodnić, że wszystko już z nim w

porządku. – Wicie, wcale nie miałem stracha. Trzeba coś więcej niż szwabski truposz, żeby spietrać Gorbalsa Wullie'ego...

–Tutaj!

Pobiegłem w stronę, z której doleciał okrzyk, i zatrzymałem się gwałtownie za rogiem przejścia na prawej burcie. Mulholland i Clark czekali już, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, ze Stenami wymierzonymi bez drgnienia w grupę ludzi stojących nieruchomo przy relingu. Było ich dziewięciu. Kilku w fałdzistych, białych burnusach, dwóch w brudnych kombinezonach i jeden – najwidoczniej ktoś w rodzaju oficera – w kurtce mundurowej i spodniach od piżamy.

Niemal wszyscy sprawiali wrażenie śmiertelnie przerażonych. Ale jednak... było w tej grupie coś nie tak. Coś, co nie pasowało do ogólnego obrazu.

–Czy któryś z was mówi po angielsku?

Jeden z Arabów, wysoki mężczyzna o twarzy zasłoniętej kapturem burnusa, odwrócił głowę i popatrzył ostro na pozostałych. Cisza.

Greki Polly przysunął się do mnie i dostrzegłem błysk noża w jego ręku.

–Schowaj to, do diabła – rzuciłem ze złością. – Powiedz im, że zostali zatrzymani w czasie działań przeciwko sprzymierzonym i dlatego nasz okręt podwodny musi zatopić ich statek... zrozumiano?

Polly z pewnym rozczarowaniem wzruszył ramionami, a potem rzucił kilka szybkich, gardłowych zdań po arabsku. Odpowiedzią było jednak zaledwie parę zaskoczonych spojrzeń. Sprawiali wrażenie bardzo cichych i opanowanych, niemal apatycznych. Zaczynałem się zastanawiać, jakim cudem Niemcom udało się wymusić tak pokorne posłuszeństwo na przedstawicielach tej zazwyczaj bardzo gadatliwej i skłonnej do protestów rasy.

–Nie podobuje mi się to, panie Miller – oznajmił niezbyt uszczęśliwiony sytuacją Wullie. – Coś z temi facetami jest nie tak...

–Wiem – zmarszczyłem brwi. Mnie również coś niepokoiło. – Polly, zapytaj ich, ilu niemieckich żołnierzy mieli na pokładzie, kiedy płynęli...

Błysk oksydowanej stali wyłaniającej się z fałd burnusa wysokiego Araba i gwałtowne rozpięzchnięcie się ożyłej nagle grupy miały miejsce w tym samym ułamku sekundy. Mulholland ryknął, odwracając się gwałtownie:- Uwaga! Ten wielki skur...

Migawkowy, straszliwy obraz wylotu lufy Schmeissera patrzącego cyklopim okiem

w moje oczy połączył się z przerażającą świadomością, że przecież Arabowie nie są
NA LITOŚĆ BOSKĄ BLONDYNAMI...

W tej samej chwili ogłuszyła mnie urywana kakofonia długiej, wystrzelonej z najbliższej odległości serii z pistoletu maszynowego, odbijająca się gorączkowymi echemi od każdego załamka i zakrętu przejścia. Płomienie wylotu rozerwały ciemność na kalejdoskopowe, zastygłe obrazy...

Potem długa, bezdenna cisza.

A wreszcie.

–Dwa, prze pana... w głosie Greka Polly słyhać było nutki zadowolenia. – Ja myślę, dwa niemiecki żołnierz na tym statek, może?

Stojąc na drżących nogach popatrzyłem na wysokiego Araba, który wisiał przede mną przerzucony tyłem przez reling. Jego białe odzienie spływało łagodnymi falami z obwisłych ramion. Nie mogłem dostrzec górnej części jego ciała – i wcale nie miałem na to ochoty – ale nienagannie zaprasowane nogawki spodni koloru khaki, charakterystyczne dla Afrika Korps spinacze łączące się z cholewkami jego pustynnych butów powiedziały mi wszystko. To i Schmeisser leżący u moich stóp.

Rozwiązywało to również zagadkę milczenia i biernego oporu załogi.

Przez jedną, pełną oszołomienia chwilę myślałem, że to Polly wystrzelił tę dziką, niekontrolowaną serię. Trzydzieści pocisków w jeden bliski cel. Spust naciśnięty do chwili, kiedy skończył się magazynek.

W tym samym momencie Clark zapytał z niedowierzaniem.

–Nigdy z czegoś takiego nie strzelałeś, Jock?

A Gorbals Wullie, wciąż spowity falującą chmurą kordytowego dymu, wymamrotał w odpowiedzi oszołomionym głosem.

–Jezu, ja żem wcale nie wiedział, eż to je pistolet maszynowy... wicie, ja częściej używam brzytw...

Osiem minut później znowu byliśmy w pontonie, podczas gdy Arabowie nareszcie gadając bez ograniczeń opuszczali w pośpiechu na wodę swoją szalupę.

–Wullie! – wrzasnąłem niecierpliwie. – Gdzie u diabła jesteś?

–Tutaj, sir! – przechylił się przez reling i podał mi brezentową torbę.

Wziąłem ją podejrzliwie.

–Co to?

Klapnął ciężko obok mnie i uśmiechnął się głupawo.

–Moja lista zakupów, panie Miller. Dla kapitana!

Zajrzałem do środka. Nawet w ciemności mogłem dostrzec połyskujące srebro i od razu przypomniałem sobie sugestię wysuniętą przez Trappa, zdawało się dawno temu, w rozmowie z pewnym admirałem. Na temat dodatkowych zysków...

–Nakrycia stołowe... – uśmiechnąłem się ponuro. – I co jeszcze?

–Takie z kręconych drucików kółka do serwetek. I jeden taki sekstans, do nawigacji... wi pan? – Znowu uśmiechnął się i wzruszył ramionami. – Zerknąłem se na mostek. Jeich szyper i tak nie będzie już tego potrzebował.

–Dobra – rzuciłem posępnie. – Odbijaj już tym cholernym pontonem, Clark.

Cóż, trzeba trochę czasu, żeby się przyzwyczać.

Do tego, że jest się piratem, rzecz jasna.

Wkrótce potem Trapp powiedział do rury głosowej: – Wyłaź pan na górę, czif. Pierwszy dostał manii, że kiedy wystrzelimy z jego armaty, to zatopimy nie tylko tych Arabusów, ale i siebie.

Popatrzyłem na niego niechętnie poprzez panujący na mostku mrok. Wciąż jeszcze oblewał mnie pot na wspomnienie mojego zbyt bliskiego otarcia się o śmierć na pokładzie kabotażowca. Poza tym wysiłek włożony w dopłynięcie do “Charona” mimo chłodu północnoafrykańskiej nocy zamienił golf mojego białego, podwodniackiego swetra w mokrą pętlę.

–To żadna mania – rzuciłem ponuro. – Po prostu nie wyobraża pan sobie, jaki odrzut ma to działo. A jeżeli ten zgrzybiały kadłub puści, to najprawdopodobniej bez żadnego ostrzeżenia pójdziemy w zanurzenie.

–Jest mocny – odparł wyniośle Trapp. – Wystarczająco szczelny, żeby dostać klasę A-1 Plus u Lloyda. Tak czy owak, działaj pan. Mam zamiar znaleźć się czterdzieści mil stąd, zanim zrobi się jasno, a nigdy nie twierdziłem, że “Charon” to ścigacz.

Zacisnąłem jedną rękę na relingu, a drugą na słuchawce.

–Gotowi, bosmanie?

–Kiedy tylko pan powie, sir.

Głęboki oddech, chyba po raz pięćdziesiąty tej nocy.

–Cel z lewej burty... Jednym pociskiem... OGNIA!

Eksplozja tuż pod nami zabrzmiała tak, jakby pocisk przyleciał, nie wyleciał. Ostry, ogłuszający huk i pokład pod moimi nogami dosłownie zafalował, gdy pocisk opuścił lufę z ponaddźwiękową prędkością. “Charon” jakby skulił się gwałtownie i jednocześnie zadrżał z gwałtownym oburzeniem.

Poczułem, jak statek pochyła się na prawą burtę pod wpływem odrzutu, i usłyszałem, jak pocisk oddala się z dźwiękiem dartego płótna. Wszystkie płaszczyzny na pokładzie, pionowe i poziome, jakby rozplynęły się pod warstwą wzniesionych nagle cząsteczek rdzy, a jedna z nadwątlonych want pękła z przerażającym jękiem w tej samej chwili, gdy zegar i barometr zleciały z grodzi sterówki. Szyba rozprysnęła się deszczem połyskliwych okruchów i do ogólnego hałasu dołączył się oszalały ryk pary z maszynowni. Umocowane na rufie cztery beczki oleju smarowniczego podskoczyły gwałtownie w swoich mocowaniach i nienagannie równym szeregiem wytoczyły się przez zerwany reling prawej burty prosto do morza.

W chwili gdy próbowałem jakoś zebrać do kupy moje ogłuszone zmysły, z nieco roztargnionym zdziwieniem zauważyłem rozbłysk trafienia dokładnie na linii wodnej tamtego parowca. Kątem oka dostrzegłem, jak klnąca, na wpół oślepiąca postać w kombinezonie wątpliwej białości, nurkuje w parę bijącą kłębami z zejściówki do maszynowni, a potem usłyszałem “O Jeeezu!” ostatecznie wstrząśniętego Wullie'ego.

Nieprzenikniona mgła rozbitej na pył rdzy, sadzy i brudu naniesionego z tysięcy przystani wzbiła się na wysokość kolan klnących, duszących się ludzi, którzy potykając się usiłowali znaleźć coś, czego mogliby się uchwycić. Zawołałem gorączkowo: – Crocker, czy na dole wszystko w porządku? Crocker!

W słuchawce zagulgotało z powątpiewaniem. Aż wreszcie:

–Chyba tak... Nie widzę tu ni cholery, ale działło raczej wciąż jest... O ile mogę się zorientować, sir.

Tym razem nie nabrałem głębokiego oddechu. Nie ośmieliłem się. – Załadować, kiedy będziecie gotowi, bosmanie.

Trapp podszedł otrzepując czerwoną warstwę, która pokrywała go od stóp do głów, i uśmiechnął się lekceważąco:

–No i co? Nie mówiłem panu, pierwszy? – promieniał dumą. – Obeszło się bez żadnych sensacji. Nie zgadłbyś pan, że mamy tu w ogóle jakieś działło, co? No, może

było trochę kurzu tu i ówdzie...

I tak się to potoczyło dalej. Przez pięć tygodni prowadziliśmy naszą własną, prywatną wojnę. Czasami przez długie, upalne dni chowaliśmy się w kryjówkach Trappa, czasem zaś, przy mniej sympatycznych okazjach, kiedy znaleźliśmy się zbyt daleko od miejsca, w którym mogliśmy się schować, po prostu płynęliśmy udając pełne poświęcenie dla wysiłku wojennego Osi. I gdy Luftwaffe przelatowała nisko nad nami, zespół wałkoni machał do niej radośnie. Wtedy również, jak sędzę, starzeliśmy się gwałtownie w bardzo krótkim czasie.

Zatapialiśmy statki. Inne kabotażowce, prawie dokładne kopie "Charona", dhow wyładowane po brzegi bronią i żywnością dla Wehrmachtu, a nawet maleńkie kaiki, które były wyraźnym dowodem, że Afrika Korps istotnie wygrzebuje resztki ze swojej logistycznej skrzyni.

Była to niemal robota na akord. Niektóre jednostki abordażowaliśmy, nie pozostawiając najmniejszej wątpliwości ich przerażonym załogom, że ciemny, niski cień od strony lądu jest brytyjskim okrętem podwodnym. Do innych – zazwyczaj tych, które podejrzewaliśmy o posiadanie radiostacji, bez żadnego ostrzeżenia otwieraliśmy po prostu ogień z ciemności. W czasie tych pięciu tygodni zabiliśmy wielu marynarzy z marynarki handlowej, choć zapewne nie więcej, niż czyniono to w tym samym czasie za pośrednictwem bardziej konwencjonalnie użytych bomb czy torped. A poza tym w czasie tych rejsów byli oni – Arabowie, Niemcy, Włosi, czy nawet Francuzi podlegli rządowi w Vichy, naszymi wrogami.

W każdym razie tak to sobie wmawiałem.

W kabinie Trappa bowiem wciąż rosła kolekcja tanich sreber i innych żalonych łupów pilnie wznoszonych przez załogę "Charona" ze statków widzianych w celowniku mojego działła i naznaczonych już piętnem śmierci... To właśnie sprawiało, że wojna zdawała się być brudna. Brudniejsza niż w rzeczywistości.

W gruncie rzeczy było to prawie handlowe przedsięwzięcie.

Na pewno nie przypominające patriotycznej, bezinteresownej krucjaty w obronie Sprawy Sprzymierzonych. W każdym razie nie w wydaniu wciąż niepokojąco nieobliczalnego w swych działaniach komandora podporucznika Edwarda Trappa, R\$N, armatora okrętu wojennego typu "Zrób-to-sam" i niezrówanego korsarza. Jednakże, jak w każdym przedsiębiorstwie handlowym nadchodzi dzień rozliczenia. Wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Nawet Trapp ze swoim niewiarygodnym wyczuciem niebezpieczeństwa i prawie niesamowitym darem przetrwania musiał się tego spodziewać.

Rewidenci – pod postacią okrętu wojennego w szarym kamuflażu państw Osi –

mogą ostatecznie zdecydować się na sprawdzenie ksiąg “Charona”...

Rozdział 8

Jak na ironię był to włoski okręt. To, co nazywali VAS – Vedette Anti-Sommergibile. Wyjątkowo skuteczna jednostka do zwalczania okrętów podwodnych, najprawdopodobniej skierowana na akwen libijski z bardzo precyzyjnym zadaniem – odnaleźć i zniszczyć nasz okręt podwodny-widmo.

Dlatego też wszystko w jeszcze większym stopniu nabierało cech ponurego dowcipu. Kiedy bowiem nawet zbliżali się do nas, obiekt ich pięciotygodniowych daremnych poszukiwań płynął beczelnie przed ich lufami, oni zaś nie uświadomili sobie, że to właśnie my.

W każdym razie nie natychmiast.

Kiedy zobaczyliśmy niską, smukłą sylwetkę ścigacza zbliżającego się z nie dającą nam żadnych szans prędkością dziewiętnastu węzłów, uzyskiwaną dzięki silnikom Fiata, wiedzieliśmy, że ostatecznie nadeszła dla “Charona” chwila prawdy. Miała ona dziewięćdziesiąt stóp długości, dwa aparaty torpedowe kalibru 17,7 cala na przodzie, mniej groźne dla nas działka 207mm oraz trzydzieści bomb głębinowych na tylnym pokładzie.

Rozważając sytuację z taktycznego punktu widzenia oznaczało to, że w przypadku spotkania burta w burtę, kiedy torpedy były dla nas chwilowo niegroźne, włoski okręt mógł dość łatwo stać się naszą zdobyczą. Pod warunkiem, że uda nam się go zaskoczyć, zanim zdoła nadać do Luftwaffe rozpaczliwy sygnał “kontakt bojowy z nieprzyjacielem”.

Ale na większą odległość i skierowany dziobem do nas będzie celem niemal niemożliwym do trafienia. W tej sytuacji VAS z aparatami torpedowymi stale gotowymi do strzału stanowił dla nas śmiertelne niebezpieczeństwo.

Oznaczało to, używając innego barwnego określenia, że leżeliśmy martwym bykiem.

W każdym razie ten szybko zbliżający się intruz, bez względu na to, jakim obecnie płynął kursem, miał niewątpliwy zamiar przypatrzenia się z bliska pewnym mało eksponowanym przeróbkom “Charona”.

Trapp opuścił lornetkę i rzucił ostro:- Okręt wojenny, panie pierwszy.

–O Boże! – odpowiedziałem.

Gwałtownie zajęliśmy się zwykłymi przygotowaniem do przyjęcia grupy abordażowej. Ćwiczyliśmy to już wielokrotnie, ale aż do tej pory nie musieliśmy robić

tego naprawdę.

–Flaga – warknął Trapp z głową schowaną w szafce ze sprzętem sygnalizacyjnym. – Jaka flaga będzie najlepsza?

–Libijska – wrzasnąłem, próbując rozpaczliwie rozplątać przewody telefoniczne. Chciałem uniknąć kłopotliwej sytuacji, że pierwszemu mechanikowi rozkaże strzelać, a obsłudze działa 4,7, żeby zastopowała maszynę. – Zespół wałkoni i tak się już przebrał za Arabów.

Nie robiło to zresztą żadnej różnicy. Gorbals Wullie, przeniesiony już na stałe do kaemu na pokładzie dziobowym, nie wyglądał wcale na brudniejszego niż zwykle, choć jego szczupła, podobna do pyszczka łasicy twarz wysmarowana była obficie pastą do butów. Trapp jednak nawet w obliczu narastającego kryzysu przestał przewracać zwoje materiału i spojrzał na mnie zaczepnie.

–A dlaczego nie italiańską? – zapytał sprytnie. – Skoro to Italiańcy, to może nie podejrzewaliby nas tak bardzo?

Na chwilę przymknąłem oczy i policzyłem do pięciu.

–Czy pan mówi po włosku, kapitanie? – zapytałem wolno, bardzo opanowanym tonem.

–Nie.

–Ja też nie. Czy więc nie wydaje się panu, że mogą uznać za dość dziwny fakt, że na włoskim statku nikt z załogi nie mówi po włosku.

To go przekonało. Choć jak zwykle z trudem.

Zachowywać się jak należy! – ryknął Trapp na swoich rewiowych Arabów – macie wyglądać na prawdziwych, cholernych Wogsów i nie spodziewajcie się, że będę wam podpowiadał, co macie robić.

Mikrotelefon ze stanowiska artyleryjskiego odezwał się:- Cztery koma siedem gotowe, sir. Załadowany jeden pocisk burzący.

Zerknąłem szybko przez szczelinę obserwacyjną. Ścigacz zbliżał się, był już jakieś dwie mile od nas. Wysokie, pienne wąsy wzbijały się spod jego dziobu w kształcie litery V, a przez lornetkę mogłem już dostrzec postacie skupione wokół aparatów torpedowych.

–Przyjęte – odpowiedziałem. Świadomość tego, co nas czeka, sprawiła, że miałem zupełnie sucho w ustach. – I... Artur!

–Sir?

–To duża sztuka. Nawet jeżeli zastopuje, to może wystartować jak z procy, gdy tylko zauważy, że coś jest nie w porządku... Masz tylko jeden strzał, żeby go zatrzymać na dobre.

Mikrotelefon odpowiedział z całkowicie zimną krwią. – Będzie jeden. Tak jest, sir. Niech pan tylko powie, kiedy, sir.

Dzięki ci Boże za Crockera, pomyślałem żarliwie.

Właśnie wtedy, kiedy moje nerwy zaczęły drżeć jak struny na widok zbliżającego się naszego przeznaczenia, Trapp wkroczył do sterówki w olbrzymiej, fałdzistej arabskiej chuście na głowie i stanął przede mną w jakiejś nieprawdopodobnej pozie.

–Trzymałem to na specjalną okazję, pierwszy. Dobrze mi w tym, co?

Wreszcie miałem już wszystkiego dosyć. Wciśnięty w kąt mostku, spojrzałem na niego wściekle i warknąłem: – To jest to! To właśnie do cholery jest to, Trapp! Za chwilę mamy rozpocząć walkę z okrętem wojennym, który może wypruć z nas flaki, zanim ta pieprzona, nieruchawa balia zacznie zakręcać, a pan... pan pindrzy się tu jak jakaś cholerna debutantka wystrojona na swój pierwszy bal!

Nic nie odpowiedział, w każdym razie nie od razu. Tylko nagle przestał się uśmiechać i popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

–Na rany boskie, człowieku! – wrzasnąłem z nienawiścią. – Czy na tym diabelnym statku w ogóle kogoś coś obchodzi?

Dopiero wtedy Trapp odpowiedział spokojnie jak nigdy: – Obchodzi?... A niby co obchodzi?... Król i Ojczyzna i tak dalej? Wolność i temu podobne?

Czułem, jak ręce trzęsą mi się z wściekłości. – Są gorsze rzeczy, Trapp.

–Wiem, pierwszy. Znam je wszystkie. Żyłem wśród nich przez prawie trzydzieści cholernych lat. – Miałem wrażenie, że waha się przez chwilę, a potem ciągnął dalej. – Widzisz pan, może wolność oznacza dla różnych ludzi coś zupełnie innego. Na przykład pan, kiedy wojna się skończy, wróci na swoje wielkie, nowe statki i miłe wygodne trasy. Co miesiąc dostanie swój czek z miesięczną pensją, będzie pan siadał do śniadania w swoim fotelu pierwszego oficera w mesie po wachcie od czwartej do ósmej na wielkim, komfortowym, przeszklonym mostku...

Nie zaprzeczyłem mu. Być może dlatego, iż wiedziałem, że ma rację. Zakładając oczywiście, że pożyję wystarczająco długo. A być może włoska marynarka wojenna przekreśli te możliwości w ciągu najbliższych pięciu minut.

Trapp ciągnął jednak dalej, jakbyśmy mieli przed sobą pięć godzin, a może nawet pięć dni.

–Ale ja, moi chłopcy i stary “Charon” nie mamy na co liczyć po tym, jak wszystko się skończy. Nic poza dalszymi ucieczkami i zabawą w chowanego z każdym okrętem z szarym kominem i pieprzonym działem. Bo ludzie walczą, żeby utrzymać to, co mają... a my tutaj straciliśmy już wszystko, co posiadaliśmy kiedykolwiek. W tym również takie rzeczy, jak dumę i szacunek do samego siebie, i to poczucie wolności, które pozwala człowiekowi przejść koło policjanta bez skurczu żołądka...

Popatrzył z goryczą na odległy śmigacz i w tej samej chwili chyba dostrzegłem w jego szarych oczach tę samą rezygnację, którą zauważyłem w czasie naszej pierwszej akcji bojowej. Potem czule, niemal z miłością położył swoją ogorzałą rękę na obdrapanej, tekowej poręczy relingu.

–Ale kiedy mówi pan, że nic mnie nie obchodzi, myli się pan. Tylko nasze wartości są inne niż pańskie i nie możemy się martwić o to, czy jutro dla nas nastąpi czy nie – i tak będzie nic nie warte, jeżeli o tym pomyśleć – ale jeżeli nastąpi, będziemy dalej wozić kontrabandę, grabić, a nawet walczyć w cudzych wojnach po to, żeby ta stara balia była w stanie utrzymać się na wodzie... Dlatego, cokolwiek pan o niej myśli, jest ona jedynym światem, który mnie, Ala, Babikiana, Gorbalsa Wullie'ego i wszystkich nas jeszcze obchodzi.

Przez chwilę, która wydawała się trwać bardzo długo, patrzyliśmy na siebie i być może po raz pierwszy zrozumieliśmy się jak nigdy jeszcze dotąd. Wtedy nagle Trapp mrugnął, parsknął gwałtownie i znowu zrobił znajomą, poirytowaną minę.

–No to bierz się pan do roboty. Mamy umowę i żadna makaroniarska łajba nie będzie mi tu próbowała zerwać kontraktu Edwarda Trappa z Ich Lordowskimi Mościami z Admiralicji...

Jednak jakoś nie zwróciłem uwagi na te jego irytacje. Na swój sposób podtrzymywała mnie na duchu.

Kiedy zerknąłem przez szczelinę obserwacyjną, zauważyłem, że VAS jest już w odległości zaledwie pół mili i zbliża się szybko. Pora zacząć naprowadzać dział, które ostatecznie zadecyduje, czy jutro, o którym mówił Trapp, jeszcze dla nas nastąpi, czy nie.

Przełączyłem mikrotelefon i rzuciłem ostro: – Odległość jeden tysiąc sto jardów, zmniejsza się. Kąt kursowy celu – jeden zero dziewięć.

Niemal nie słyszałem, jak Trapp narzeka na przygnębienie:

–Cały problem z panem, pierwszy, polega na tym, że staje się pan podobny do tego

cholernego kucharza. Zawsze się pan kłóćisz...

Ponuro obserwowaliśmy niewielki okręt, który doganiał nas, ale trzymał się tuż za rufą po prawej stronie naszego kilwateru na lekko zbieżnym kursie. Dzięki temu te paskudne, groźnie wyglądające wyrzutnie wycelowane były na punkt przecięcia z kursem "Charona".

Nie mogłem dostrzec naszych wałkoni na pokładzie, ale byłem pewien, że machają jak wściekli, tak jak robił to obecnie Trapp. I jakby byli wszyscy dobrymi libijskimi marynarzami, którzy chcieli zasłużyć sobie na nienaganną opinię u przedstawicieli Osi.

Przez cały czas podawałem Crockerowi zmniejszającą się odległość, choć z przykrością uświadamiałem sobie, że jesteśmy wciąż bezbronni, dla naszego działą bowiem ten tak obiecujący cel znajduje się wciąż w martwym polu. Powtarzała się dokładnie sytuacja z przyjacielskim U-bootem.

Ścigacz był już tak blisko, że widziałem wyraźnie białe, świeżutkie mundury załogi kontrastujące z maskującą farbą kadłuba. Kilka głów odwróconych w naszą stronę za osłonami pomostu bojowego, torpedyści przy aparatach – niezbyt czujni, jak mi się wydawało, i artylerzyści, którzy leniwie, niemal niedbale omiatali nasz pokład lufami sprzężonych działek 207mm.

Jak do tej pory wszystko przebiegało rutynowo. Zaciekawienie połączone z pewną dozą niedowierzania na widok dygocącej, kołyszącej się sylwetki "Charona". Ale bez cienia podejrzliwości...

Wciąż jednak doganiają, starają się zmniejszyć ten krytyczny kąt. Jeszcze trochę i będzie musiał zmienić trochę kurs, żeby uniknąć zderzenia z naszą zardzewiałą rufą, a wtedy pokaże nam swoją butę.

–No, dalej... – szepnąłem. – Chodź tu, chodź...

Nagle dobiegło do nas wyraźne brzęknięcie telegrafu maszynowego i dziób ścigacza opuścił się gwałtownie, gdy jego prędkość została zrównana z naszym żółwim, ociężałym tempem. Teraz jedynie chwilami spod jego dziobu tryskała struga piany, kiedy dotrzymywał nam towarzystwa wciąż trzymając się w martwym polu ostrzału.

–O, do diabła – warknąłem.

Trapp przestał wdzięcznie machać i pociągnął nosem. – Co pan sądzi, pierwszy? Mogę odpaść parę rumbów w prawo. Niech pan ustawi swoje działą w tę stronę.

Potrząsnąłem gwałtownie głową. Miałem nadzieję, że tym razem nie zechce się sprzeczać. – Nie. Kiedy zobaczy, że chcemy mu przejść przed dziobem, odskoczy i

zainteresuje się nami na serio.

Zawsze obecny głośnik odezwał się zza rufy:

–“Capitano! come si chiama questo batello?...”

–Batalia? – Trapp wykrzywił się wściekle. – Chce z nami walczyć? Mnie też przyszło parę rzeczy do głowy...

–Batello – poprawiłem go ochryplym głosem. – To chyba znaczy statek. Pewnie pytają o nazwę. Niech Grek Polly zasunie im jakiś kawałek po arabsku, a chłopaki Babikiana przygotowują łódź panikarzy – ni cholery nie mogę im zaszkodzić, zanim choć trochę nie wysuną się do przodu.

–Ile pan potrzebuje, pierwszy? Może stary “Charon” ma jeszcze parę asów w rękawie, jeżeli chodzi o parę zgrabnych manewrów.

–Dobre dziesięć stopni w prawo. Wtedy będziemy go mieli w polu widzenia. Ale na litość boską, niech pan...

Spóźniłem się jednak. Trapp rzucił ostro przez ramię: – Trzymaj pan kapelusz, pierwszy – i ruszył zdecydowanym krokiem w stronę sterówki.

Chwyciłem mikrotelefon i zawołałem: – Crocker, Crocker, jesteś tam?

–Sir.

–Przygotować się do opuszczenia osłon i czekać na rozkaz. Wydam go, kiedy będziecie mogli swobodnie obrócić działo kilka stopni w każdą stronę, a potem wszystko będzie w waszych rękach.

–Tak jest, sir... Ustalona odległość tysiąc jardów i nie zmienia się.

Trapp, niezależny jak zawsze, mówił do starej rury głosowej w sterówce:–...kiedy więc panu zadzwonię, czif, chcę, żebyś pan zastopował tak, jakbyś wjechał pan w mur...

–“Attenzione! Attenzione!... – O do diabła! Oficer na mostku przechylił się gwałtownie przez osłonę trzymając mikrotelefon głośnika tuż przy ustach. Marynarz w białej bluzie z powiewającym kołnierzem zsuwał się szybko po trapie z lewej strony pomostu zmierzając w stronę torpedystów... Z ich dotychczasowej obojętności nie pozostało nic.

Gwałtowne, szarpiące nerwy “brzdęk!” telegrafu maszynowego. Trapp zadzwonił na “Stop”. Wibracja pokładu ustała natychmiast, gdy Kubiczek zamknął zawory i w tej

samej chwili Trapp przestawił zaśnieżoną rączkę telegrafu zupełnie do tyłu na "Cała wstecz".

–Prawo na burt.

Joseph Bez-nazwiska zręcznie zakręcił kołem sterowym. Jego twarz wykrzywiona była w grymasie napięcia, na czole perlily się krople potu: – Jest prawo na burt... Ster leży prawo na burt, kapitanie!

Z dołu dobiegł syk pary, a potem gwałtowny łomot tłoków, gdy maszyna "Charona" zaczęła pracować całą wstecz. Wysoka fontanna sadzy trysnęła z piszczalkowatego komina i zawisła jak wykrzyknik nad mostkiem, a po sekundzie cały statek zadygotał konwulsyjnie, gdy ciężka śruba zaczęła obracać się w drugą stronę.

Straciłem równowagę i poleciałem do przodu. Włoski okręt zaczął nas przeganiać. Określenie "Wjechał w mur" było bardzo celne.

–Przygotuj się pan – rzucił znowu Trapp stojąc jak posąg i czekając na moment, kiedy dziób zacznie odchyłać się z dotychczasowego kursu. – Teraz polecą już bardzo szybko...

Białe czapki na pomoście ścigacza gwałtownie się ożywiły. Jedna z nich pochyliła się nad rurą głosową, a głośnik wydał z siebie ostatni, żalony stukot, gdy wypuszczony z ręki mikrofon zakołysał się na przewodzie.

Dziób płynącego wciąż powoli do przodu "Charona" zaczął pod wpływem połączonego działania steru i momentu obrotowego śruby coraz szybciej odpadać w prawo. Kąt maksymalnego odchylenia rufy stopniowo zmniejszał się, a ja mówiłem niemal automatycznie:

–Jeszcze osiem stopni, Crocker... siedem, sześć...

Oddalony, skądś znajomy terkot zza rufy i jednocześnie ktoś zaczął wariacko bębnić o pancerne płyty mostku... O Boże, otworzyli do nas ogień... Szkło rozbryzgujących się szyb sterówki... Padnij, Trapp... TRAAAPP!

Szybkie spojrzenie na skulone pod kołem sterowym ciała i poczułem, że zaczynam gotować się z wściekłości. Podniosłem się nie zważając na nic; byłem prawie nieświadomy wycia rykoszetów, gdy działka ścigacza ciągnęły serią po nadbudówkach przedniego pokładu... Wszyscy leżeli wtuleni w zardzewiałą stal pokładu – wszyscy, za wyjątkiem Gorbalsa Wullie'ego, który ciskając koszarne celtyckie przekleństwa odrzucił osłonę swojego kaemu. – ...Aparaty torpedowe, Wullie! – ryknąłem z całej siły. – Zdejmij obsługę aparatów...

Włoch dał pełen gaz silnikom i z gardłowym rykiem ruszył do przodu unosząc dziób

i zostawiając kłęby białej wody kotłujące się za rufą...

Do przodu! Prosto pod lufę naszego działa...

Wullie czarny z wściekłości i od pasty do butów, dygoczący w rytm odrzutu... marynarz na przyspieszającym ścigaczu obracający się wokół własnej osi i padający na pokład. Człowiek przewieszony bezwładnie przez beczkowate kształty bomb głębinowych na lewoburtowych wyrzutniach...

–...Trzy stopnie... dwa... jeden...

–Osłony, Crocker... OGNIA!

Prawie natychmiast łomot pode mną. Stal uderzająca o stal. “Charon” wreszcie pokazał kły. Wstrząsający, krótki jak życie dla włoskiego dowódcy, widok kadłuba, który otwiera się odsłaniając brytyjskich artylerzystów skulonych ponuro nad przyrządami celowniczymi. I precyzyjnie wykonane oko, dokładnie o średnicy 4,7 cala patrzące w jego oczy...

Ogłuszający wystrzał był już czymś dobrze znanym. Rozmyte wstrząsem odrzutu kształty “Charona”. Rdza, kurz, ta sama wiekowa, uniesiona wibracją chmura wisząca w powietrzu i uniemożliwiająca oddychanie... a potem trafienie pocisku, dwie eksplozje zlewające się przy tej niewielkiej odległości w jedną.

Pierwszy nasz pocisk trafił dokładnie pod pomost. Jaskrawy rozbłysk, zdawało się, uniósł niewielką nadbudówkę pionowo do góry – wraz z ludźmi w białych czapkach zastygłych w pozach pełnych niedowierzania. Potem błysk rozwinął się w czarno-czerwoną kulę, a ludzie, ażurowy maszt anteny radiowej i wszystko, co było w pobliżu śródookręcia, rozleciało się na boki. Ścigacz, już nie kontrolowany, ale wciąż gnany pełną mocą silników, zaczął zataczać szeroki łuk jak uciekający satelita, pozostawiając za rufą, pod szalonym, wygiętym ogonem dymu, rozsypujące się szczątki.

Odwróciłem się gwałtownie, szukając wzrokiem sterówki i Trappa.

Stentorowy ryk Crockera: – Jeden pocisk: burzącym... Ładuj!

Gorbals Wullie wciąż strzelający jak wariat ze śmiercionośną precyzją człowieka, który wreszcie odnalazł swoje powołanie. – Pieprzone sukinsyny... pieprzone sukinsyny... – Wciąż jednak żadnej inwencji.

–OGNIA!

Bam.

Jeszcze więcej kurzu, jeszcze więcej fragmentów odpadających od statku – naszego statku.

A potem przerażająco gwałtowny, oślepiający błysk za burtą i fale podmuchu potężnej eksplozji pędzące po wodzie w naszym kierunku. Obracając się w niemożliwym do opanowania przerażeniu w ostatniej chwili spostrzegłem gigantyczny grzyb, który zakończył błędną wędrówkę ścigacza. A po chwili druga, podwodna eksplozja, od której wzdrygnęło się samo morze... najpierw zbiegło się, jakby skurczyło, a potem rozszerzyło gwałtownie, wystrzeliwując wysokim, iskrzącym pióropuszem pyłu wodnego. A potem jeszcze jedna... i jeszcze...

Oznaczało to, że nasz drugi pocisk rzeczywiście trafił w dziesiątkę. Może w głowice torpedy, może zapoczątkował reakcję łańcuchową w komorze amunicyjnej. A potem eksplodowały już uzbrojone bomby głębinowe tonące powoli razem z wybebeszonym kadłubem, aż do chwili gdy osiągnęły głębokość, na którą ustawione były ich zapalniki hydrostatyczne...

Uniosłem mikrotelefon i powiedziałem płaskim oszołomionym głosem:

–Przerwać ogień, bosmanie... Odbój!

Tak naprawdę było to już niepotrzebne. Nie mieliśmy już do czego strzelać.

Potem poczułem jakiś ruch za sobą. W sterówce.

Powoli, z koszmarnym przeczuciem odwróciłem się.

Z cienia łypały na mnie z powątpiewaniem białka oczu Josepha Bez-nazwiska, który stał i ostrożnie obmacywał się od stóp do głów, podczas gdy druga postać w niesamowitym, zawadiacko zsuniętym na bok arabskim nakryciu głowy wędrowała na czworakach, a kawałki rozbitych szyb z brzękiem sypały się z jej ramion.

–Mówiłem panu, pierwszy – Trapp uśmiechnął się do mnie z bezmierną radością. – Mówiłem panu, co? Jeżeli go dobrze traktować, to stary “Charon” zakręci tyłkiem jak baletnica na orgii...

Mogliśmy więc dalej toczyć naszą tajną wojnę.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, czy włoski dowódca zdążył nadać sygnał “Kontakt bojowy”, zanim “Charon” go zabił, ale Trapp ze swą zwykłą niechęcią do marnowania czegokolwiek, przekształcił całe to zdarzenie w dodatkowy, dość makabryczny dowód podtrzymujący mit brytyjskiego okrętu podwodnego.

Między szczątkami ścigacza odnaleźliśmy pływające jedno ciało.

Wyłowiliśmy je i okazało się, że nie ma na nim najmniejszego nawet draśnięcia. Był to młody włoski midszypmen zabity podmuchem. Przy akompaniamencie posępnych dyspozycji Trappa rozebraliśmy żalostnego, o pustym spojrzeniu trupa, a potem przebraliśmy go w mundur marynarza z brytyjskiego okrętu podwodnego. Potem na bezwładne ramiona nałożyliśmy mu brytyjską kamizelkę ratunkową, typ używany przez obsługę artyleryjską w czasie walki na powierzchni, i łagodnie opuściliśmy ciało z powrotem do morza.

A potem Gorbals Wullie podziurawił kołyszące się, zgarbione zwłoki pociskami z karabinu maszynowego, zwracając szczególną uwagę na głowę i twarz...

Topiliśmy dalsze statki z zaopatrzeniem, ale stopniowo było ich coraz mniej. Pod koniec października linie żeglugowe Osi były tak wściekle atakowane przez bazujące na Malcie siły – stało się to możliwe przede wszystkim dzięki odwadze i poświęceniu uczestników operacji “Pedestal” – że wsparcie logistyczne Rommla zostało ograniczone do nędznej kapaniny i właściwie do dostaw dokonywanych przez Luftwaffe.

Potem było El-Alamein i 7 listopada największa bitwa czołgów w tej kampanii. Tel el-Akkakir. Siły pancerne Afrika Korps zostały rozbite i Rommel rozpoczął odwrót. Wycofywał się przez Mersa Matruh, Sidi Barrani, As-Sallum, Bardijję, Tobruk... linia frontu przesuwiała się ciągle na zachód.

“Charon” zaś cofał się wraz z nią. Albo posuwał się do przodu. Wszystko zależało od tego, w jakim kierunku akurat płynęliśmy.

Tymczasem tandetne, z drugiej ręki, pirackie skarby Trappa, które stanowiły jego uboczny zysk, powiększały się stopniowo, w miarę jak wchodziliśmy na pokład kolejnego statku, grabiliśmy go i topili z zimną krwią. I chociaż rozumiałem obecnie, skąd bierze się obsesyjna potrzeba zasilania tego, co niedbale nazywał “Funduszem emerytalnym tej starej łajby, na czasy, kiedy zakończy się sezon występowania pod flagą z czaszką i pieszczelami...”, nie mogłem pozbyć się narastającego przekonania, że chciwość Trappa któregoś dnia może zatriumfować nad jego talentem do przetrwania.

Wtedy zaś – i było to jeszcze bardziej deprymujące – kiedy skończy się jego zdolność do przetrwania, skończy się i nasza.

Jednakże, dzięki temu, co można by uznać za niewiarygodne szczęście, “Charon” ze swym przestarzałym działem i beczelną załogą dygocąc i stękając płynął swoim zygzakowatym kursem, o włos unikając kolejnych potyczek z Kriegsmarine.

Ale ani Luftwaffe, ani Kriegsmarine nie miała zamiaru tracić czasu na taką kretyńską, arabską łajbę jak nasza. Byli przecież zbyt zajęci polowaniem na diabelny

brytyjski okręt podwodny, który na życzenie zniknął niczym tabletką aspiryny wrzuconą do szklanki wody.

Do chwili, a było to nieuniknione, kiedy coś pójdzie nie tak.

A mój koszmar przerodzi się nagle w straszliwą rzeczywistość.

Ten statek był duży, o wiele większy od wszystkiego, na co do tej pory się porywaliśmy. Nawet w spotęgowanej deszczem ciemności mogłem zobaczyć, że miał przynajmniej trzy tysiące ton wyporności i był jednostką pełnomorską. Żaden tam kabotażowiec skradający się nocą od jednej zatoczki do drugiej, lecz jeden z niewielu nieprzyjacielskich transportowców, któremu udało się przemknąć z Włoch nie napotykając bazujących na Malcie “zabójców statków”.

A teraz wracał. Pełen dobrej nadziei kierował się na północny wschód z Bengazi.

Zdołał umknąć, zanim ten przepelniony wrakami port również wpadł w ręce Ósmej Armii depreczającej po piętach zmęczonym i spragnionym żołnierzom Rommla.

Był to jednak cel, z którym nie powinniśmy szukać szczęścia. Na pewno miał nadajnik, którego wrzask postawi na nogi całe niemieckie centrum łączności w Gabes. Jego połączone z naszym rysopisem wołanie o pomoc ściągnie nam na kark wszystkie doprowadzone do ostateczności bezowocnymi poszukiwaniami jednostki Kriegsmarine na północnoafrykańskim wybrzeżu. I nagle zaczną szukać okrętu podwodnego o zardzewiałym kadłubie, piszczalkowatym kominie i wielkiej skrzyni na przednim pokładzie...

Nasz pierwszy, nie zapowiadany pocisk trafił go prosto w mostek. Prawie natychmiast, zapewne z martwym oficerem wachtowym i trupem u steru, zaczął zakręcać w naszą stronę. Przedzierał się ciężko przez wzburzone, zimne morze wzbijając do góry i na boki długie, połyskliwe strugi pyłu wodnego, które porwane silnym, zachodnim wiatrem tworzyły nad jego pokładem dziobowym przesuwającą się, świetlistą chmurę.

–Ładuj... cel... OGNIA!

–Ładuj... Ruszać się, do cholery, CEI!... OGNIA!

Poczułem smagnięcie pyłu wodnego, kiedy “Charon” dosłownie zatrzymał się jak wryty wśród sfalowanego, kotłującego się morza. Trapp stał obok mnie z beznamietną, jakby wykutą z kamienia twarzą, po której spływała słona woda, tworząc w fałdach jego nieprzemakalnego płaszcza małe jeziora zapalające się setkami ognistych diamentów przy każdym mikrosekundowym rozbłysku wystrzału.

Znowu mikrotelefon. Ponaglająco: – W linię wodną i maszynownię, bosmanie. Jeszcze nie stopują...

Nagły ogień rozpalający się na pokładzie oślepionego frachtowca. Widok, który przyprawia o mdłości. Najpierw żółte i pomarańczowe migotanie w czarnej sylwetce jego porozbijanych nadbudówek. Potem migotanie przygasło i znowu rozpalilo się silniej. Widać już było pojedyncze płomienie, jak wiją się i wspinają do góry podsycane strumieniem powietrza wywołanym poruszaniem się statku. Statku wypalającego się na śmierć.

–Dalej Crocker. Weź do galopu tych swoich artylerzystów...

Kolejna nieprzyjemna fala uderzająca w dziób, nadpływająca podstępnie pienistym grzebieniem z ciemności i pochylająca ciężko “Charona” na burtę... Pogoda się pogarsza. Mocniejsza fala, która przeskoczy przez otwarte klapy maskowania drugiej ładowni, może nas zalać. Pora przerwać walkę i wynosić się stąd do diabła.

Nie sterowany przez nikogo statek rósł w oczach. Kierował się ciągle prosto na nas. Teraz płynął pod kątem dziewięćdziesięciu stopni do poprzedniego kursu... Jezu! Dokładnie kursem na zderzenie – chyba że zdołamy go zatrzymać albo zrobić unik.

Nagle.

Trapp biegnie w stronę drzwi do sterówki.

–Ster lewo na burt!

Wszystko dzieje się jednocześnie. Koszmar. Poza jednym:

–Crocker! Co u diabła z tym pieprzonym działem?

“Charon” płochliwie odpada trzydzieści stopni z kursu, a towarzyszy temu łomot oszalalej zastawy w mesie... Trapp wczepiony w rurę głosową:

–Czif! Daj pan wszystko, co możesz, na...

Frachtowiec ciągle kieruje się w naszą stronę. Pod jego wzbijającym się co chwila w górę dziobem wyraźnie widać biały odkos. Płomienie z rykiem rzucają oślepiający blask na kotłujące się wokół statku grzbiety fal...

–Crocker, słyszysz mnie? Crocker...

Wreszcie, bez tchu.

–Sir. Wzięliśmy falę do środka. Jest tu jak w pieprzonym akwarium i wciąż... wciąż przybywa...

**Spojrzałem, wyjęzając wzrok. Statek wciąż nadpływał, fale też, stamtąd... Bofors!
Otworzyć ogień!**

Pom... pom... pom... pom...

Rozbłyski jaśniejsze nawet od blasku płomieni. Niewyraźne fontanny przed dziobem celu, gdy "Charon" przechyliła się gwałtownie, obniżając tym samym lufę działa. Dym spalonego kordytu porwany wichrem przelatuje nad mostkiem, a potem ryczące, skotłowane morze wdzierające się na przedni pokład i pogrążające obsługę Boforsa do pasa w wodzie... Chryste, ta stara balia nie może ruszyć z miejsca, a ten drugi statek jest już tak blisko, że jego pieprzony dziób wznosi się prawie nad naszym mostkiem...

I nagle ulga, którą czuje nawet nieporuszony Trapp.

–Stopuje, pierwszy... Wreszcie stopuje...

Zamknąłem oczy i zacząłem się trząść.

–Przerwać ogień.

Przed płonącym statkiem nie widać już było odkosów fali dziobowej, tylko kotłowaninę zabarwioną na pomarańczowo piany atakującej pionowe burty frachtowca kołyszącego się bezwładnie mniej niż dwieście jardów od nas... wciąż zbyt blisko, ale...

Zamarłem, widząc wyraz twarzy Trappa.

Każdy szczegół, każda zmarszczka na jego ponurej, mokrej twarzy były doskonale widoczne. Rysujące się wyraźnie jak u aktora pod punktowym reflektorem w blasku płonącego niemieckiego statku. Jednocześnie ta sama nieziemska poświata zalewała każdą linę, każdy bom, każdą płytę poszycia "Charona" zdradziecką jasnością.

I pokazywała, czym naprawdę jesteśmy – rajderem. To musiało być oczywiste dla każdego w promieniu mili.

Zwłaszcza dla tych czarnych figurek biegających po pokładzie łodziowym, odcinającym się ostro na tle kłębiących się promieni. W odległości zaledwie jednego kabla...

–Maszyna stop – poleciał nagle Trapp zimnym jak lód głosem.

Stałem tuż obok niego na skrzydle mostku "Charona". Wiatr wściekle szarpał nasze płaszcze nieprzemakalne, a my obserwowaliśmy jedyną nie uszkodzoną łódź ratunkową wypełnioną zgarbionymi, przerażonymi rozbitkami. Opadała powoli w

stronę zaborczych fal, aż wreszcie, gdy z piskiem i łomotem bloków zwolniono fały, przepelniona szalupa zaczęła gwałtownie odpływać od tonącego statku.

–Opuścili go, dowódco – mruknąłem z nadzieją w głosie. – Pogoda wprawdzie nie nadaje się do lotów, ale płomień przywabią tu każdą łódź patrolową z odległości wielu mil. Proponuję, żebyśmy się stąd zabierali do diabła...

Nie odpowiedział. Uważnie popatrzyłem na jego dłonie oparte na poręczy relingu – były zaciśnięte tak silnie, że w świetle tańczących płomieni widziałem pobielale kostki palców.

Potem odwrócił się w stronę sterówki i rzucił sucho: – Cała naprzód. Prawo dziesięć... Steruj na tę łódź, chłopie...

Zobaczyłem wpatrzony w nas, połyskujące różowo oczy Josepha Bez-nazwiska. Po chwili potwierdził z wahaniem: – Prawo dziesięć... Leży prawo dziesięć, kapitanie.

Walczyłem ze wzbierającym we mnie przerażeniem. Już wiedziałem, co ma zamiar zrobić. – Nie może pan, do diabła! Nie rozmyślnie... nie tak...

Trapp nawet nie spojrzał na mnie: – Obaj wiedzieliśmy, że prędzej czy później to musi się zdarzyć. Nawet admirał o tym wiedział... I mimo to dał mi ten kontrakt.

–Kontrakt! – trzęsącą się ręką wskazałem za burtę. – Do diabła z pańskim kontraktem, Trapp. Tam są ludzie, a nie coś, za co weźmie pan swoją drańską premię... Do licha, to marynarze... Tacy jak pan i ja, na litość boską.

Opanowując wściekłość ciągnąłem dalej niemal błagalnie: – Proszę zobaczyć, frachtowiec jest prawie załatwiony. Już tonie dziobem. Mamy bardzo dużo czasu, żeby stąd zwać przed...

–A potem co? – odezwał się tak gwałtownie, że mimowolnie zrobiłem krok do tyłu. – Cóż, powiem panu. W chwili gdy rozbitkowie postawią stopy na lądzie, jesteśmy jak na talerzu – i będę musiał wycofać się z całej sprawy. Popłynąć z powrotem na Maltę z umową czarterową, którą sam anulowałem i, niech szlag trafi te wszystkie przeklęte chwile, kiedy widziałem, jak toną dobre statki... bez odpowiedniego kapitału, żeby schować “Charona” do końca tej pańskiej pieprzonej wojaczki. Bo teraz nie będę już mógł ryzykować. Szwaby będą mnie wszędzie szukać.

Ponad wodą dobiegł mnie głuchy łoskot i raczej poczułem, niż zobaczyłem, że umierający statek jeszcze silniej przechylił się na dziób. – I w związku z tym ma pan zamiar zabić tych ludzi. Z zimną krwią. Tylko dlatego, żeby móc dalej prowadzić interes.

Spojrzał na mnie posępnie.

–Zabijałem ludzi od pierwszego dnia, kiedy marynarka mnie tu posłała. Cóż więc za różnica, że zrobię to z bliska i z karabinu maszynowego?

Patrzyłem na niego, jak mi się wydawało, bardzo długo. Wreszcie poczułem, że opuszczam ręce w geście porażki. – Jeżeli nie zna pan odpowiedzi na to pytanie, Trapp, to może powinni wydać panu mundur esesmana. Razem z tym pańskim pieprzonym kontraktem.

–Albo mnie zastrzelić. Bo kiedy grozili, że zabiorą mi “Charona”, panie Miller, to rezultat był taki sam. Już panu mówiłem – jest dla mnie wszystkim, co mam...

Od strony tonącego statku dobiegł gwałtowny grzmot pękających pod naporem wody grodzi. Odwróciłem się gwałtownie i zobaczyłem płomienie wspinające się gwałtownie w stronę pochyłonych szczątków masztów. Jeszcze jaśniejsze i bardziej zdradziecko nas oświetlające... I wyraźnie widoczną szalupę już tylko siedemdziesiąt jardów przed naszym wolno zbliżającym się dziobem, a w niej skuloną, żalostną masę ciał rysującą się czarno na tle rozjaśnionego odblaskiem morza.

Na chwilę przed tym, gdy frachtowiec się przewrócił. Przechylał się na bok coraz szybciej, by zagłębić się w wodę, w pełnej ryku i świstu agonii. Wysoko tryskające kolumny pyłu wodnego, dymu, pary i...

–...i wtedy zrobiło się ciemno.

Tylko mrok i zielonkawy poblask z szafki kompasowej, i widoczny niekiedy przemykający nie opodal grzebień piany. I przerażenie na myśl o tym, co ma się zdarzyć.

–Maszyna stop – rzucił sucho z ciemności Trapp. – Tak trzymać... Będę potrzebował reflektora, panie Miller. Z prawego skrzydła mostku.

Poczułem paznokcie wbijające się w moje zaciśnięte dłonie.

–Beze mnie, Trapp. Na mój udział w tej umowie niech pan nie liczy.

Przez chwilę panowała cisza, a potem usłyszałem niespodziewane wyznanie. – Pamiętam, że kiedyś tak postąpiłem – postanowiłem wycofać się, kiedy nie widziałem już żadnej przyszłości. Ale jest to luksus, na który teraz nie mogę sobie pozwolić, panie Miller... Babikian! Drugi oficer na mostek!

–To także świadczy, że z pana wyrachowany sukinsyn, Trapp. Babikian jest jedynym pętakiem bez charakteru na całym statku i zrobi wszystko, co mu pan każe. Ale kogo pan wybierze, żeby pociągnął za spust? Wullie'ego? Josepha Bez-nazwiska? Ala Kubiczka? Może się okazać, że nie mają tak wielkiej ochoty na zabijanie jak pan przy...

–Ja!

Jego głos zabrzmiał jak smagnięcie bata. – Ja to zrobię, Miller. Bo mam zamiar przeżyć bez względu na wszystko. A przeżycie,

to jedyna cholerna rzecz, w którejbyłem naprawdę dobry przez całe moje parszywe życie...

Potem odszedł ześlizgując się po trapie na przedni pokład. Do kaemu. Babikian zbliżył się i stanął obok mnie. Mimo ciemności widziałem malującą się na jego smagłej, zniewieściałej twarzy nieszczęśliwą minę. Patrzyłem, jak unikając mojego spojrzenia ujął pokrętko sterowania reflektorem. A potem odwrócił się zasępiony. Przemawianie mu do rozsądku nie miało najmniejszego sensu. Nie do niego.

“Charon” zastopował całkowicie i teraz przewalał się z burty na burtę wśród atakujących go krótkich fal. Szalupa znajdowała się w odległości może dwudziestu jardów – niewyraźny, podskakujący kształt widoczny jedynie wtedy, gdy obramowywały go kłęby piany. Pomyślałem z żołądkiem w gardle o tych niewidocznych marynarzach skulonych bezsilnie, wpatrujących się w milczącą, groźną sylwetkę “Charona” i zastanawiających się, na co czekamy...

Na przednim pokładzie, kiedy zdejmowano maskowanie z kaemu, rozgorzała ostra, ożywiona dyskusja. Potem od całej grupy oddzieliła się maleńka postać i demonstracyjnie odeszła na bok.

–Rób se pan co chcesz, ale nie przyłożę do tego ręki... Nie wtedy, kiedy te bidoki nie mogą walczyć...

Dostrzegłem matowy połysk metalu, gdy Trapp spokojnie poprowadził na próbę lufę kaemu w prawo i w lewo. Od strony pozostałych członków załogi rozległ się głuchy pomruk przerywany ostrym “klik” odbezpieczanej broni. Potem rozległ się

zdesperowany głos Kubiczka: – Na litość boską, Trapp. Przecież nie jesteś pan taki...

Z ciemności dobiegł wysoki krzyk. Pełen strasznego, rodzącego się przerażenia. – “Kapitan... Bitte? Was ist los... Wer ist da...”

Potężna postać Trappa zgarbiła się nagle pochylając nad uchwytami karabinu maszynowego. Zacząłem zbiegać w dół nie mogąc już tego dłużej znieść. – Traaapp!

Ostra, pełna napięcia komenda z przedniego pokładu. – Reflektor!

–Nie, Babikian! – wrzasnąłem histerycznie. – Nie rób tego, jeżeli chcesz...

–Światło, DO DIABŁA!

Drugi oficer drgnął jak uderzony. Jeden pełen męki, łkający szloch – zanim oślepiający swym blaskiem biały palec zatańczył szaleńczo na skotłowanych grzbietach otaczających nas fal. Odszukał, potem zgubił, aż wreszcie znowu znalazł i wczepił się na stałe w białe, odwrócone ku nam twarze, w tańczącej, zatłoczonej łodzi.

A potem karabin maszynowy zaczął terkotać ochryple zagłuszając pełne niedowierzania krzyki zza burty... Strumień pocisków wzbijając tryskające wysoko fontanny piany zbliżał się coraz bardziej do żalostnego celu, w miarę jak Trapp niepewnie korygował ogień.

I w tym straszliwym momencie z niezapomnianą jasnością

zobaczyłem, kim naprawdę są rozbitkowie z zatopionego frachtowca. Te szczupłe, obszarpane, zakopcone postacie, przytulone do siebie, ogarnięte przerażeniem, które zrodzić może tylko koszmar... Bardzo szczupłe. I bardzo, bardzo wątle...

–Trapp, stój! – ryknąłem w niepohamowany sposób. – To dzieci. Kobiety i dzieci!

Bliżej, coraz bliżej. Krzesząc pierzaste odłamki morza...

Nagle karabin maszynowy przestał strzelać. Gwałtownie... Zanim biegnąca po wodzie seria dotarła do łodzi... Potem było słychać już tylko westchnienia wiatru i miękkie uderzenia fal o pordzewiałe boki "Charona". I łkające, przepełnione strachem głosy z łodzi ratunkowej, pełnej zapewne niemieckich rodzin. Uciekinierów, którzy o mały włos nie zginęli tylko dlatego, że zaplątali się w niedochodową stronę wojennych interesów Trappa.

Ktoś, chyba był to Kubiczek, warknął gwałtownie: – Zgasić to cholerne światło!

Przez jeden ulotny moment, zanim Babikian przekręcił wyłącznik reflektora, widziałem wyraz twarzy Trappa wspinającego się ciężko na mostek. Była to twarz człowieka, który właśnie przebudził się z okropnego snu. Oszołomiony, zdziwiony, prawie zagubiony.

Promień reflektora pozostawił dryfującą, nie uszkodzoną szalupę jej własnemu losowi. Kiedyś, następnego dnia dotrze do brzegu. I wtedy Kriegsmarine dowie się prawdy o nieuchwytnym okręcie podwodnym.

Nagle, z oczekiwanej ciemności rozległ się głos kapitana:

–Wracamy do domu, pierwszy.

Bardzo cicho.

Odniosłem wrażenie, że Trapp bardzo się po tym zmienił. W każdym razie na jakiś czas. Przez pozostałą część nocy, kiedy płynęliśmy z naszą maksymalną prędkością ośmiu węzłów oddalając się z miejsca akcji, ogarnęła go jakaś apatia.

Nie miało to jednak wpływu na jego spryt. Tak więc realizacja jego decyzji o powrocie do domu mimo wszystko odbiegała od tego, co ktokolwiek inny zrobiłby w podobnych okolicznościach. W sytuacji bowiem, kiedy większość dowódców postąpiłaby w oczywisty sposób i położyłaby statek kursem na północ, w stronę Malty, Trapp zawrócił poobijany dziób “Charona” prosto na zachód i skierował się tam, gdzie było największe prawdopodobieństwo zetknięcia się z nieprzyjacielem.

Kiedy jednak zwróciłem mu uwagę na fakt, że wcale nie uśmiecha mi się popełnianie samobójstwa, nie zareagował swoim irytującym uśmieszkiem sprytnego chłopaczka.

Zamiast tego wzruszył ramionami, jakby nie miało to już żadnego znaczenia, i powiedział pokornie:

–Rób pan, jak pan chcesz. Ale gdybym był Szwabem i szukał “Charona”, wtedy wykreśliłbym prostą linię na mojej mapie od miejsca, w którym zatopiliśmy ten statek, do najbliższego akwenu kontrolowanego przez brytyjskie siły, czyli do Malty... i wysłałbym każdego pilota z pełnym ładunkiem bomb, żeby się

wzdłuż tej linii przeleciał.

Oczywiście, miał rację. Był to właśnie ów przypadek, kiedy najszybsza droga prowadziła najdłuższą trasą. Przyznałem mu rację natychmiast, gdy to usłyszałem. A poza tym dopóki łódź ratunkowa nie dotrze do brzegów Libii, dopóty będziemy bezpieczni jak przedtem.

I zakrawa na ironię losu to, że niemiecka marynarka dopadła nas ostatecznie niecałe cztery godziny później. A do tego, zupełnie przypadkowo.

A może jednak powinienem był się tego spodziewać? Może Trapp świadomie zrezygnował ze swoich praw do głównej nagrody w Grze o Przetrvanie?

W chwili, kiedy zdjął palec ze spustu karabinu maszynowego.

Rozdział 9

Od samego początku był to cholernie paskudny dzień.

Najpierw zatopienie tamtego statku. Potem epizod z karabinem maszynowym. Następnie wredna pogoda. Wreszcie zamknięcie do paki Gorbalsa Wullie'ego.

Wullie?... Cóż, może sam napytał sobie biedy posługując się tą swoją cholerną brzytwą, ale na jego usprawiedliwienie należy dodać, że byliśmy wtedy w strasznym napięciu nerwowym, a marynarz artylerzysta Clark nie należał do osób z którymi na dłuższą metę można było wytrzymać.

Myślę jednak, że miała na to wpływ również zmiana, jaka zaszła

w samym Trappie. Być może zapamiętał sobie, w jaki sposób odszedł od niego mały Szkot z Glasgow, kiedy zaistniała sprawa z rozbitkami. W każdym razie Gorbals Wullie został pierwszym człowiekiem, którego osadzono w areszcie na pokładzie krążownika pomocniczego Jego Królewskiej Mości "Charon".

Wszystko zaczęło się po śniadaniu. Śniadaniu, które powinno zapewnić kucharzowi stałe miejsce w pace obok Wullie'ego. Dostaliśmy na nie coś, co na przeznaczonej dla Afrika Korps puszce nosiło nazwę "Kalbs Kotelette" i zgodnie z moją ograniczoną znajomością języka niemieckiego było kotletami cielęcymi. Byłem również zupełnie pewny, że cokolwiek to było, na pewno nie powinno być gotowane.

Załoga – artylerzyści i aborygeni "Charona" – tkwiła ponurą zniechęconą grupą obok luku drugiej ładowni, ja zaś stałem na mostku i pragnąłem, żeby Trapp wreszcie odezwał się do mnie, a nie sterczał taki zgarbiony i milcząco nieobecny duchem na zawietrznej sterówki.

Aż wreszcie, w pewnej chwili z pokładu dobiegł nagle wrzask pełen bólu i gdy podbiegłem do relingu, zobaczyłem, jak Clark zatacza się do tyłu, jego napęczniały od wilgoci sweter zalewa czerwona powódź, a większa część jego prawego ucha leży na pokładzie.

W tym samym czasie mat Mulholland i dwóch greckich marynarzy obezwładnili wrzeszczącego jak opętany Gorbalsa Wullie'ego, przy czym cała trójka starała się uniknąć szaleńczych łuków zataczanych przez aż nazbyt dobrze mi znajome ostrze.

–Wypatrosze cię, matrosie – wył Wullie. – Pokroje cię, ty

saksoński skurwysynu, na plasterki. To Manchester United jest najlepszą drużyną piłkarską, co?... A Celtic to tylko kupa pier...

–O rany! – wymamrotał zszokowany i wykrwawiający się na śmierć Clark. – Ja tylko powiedziałem, że Celtic nie miały szans w normalnej lidze. W każdym razie angielskiej i...

–Zabije go! Pokroje tego pieprzonego dupka...

Wtedy Mulholland stuknął Wullie'ego. Bardzo celnie i bardzo dużą pięścią. Waleczny Szkot pogrążył się w stan ograniczonej świadomości, Al Kubiczek zaś przyciskając kawał nasyczonej oliwą szmaty do miejsca, gdzie kiedyś znajdowało się ucho Clarka, mruknął z obrzydzeniem: – Wy cholerni Brytyjczycy! Do diabła, czy jeżeli nie możecie walczyć ze Szkopami, to musicie naparzać się między sobą?

Odwróciłem się i spojrzałem w stronę Trappa. Wciąż nie ruszył się ze swojego kąta, oznajmiłem więc niezobowiązującym tonem:

–Wullie obciął ucho artylerzyście Clarkowi, dowódco.

Trapp pociągnął ponuro nosem. – Które?

–Prawe... Rany boskie, co ma pan zamiar z tym zrobić?

–Nie wiem. Niech mi pan przyniesie apteczkę z mojej kabiny, a jego wsadzi do paki.

–Kogo? Clarka?

–Wullie'ego. Zrobił się zbyt krnąbrny... Nie ma szacunku dla przełożonych.

–Proszę, proszę – zauważyłem. – Kocioł garnkowi przyganiał. – Kiedy znowu spojrzałem przez reling, czif trzymał łkającego obolałego artylerzystę wykręciwszy mu rękę za plecy, podczas gdy bosman Crocker przykładał kłęb zmoczonej jodyną waty do miejsca po uchu. Miałem wrażenie, że robi to z pewną dozą przyjemności.

Wullie, wciąż na pół przytomny, mruzczał niewyraźnie: – Gdzie moja brzytwa... Czuje się goły bez mojej brzytwy...

–Przecież nie mamy aresztu – powiedziałem ze znużeniem. Czułem, że moja cierpliwość w stosunku do zwariowanego świata “Charona”, do jego załogi i wybuchowego kapitana zaczyna się wyczerpywać. – A poza tym, jeżeli zamknie pan Wullie'ego i trafi nas torpeda, to nie będzie miał żadnych szans.

–Jeżeli trafi nas torpeda, Miller, nikt z nas nie będzie miał szans... Zamknij go pan w składziku bosmańskim i przestań się pan sprzeczać.

Nabrałem głęboko powietrza, a potem wzruszyłem ramionami. O ile przedtem był trudny w kontaktach, teraz stał się zupełnie niemożliwy.

–Tak jest, sir! – warknąłem i odwróciłem się, żeby zejść z mostku. Trapp zawołał w ślad za mną z typowym dla niego brakiem konsekwencji.

–Co jest na obiad?

–Doprawdy, nie wiem – odpowiedziałem wściekłym tonem – ale cokolwiek to będzie, ten pański cholerny kucharz na pewno

weźmie to i ugotuje!

Zobaczyliśmy go dwie godziny później. Był w odległości mniejszej niż dwie mile, ale mimo to ledwo go było widać za zasłoną deszczu.

Jedno było złowieszczo jasne w czasie tych kilku niespokojnych sekund. Ten niski, szary kształt z prawej burty był nieporównanie groźniejszym przeciwnikiem niż świętej pamięci VAS. I był równie niemiecki jak loczek na czole Adolfa Hitlera.

– Schnellboot – wychrypiałem. – Dwa aparaty torpedowe kalibru 21 cali i ponad czterdzieści węzłów... Czterdzieści węzłów, do diabła. Nie mamy szansy go trafić nawet przy o połowę mniejszej prędkości.

Trapp po raz pierwszy od wielu godzin wynurzył się ze swojego kąta. Leżałem już na pokładzie z oczyma przyklejonymi do szczeliny obserwacyjnej, ze słuchawką w rękę i wsłuchiwałem się w znajomy tupot nóg obsługi biegnącej do działa.

– A co jeszcze ma? – zapytał prawie bez zaciekawienia. Gdy tylko usłyszałem ton jego głosu, nerwy zaczęły mi dygotać. O Boże, proszę, żeby przestał wreszcie być taki łagodny i spokojny. Nie teraz, nie teraz, kiedy potrzebujemy makiawelicznego sprytu, jaki może zapewnić tylko taki niezrównany specjalista od matactw jak Trapp.

– Nie wiem. Jedno działko kalibru 377mm z przodu. Pełno sprzężonych dwudziestek – sterczą wszędzie jak pieprzony rabarbar – ale martwią mnie te aparaty torpedowe. I prędkość.

–To, z jaką prędkością płynie, nie ma żadnego znaczenia – Trapp westchnął jakby rozmawiał z dzieckiem. – Jeżeli tylko uda się nam zatrzymać go wystarczająco długo, żeby wpakować mu pocisk w bok. Jaką flagę mamy podniesioną?

–Libijską.

–Pewnie jest równie dobra jak każda inna. Jak pan sądzi, wie już o nas?

Telefon zameldował dziarsko: – Działa obsadzone.

–Przyjąłem, Crocker, poczekajcie... – zerknąłem szybko na przesuającą się mgłę. – Jeżeli mamy choć trochę szczęścia, to nie. Widoczność jest parszywa. Mało prawdopodobne, żeby już znaleziono tę szalupę.

Trapp podrapał się w zamyśleniu po głowie, ale wciąż nie było w nim poprzedniego wigoru, agresywności, które charakteryzowały nasze wcześniejsze potyczki z nieprzyjacielem. Skierowałem lornetkę na S-boota. W chwili gdy nastawiałem ostrość, zaczął zakręcać w naszą stronę, aż jego dziób zaczął celować prosto w to miejsce, gdzie klęczałem. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

Przez jedną paskudną chwilę gapilem się we wgłębienia wycięte po obu stronach dziobu ścigacza i czekałem na chmurę sprężonego powietrza, która będzie świadczyć o odpaleniu torped, ale S-boot tylko się zbliżał. Jedynym objawem jego agresywnych zamiarów byli marynarze biegnący, żeby obsadzić dwudziestomilimetrowe działko we wgłębionym stanowisku na dziobie.

–Nic o nas nie wie – mruknąłem drżącym głosem. – Gdyby było inaczej, już by nas szlag trafił.

Nagle sprężyłem się cały... może mieliśmy jedyną zesłaną nam przez niebiosą szansę, żeby go trafić. Stanowił być może mały cel, ale jego kurs zbliżenia przez następne parę minut musiał być właśnie taki – prostopadły do nas. Niemiecki okręt miał bardzo niewielkie odchylenia boczne, nawet nie zygzakował. Przekonywało mnie to w jeszcze większym stopniu, że nic nie podejrzewa. Crocker zaś już dowiódł, że jest niezwykle celnym strzelcem.

–Crocker – rzuciłem pospiesznie. – S-boot dziobem do nas... co sądzicie?

Żadnego wahania, tylko stwierdzenie faktu: – Proszę podawać kąt kursowy i powiedzieć, kiedy będzie w odległości tysiąca pięciuset jardów. Ustawię tę odległość zawczasu i niech pan tylko krzyknie, sir, kiedy ten skurwiel się tam znajdzie.

–Roger – spojrzałem pytająco na Trappa. – To może być nasza najlepsza szansa, dowódco. Może jedyna.

Wciąż wyglądał na równie przejętego sytuacją jak w chwili, gdy jakiś czas temu ucho Clarka wylądowało na pokładzie. Zbliżający się Schnellboot był już w odległości półtorej mili i zmierzał szybko w naszym kierunku. Mieliśmy mniej więcej minutę na podjęcie decyzji.

–Pańska decyzja, Trapp – czułem, jak się pocę. – Co...

–Niech pan działa, jeżeli sądzi pan, że mamy jakąś szansę,

Miller – wzruszył ramionami. – Toi tak nie robi większej róż...

–Odległość: dwa tysiące dziewięćset i zmniejsza się –
zawołałem, nie zwracając uwagi na pozostałą część posępnych
rozważań Trappa. – Kąt kursowy – zero dziewięć pięć stały.

Przez chwilę pomyślałem z poczuciem winy o Gorbalsie
Wullie'em zamkniętym na dziobie w stalowej trumnie składziku
bosmańskiego i szczęśliwie nieświadomym zaistniałego
zagrożenia. Wreszcie przyszło mi do głowy, że jeśli nas załatwią,
to odejście w oślepiającym rozbłysku i bez uprzedzenia było
najlepszym z możliwych rodzajów śmierci. Dlatego wyrzuciłem z
myśli naszego celtyckiego kolegę i zająłem się swoimi aktualnymi
sprawami.

–Odległość: dwa tysiące pięćset...

Wciąż nie zmienia kursu, wciąż jest bardziej zaintrygowany niż
podejrzliwy. Może przez cały czas nie miałem racji powątpiewając
o prawie Trappa do przetrwania z Bożej łaski. Może wszyscy je
posiadaliśmy. A może po prostu odnosiło się do tego samego
“Charona”. Przecież jest tak stary, że Bóg mi świadkiem,
zasługuje chyba na jakąś szczególną opiekę...

–Dwa tysiące jardów... Przygotować się do opuszczenia kłap,
Crocker.

–Tak jest. Ustawiona odległość – tysiąc pięćset jardów, sir!

Proszę, niech pan teraz nie zmieni kursu, Herr kapitan...
Dobrze... dobrze... Właśnie tak...

Pot spływa po mojej skroni niemiłosiernie łaskocząc, ale nie mam odwagi odsunąć się od dalmierza... Wciąż przybliża się jak jagnię na rzeź, dziób ma uniesiony tak wysoko, że widać poobijane, czarne podcięcia, spod których huczącą kaskadą tryska biały pył wodny...

–Jeden tysiąc osiemset... jeden tysiąc siedemset... Kąt kursowy ciągle zero dziewięć pięć...

Trapp uniósł lornetkę. Na co u diabła teraz patrzy? I skąd to nagłe zainteresowanie, skoro przed chwilą poleciał, żeby nie brać go przy tej walce pod uwagę?

Przygotuj się, Crocker...

–Jeden tysiąc sześćset jardów. Klapy...

–Miller, stój!

Do diabła.

Wdusiłem przycisk mikrotelefonu, zanim mój pracujący w najwyższym natężeniu umysł mógł zorientować się w sytuacji:

–Stop, stop, stop!

Z wściekłością odwróciłem się, widząc, że już jest za późno. Nie ma czasu na zmianę ustawienia celownika, a S-boot zbliża się wciąż z szybkością, która za chwilę zmusi go do wykonania szerokiego, niemożliwego do przewidzenia zakrętu.

–Co do cholery?! – ryknąłem wstrząśnięty. Ogarnęły mnie uczucia zawodu i prawie nie dającej się opanować wściekłości.

Trapp uśmiechając się popatrzył w dół na mnie. Był to znowu stary, nieobliczalny Trapp. Zaskakujący, wyrachowany i o zupełnie nie dających się przewidzieć posunięciach.

–Właśnie wpadłem na pomysł, pierwszy – rozpromienił się, zupełnie nie zwracając uwagi na fakt, że niemiecki okręt był od nas w odległości serii ze Schmeissera. – W jaki sposób mogę zwiększyć fundusz emerytalny “Charona”...

Weźmiemy do niewoli ten okręcik. A potem go sprzedamy. Royal Navy...

–Weźmiemy do niewoli, powiada – mruzczałem do siebie raz po raz, podczas gdy stopiętnastostopowy, najeżony uzbrojeniem Schnellboot krążył wokół naszego beztrosko płynącego statku.

–Wziąć do niewoli... To?

Wciąż jednak odczuwałem skutki szoku i miażdżącego efektu gwałtownego przełączenia mojego znajdującego się pod straszliwym napięciem systemu nerwowego na pełną frustracji bezczynność. Poza tym nadal w jakimś stopniu spodziewałem się, że lada chwila ścigacz ruszy gwałtownie, kiedy dotrze do niego rozesłane do wszystkich jednostek Kriegsmarine ostrzeżenie o pewnym podejrzanym statku-pułapce działającym w tym rejonie.

Nie mówiąc już o tym, że zorientowałem się nagle, iż służę pod komendą jedyne go dowódcy okrętu wojennego w całej Royal Navy – a zapewne we wszystkich marynarkach wojennych świata, którego taktyczne i strategiczne podejście do mającego nastąpić starcia jest oparte wyłącznie na wysokości niezbędnych

inwestycji kapitałowych i możliwościach kupna-sprzedaży.

Potem S-boot ustawił się z nami w szyku torowym i w momencie, gdy zniknęła możliwość wykorzystania elementu zaskoczenia, wszystko wróciło do normy. Znaleźli się w martwym polu ostrzału i nie można było przyłożyć im niczym solidniejszym od klucza francuskiego.

A po chwili następna standardowa sytuacja. Megafon: –
“Achtung, Kapitan... Im welchem Hafen legt das schiff an?”

Trapp machnął gwałtownie w moją stronę. W swoim głupawym arabskim nakryciu głowy wyglądał jak zwykle kretyńsko.

–Co ten kwadratowy łeb gada?

–To pański cholerny pomysł, Trapp – pokręciłem uparcie głową.
– Dlaczego nie poprosi go pan, żeby mówił po angielsku?

Na dobrą sprawę wcale tak nie myślałem, ale teraz przyszła moja kolej na robienie trudności. On jednak tylko filozoficznie wzruszył ramionami i zanim zdołałem go powstrzymać, ryknął na całe gardło: “Nicht sprechen Deutsch, Effendi...” Ale ja mówić może mało angielski.

Patrząc ponuro w stronę rufy zobaczyłem niemieckiego dowódcę stojącego na opływowym pomoście bojowym S-boota. Spostrzegłem, że odwrócił się, powiedział coś do stojącego obok niego marynarza i wskazał ręką “Charona”. Ponad wodą dobiegł mnie strzęp ich śmiechu, ja zaś po raz pięćdziesiąty zapragnąłem, żeby przesunął się ciut-ciut do przodu. Kiedy płynął tam, za rufą, był dla mnie równie nieosiągalny jak na

Morzu Północnym. Potem megafon zahuczał bezbłędnym oksfordzkim angielskim:

–Jaki jest pański port docelowy, kapitanie?

Trapp popatrzył na mnie marszcząc brwi.

–Może być Darna?

Nerwowo potrząsnąłem głową.

–Nie, na litość boską. Darna jest na wschodzie – a my płyniemy na zachód!

–Aha! – odparł Trapp. Wywarło to na nim należne wrażenie. A potem znowu podniósł głos.

–Trypolis, “Effendi...” jeżeli taka będzie wola Allacha.

Niemiecki dowódca podniósł lornetkę do oczu i popatrzył na nasz dziób, skąd ze zrozumiałych względów dawno temu usunięto nazwę “Charona”. Potem rzucił poirytowanym głosem:

–Podać nazwę statku i litery kodowe, kapitanie.

–Otóż to – mruknąłem beznadziejnie. – Wystarczy, żeby teraz sprawdzili nas przez radio...

Trapp wyszwargotał jednak odpowiedź w jakimś niezrozumiałym, trochę przypominającym arabski, języku, a potem zakończył pokornie: – litery, “Effendi”. Mój nędzny umysł nie pozwalać.

Zerknąłem w dół i zobaczyłem Babikiana wraz z pozostałymi

członkami “zespołu paniki” kręcących się ze zrozumiałych względów wokół łodzi ratunkowej. Przeczłogałem się w stronę trapu i wyszeptałem ochryplym głosem:

–Na rany Chrystusa, bądźcie gotowi dać porządne przedstawienie... O ile będziemy mieli dość czasu...

Potem Schnellboot warknął metalicznie: – Podnieść flagi międzynarodowego kodu sygnałowego. Natychmiast... “verstehen?”

A tymczasem podcięty z obu stron dziób tego smukłego, drapieżnego okrętu tworzy jedną, równą linię z naszą rufą. Ciągle gotów do zwrotu przy pierwszym podejrzeniu.

Trapp skłonił się głęboko niczym postać z operatki Gilberta i Sullivana po czym skoczył do sterówki. – Olej – warknął do Babikiana, który przemykał koło trapu – przynieś mi bańkę starej oliwy i to “jaldi”. Zestaw flag sygnałowych “Charona” i tak był zupełnie nieczytelny, ale kiedy Trapp zakończył jego kąpiel przypominał raczej spieczone na węgiel grzanki. Potem wywiesił flagi i wrócił znów na skrzydło mostku. Wyglądał przy tym zupełnie jak głupawy, nerwowy i pokorny arabski szyper.

–To sprawi im pewien kłopot, co? – mrugnął do mnie.

Aż wreszcie...

–Zatrzymać się! Natychmiast maszyny stop i wywiesić sztormtrap, kapitanie.

Popatrzyłem wściekle na Trappa: – No i kto ma teraz kłopoty,

co?

Niefortunny taktyk natychmiast odparował z rozdrażnieniem: – Dobra! Jeżeli Szwab sam tego chce, to znowu damy całą wstecz i ster prawo na...

–Nie – szepnąłem gwałtownie. – Kiedy tylko zobaczą, że zaczynamy odpadać w prawo, zrobią dokładnie to samo, co Włosi i będą usiłovali spieprzyć stąd... ale te S-booty są w stanie wystartować z miejsca szybciej, niż nam uda się opuścić klapy...

–No to co teraz? – rzucił z niezadowoleniem.

–Musi ich pan zachęcić, żeby podeszli do burty z własnej woli. I z opuszczonymi gatkami.

Zza rufy dobiegły ostre komendy. Zimne i rzeczowe: – “Achtung Geschztzbediennung...

Potem znowu megafon. – Natychmiast zatrzymać statek... “Schnell!” Albo otworzymy ogień.

–Zrób to pan – syknąłem, ale Trapp stał ze zmartwioną miną i wciąż się wahał.

–“Feuer!”

Pierwsza seria z dziobowego działka 207mm była ostra, krótka i celna. Większa część dachu sterówki nieco ponad głową Trappa wzbiła się gwałtownie w powietrze i opadła deszczem drzazg.

–O kurr... – powiedział i po raz pierwszy wyglądał na wstrząśniętego. Potem, już nie grając żadnej roli, rzucił się w

stronę telegrafu maszynowego. Na łokciach i kolanach przepelzłem w stronę trapu i pomachałem w stronę bladego jak płótno “zespołu paniki”. – Opuszczajcie statek, jak możecie najszybciej i na litość boską pamiętajcie, że jesteście Arabami. Róbcie wrażenie śmiertelnie przerażonych i nie odpowiadajcie Szwabom, jeżeli się do was odezwą...

Trapp przeczołgał się obok mnie jak wielki, tłusty ślimak, zmierzając w stronę szczeliny obserwacyjnej. Podążyłem za nim, chwytając po drodze za mikrotelefon.

–Crocker. Tak jak poprzednio. Będiesz miał może pół minuty, żeby władować pierwszy pocisk prosto w niego...

–Wróć to, pierwszy!

Zamarłem i w mojej głowie zaczęła kiełkować paskudna myśl. Do chwili, kiedy Trapp dodał z niezachwianym zdecydowaniem: – Mam zamiar wziąć ten szwabski okręt do niewoli. Mówiłem to panu, pierwszy. Niech więc pan im powie, żeby po otwarciu klap nie otwierali ognia, bo nie pozwolę, żeby jakiś matros, którego swędzą paluchy, zniweczył szanse “Charona” na zdobycie przyzowego...

Powiadomiłem go – bardzo wyraźnie i dobitnie: – Jesteś pan wariat, Trapp. Kompletnie pieprznięty. Całkowicie i ostatecznie wyzuty ze swojego wyrachowania, samobójczego ptasiego mózdzku...

I tak dalej. Tymczasem “zespół paniki” przy akompaniamencie pisku nie konserwowanych, przerdzewiałych bloków znalazł się poniżej poziomu pokładu w łodzi opadającej w stronę

powierzchni morza w podrygujących, nierównych konwulsjach. Wreszcie w dole rozległ się koszmary plusk, po czym załoga Babikiana niemal cudem wyłoniła się ponownie, płynąc szarpanym, nierównym kursem właściwie donikąd i tłukąc wiosłami o wodę jak trzepaczkami. Siedzący na dziobie kucharz przyciskał do piersi coś, co przypominało wielki worek z robótkami na drutach...

Wreszcie zabrakło mi oddechu i obelg, zakończyłem więc słabym głosem: -...źle dowodzonych, kłótliwych, wiecznie wlnych wrednych próżniaków, jakich miałem nieszczęście spotkać w całym moim pieprzonym życiu...

–I będę ostatnim człowiekiem, który chciałby panu zaprzeczyć, pierwszy – przyznał Trapp wielkodusznie. – Ale na razie niech pan tylko powie Crockerowi, żeby mimo wszystko wstrzymał ogień i to by było na tyle.

Sposób, w jaki to powiedział, przekonał mnie ostatecznie, że w ciągu kilku następnych minut będę albo współwłaścicielem znajdującego się w dobrym stanie, używanego Schekkenboota i dwudziestu z hakiem marynarzy z Kriegsmarine.

Albo trupem.

Wtedy jednak nieprzyjaciel popełnił swój pierwszy błąd. Zamiast trzymać działka skierowane na pozornie opuszczonego "Charona", wycelowano je żartobliwie w łódź Babikiana. Albo raczej niemal żartobliwie... Bo nie zauważyłem, żeby ktokolwiek z "zespołu paniki" jakoś pękał ze śmiechu.

Przez kilka minut prawie nic się nie działo. "Charon" przewalał się

niezgrabnie na nieprzyjemnej fali, większość załogi siedziała wczepiona w niewielki okruszek, jakim wydawała się szalupa, i patrzyła z lękiem w lufy działek S-boota, Trapp i ja czekaliśmy na mostku w pełnej napięcia ciszy.

Za oddzielającą nas od ścigacza powierzchnią wody toczyła się jakby pełna niepokoju dyskusja między dwoma nienagannie umundurowanymi i w białych czapkach na głowach niemieckimi oficerami. Najwyraźniej wymieniali poglądy na temat naszego zbyt pospiesznego zejścia z pokładu. Wreszcie jeden z nich gwałtownie odwrócił się w stronę zejścia z pomostu i rzucił ostry rozkaz.

Natychmiast kilku marynarzy podbiegło do pojemnika i zaczęło wyciągać z niego napełniony powietrzem ponton, podczas gdy pozostali odbierali pistolety maszynowe wręczane im przez bosmana.

–Chcą wejść na pokład – stwierdziłem tonem pełnym beznadziei.

Potem jednak rozległ się dzwonek telegrafu maszynowego i niemiecki okręt dość powoli ruszył do przodu. Prosto pod naszą lufę.

–Dali się złapać – triumfował Trapp. – Motorówka wartości stu tysięcy funciaków, a oni wpadli jak dzieciaki...

–Crocker – warknąłem. – Pełna gotowość, ale nie otwierać ognia. Powtarzam... Nie otwierać ognia bez mojego rozkazu. Zrozumiane?

Małeńka chwila wahania, a potem: – Zrozumiane, sir. Wstrzymać

ogień.

Wir wody pod rufą Schnellbota i okręt znowu się zatrzymał. Dokładnie na naszym trawersie i w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt jardów.

–Dobra, pierwszy! – ryknął Trapp.

–KLAPY!

Z ogłuszającym trzaskiem kadłub “Charona” rozwarł się szeroko. Wszystkie twarze na pokładzie niemieckiego okrętu odwróciły się i zastygły sparaliżowane szokiem... – I w tym samym momencie Trapp wrzasnął z całej siły. – “Achtung, sukinsyny! Jeden ruch i zarobicie swoje...

Cagney, pomyślałem z niedowierzaniem. James Cagney w czystej postaci, jak Boga kocham...

Obojętne, czy niemiecki dowódca zrozumiał tę gangsterską odzywkę rodem z Hollywoodu, niewątpliwie jedna rzecz stała się dla niego zupełnie oczywista – wylot lufy naszego działka, który z tej odległości musiał wyglądać jak wylot tunelu kolejowego.

Z którego lada moment mógł wyskoczyć pociąg ekspresowy.

Na ścigaczu nikt nawet nie drgnął. Nawet nie mrugnął okiem. A załoga “Charona” siedziała w łodzi ratunkowej pod lufami działek S-boota jak sparaliżowane, marmurowe posągi. Zapadła nagle ciszę zakłócało jedynie grzechotanie dulki, kiedy fala podbijała trzymane kurczowo wiosła oraz głuchy pomruk rur wydechowych niemieckiego okrętu mieszający się z przytłumionym łomotem

łoków naszej maszyny pracującej na jałowych obrotach.

Wreszcie wysoki oficer na pomoście bojowym S-boota poruszył się i obrzuciwszy długim, oceniającym spojrzeniem zaistniałą sytuację, uniósł mikrofon.

I odezwał się spokojnym, rzeczowym tonem: – Proponuję remis, kapitanie. Może teraz powinniśmy podać sobie ręce i ruszyć każdy w swoją stronę?

Trapp spojrział na mnie marszcząc brwi, wyraźnie zbity na chwilę z pantafelku. Potem przechylił się przez reling i uniósł ręce do ust.

–Chyba sobie kpisz, Hermann... Mogę jednym pociskiem przerobić twój okręt na psychówkę i dobrze o tym wiesz.

Podniosłem się niezgrabnie. Nie było już sensu dłużej się ukrywać. Ale wciąż ściskałem w ręku mikrotelefon, jakby moje życie od tego zależało. Zresztą, istotnie zależało. Ten niemiecki dowódca nie był przeciwnikiem, który popełnia drugi błąd.

Wtedy zresztą głośnik potwierdził moją opinię:

–Zgadzam się, kapitanie. Ale mogę również pana zapewnić, że zanim pan to zrobi, moi doskonali artylerzyści zmasakrują wszystkich co do jednego w szalupie. Skoncentrowana siła ognia, rozumie pan? A załatwić to może nawet nacisk martwego palca na spuście.

–Proszeeeę, kapitanie – załkał śpiewnie Babikian.

Trapp zignorował go wyniośle. Ja zaś mruknąłem gwałtownie: –

Może to zrobić. Te dwudziestomilimetrówki są zabójcze. Pięciosekundowa seria i zostanie tylko krwawa dziura w wodzie...

Trapp tylko wzruszył ramionami i znowu przyłożył dłonie do ust. – OK... No to zastrzel pan tych sukinsynów. Biorąc pod uwagę zaległe pobory, które jestem im winien, wyświadczy mi pan tylko przysługę. Wiesz pan, co panu powiem – będę panu za to, taki wdzięczny, że nawet nie strzelę...

Tym razem rzeczywiście wywarł wrażenie na wszystkich – szczególnie na Babikianie i towarzystwie w szalupie. Niemcy również nie wyglądali na uszczęśliwionych, ale to można było łatwo zrozumieć. Cyniczny sposób potraktowania problemu przez Trappa sprawiał, że Heinrich Himmler wyglądał przy nim jak dobroczyńca z Armii Zbawienia.

Ja także tylko wytrzeszczyłem na niego oczy.

–Psychologia, pierwszy – odrzekł na moje niewypowiedziane pytanie. Łódź ratunkowa jest ich jedynym atutem... a jeżeli przekonają się, że wcale mi na niej nie zależy, podniosą łapy do góry.

Ale na jego twarzy malowało się coś jeszcze. Jakiś... prawie fanatyzm. Albo była to najzwyklejsza chciwość. – Rzecz jednak w tym – szepnąłem z obrzydzeniem – że pan wcale nie blefuje, Trapp. Jest pan gotów poświęcić tych biednych sukinsynów. O ile na ich śmierci coś pan zarobi.

Spojrzał na mnie marszcząc lekceważąco brew. – Jak pan na to wpadł, pierwszy? W jaki sposób śmierć drugiego oficera i tych tam może przynieść mi zysk?

–Przy pańskim sposobie myślenia może – warknąłem, próbując w to nie wierzyć. – Bo w chwili kiedy tamci ich załatwią, niemiecki dowódca, jak pan powiedział, nie będzie już miał żadnych atutów. I tak czy owak zdobędzie pan tego S-boota.

–Mówię panu, że to blef, pierwszy. Jak w pokerze...

Wtedy właśnie głośnik ożył po raz ostatni.

–Dobrze! Ustępuję przed pańskim brakiem skrupułów, kapitanie. Czy mogę zaproponować rokowania?

Oczy Trappa nic nie zdradzały. A potem uśmiechnął się swoim dawnym, bezwstydnym uśmiechem. – Widzisz pan? To był tylko blef. Jak mówiłem.

Odwrócił się w stronę relingu. – Zapraszam na pokład, Herr Kapitan. Ale zanim złoży nam pan wizytę, chciałbym prosić, żeby torpedyści odsunęli się od aparatów, a wszystkie działka były ładnie i pokojowo skierowane w niebo.

Usadowił się wygodnie w kącie skrzydła mostku i patrzył na Schnellboota oceniającym spojrzeniem kupca.

Ja natomiast długo nie mogłem oderwać wzroku od niego.

Zastanawiałem się bowiem ciągle, jak daleko w gruncie rzeczy był zdecydowany się posunąć.

I na ile opierając się na obowiązującym na “Charonie” rachunku zysków i strat, wyceniłby mnie.

Jako towar wymienny.

Trapp nagle postanowił być oficjalny, dlatego więc musieliśmy czekać, aż dowódcę -S-boota sprowadzą do jego kabiny wielkości pudełka od zapalek.

–Pamiętaj pan teraz mówić do mnie “sir” – powiedział zrzucając z krzesła stos czasopism sprzed sześciu miesięcy. – Biorąc pod uwagę, że reprezentuję interesy Admiralicji...

Popatrzyłem na niego. Wciąż nie mogłem zapomnieć łodzi ratunkowej. – Czy biorąc pod uwagę pański punkt widzenia nie lepiej byłoby mówić tylko “interesy”? Sir!

Koło drzwi zrobił się ruch. Wysoki Niemiec z pomostu bojowego Schnellboota wyminął Josepha Bez-nazwiska i przekroczył zrębnicę. Zdjął czapkę i z nienaganną precyzją włożył ją pod pachę, ale o ile mogłem wywnioskować z pewnego zamyślenia malującego się w jego oczach, usłyszał naszą krótką i niewątpliwie dającą do myślenia wymianę słów.

Spostrzegłem również, że szybko oszacował pudełka ze srebrami stołowymi i innymi łupami złożone pod ścianą. Potem miałem wrażenie, że uśmiechnął się lekko. Był to pewien sygnał, że w tym Niemcu za przystojną twarzą o teutońskich rysach kryje się coś więcej.

–Duttmann – oznajmił sucho. – Korvettenkapitan Maks Duttmann.

Na Trappie wywarło to niezwykle wrażenie. – To wysoki stopień w waszej marynarce, co?

–Jest komandorem podporucznikiem – wyjaśniłem ze

znużeniem. – Tak samo jak podobno pan.

–Aha – Trapp skinął głową, a potem przesunął stopą krzesło w stronę Niemca. – No to niech pan siada, komandorze. To będzie długa droga powrotna na Maltę.

Duttmann znowu uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie.

–Czy ma pan zamiar płynąć na powierzchni, kapitanie... czy w zanurzeniu?

Przez chwilę gapiliśmy się na Niemca w oszołomieniu, aż wreszcie Trapp również zaczął się uśmiechać.

–Szybko się pan połapałeś, muszę przyznać!

–Ale nie dość szybko – dodałem znacząco.

Duttmann popatrzył na mnie chłodno. – Gdyby było inaczej, obaj bylibyście już martwi. Razem z resztą waszej załogi, panie...

–Miller – odpowiedziałem. – Kapitan marynarki Miller Royal Navy.

Niemiec skinieniem głowy potwierdził, że przyjął to do wiadomości, a potem wskazał trochę przepaszającym gestem znajdujące się za plecami Trappa pudełka ze srebrnymi nakryciami stołowymi. – Mogę jedynie stwierdzić, że jestem mądry po szkodzie, panowie. Z drugiej jednak strony powinienem powiedzieć, że przez cały czas coś mi się nie zgadzało w tej teorii o tajemniczym okręcie podwodnym, którego na dobrą sprawę nikt nie widział na oczy. A przy okazji przejawianie podobnej namiętności do zbierania... hmm... pamiątek z zatapianych statków wydawało mi się dość nietypowe

dla załogi konwencjonalnego brytyjskiego okrętu wojennego.

Trapp wzruszył ramionami.

–Nie jesteśmy zbyt konwencjonalni. I dlatego jest pan jeńcem wojennym, a nie denatem.

–Ma pan nadzieję na przyzwołe, kapitanie?– zmarszczył brwi Duttmann.

–Powiedzmy, że nie lubię, kiedy marnuje się spora inwestycja kapitałowa. A teraz wykreśliłem już kurs do domu. Pozostanie pan tu z większością swojej załogi, podczas gdy mój pierwszy oficer przejmie pański okręt...

Niemiec nie zaprzestał jednak swojego sondowania.

–Nie ma więc pan zapewne zamiaru zakończyć tej wojny bez uzyskania z niej czegoś dla siebie. Czegoś... hmm... bardziej konkretnego niż wdzięczność pańskiej ojczyzny.

Trapp spojrzał na niego.

–Ma pan cholerną rację, że nie mam.

Mam cholerną rację, że nie ma! – pomyślałem z uczuciem.

Duttmann uśmiechnął się łagodnie i w tej samej chwili zrozumiałem, co sprawiało, że czułem się nieswojo. W oczach wysokiego Niemca widniał ten sam wyraz, który tak często widywałem w spojrzeniu komandora podporucznika Edwarda Trappa.

Wyrachowania. Korsarskiego ducha. I wielkiej merkantylności.

–W takim razie, czy nie miałby pan ochoty zakończyć tej wojny z paroma milionami Reichsmarek – zapytał zupełnie od niechcienia nasz gość. – Licząc z grubsza, jakieś półtora miliona funtów szterlingów...

–Jezu! – mruknął Trapp chyba po raz dziesiąty. – Półtora miliona funciaków... Jezu!

Oparłem się plecami o reling mostku i patrzyłem, jak chodzi tam i z powrotem, tam i z powrotem z pochyloną głową i wyrazem oszołomienia i niedowierzania na twarzy. Potem powiedział znowu: – Jezu! – a wtedy odwróciłem się z rezygnacją i zacząłem patrzeć na kołyszącego się nieprzyjemnie Schnellboota i jego ponurą załogę siedzącą na pokładzie z rękami splecionymi za głowami. A wszystko pod wpatrzonym bacznie okiem naszego działa.

Tymczasem w ciasnej kabinie Trappa mieszczącej się tuż pod nami mat Mulholland podejmował zadziwiającego Korvettenkapitana Maksa Duttmanna – za pomocą szklanki piwa Tiger i pistoletu maszynowego Sten.

Trapp nagle stanął i zaczął wpatrywać się we mnie przenikliwym spojrzeniem. – Co o tym pan sądzisz?

–Już panu mówiłem. Sądzę, że jest pan zwariowany jak Kapelusznik.

Ale nie traciłem zbyt wiele energii na to zwykłe stwierdzenie faktu. I tak zrobi, co będzie chciał. – Och, wiem o tym – odparł

Trapp wcale nie obrażony. – Mówiłem o Szwabie... ufasz mu pan?

Przygryzłem w zamyśleniu wargę. To nie było łatwe pytanie. Mimo wszystko czułem tajony szacunek dla opanowania, jakie wykazywał ten wysoki Niemiec, a po tym jak spotkałem Trappa, uświadomiłem sobie, że ludzie z wielu powodów mogą chcieć wycofać się z wojny.

–Powiedziałbym, że jest kimś, czyje działania dadzą się przewidzieć – wzruszyłem ramionami. – Tam gdzie w grę wchodzi pieniądze. Podobnie jak pańskie postępowanie.

Trapp uśmiechnął się bezwstydnie. – Chcesz pan powiedzieć, że z radością przedłożyłby osobiste korzyści nad lojalność w stosunku do sławetnej Trzeciej Rzeszy?

–Coś w tym rodzaju. Poza tym trzeba pamiętać, że tak czy owak jego wyłączenie z dalszych działań po stronie Osi jest już sprawą przesądzoną.

–A jeżeli chodzi o pana?

Zawahałem się, czując w sobie nieuświadomianą dotąd brawurę. Może długie przebywanie w towarzystwie Trappa sprawiło, że zaraziłem się jego postawą... Poza tym zresztą nigdy do końca nie zapomniałem mojej sprzeczki z admirałem, kiedy to dawno temu zostałem wybrany na kozła ofiarnego i skierowany na "Charona".

–Znam za mało szczegółów propozycji Duttmanna. Odpowiem, kiedy się dowiem.

Patrzył na mnie przez parę chwil, a potem radośnie skinął głową.

–No to chodźmy i porozmawiajmy z nim. Ale półtora miliona funciaków...

–Afrika Korps wycofuje się na całej linii, panowie. Jego obecność w tym teatrze działań wojennych jest właściwie zakończona. W gruncie rzeczy niektórzy Niemcy doszli do przekonania, że sama Trzecia Rzesza skazana jest na zagładę... Ja również tak sądzę.

Przyglądałem mu się uważnie. Jeżeli istotnie tak myślał, to owe nieco zbyt łatwe poddanie się S-boota stawało się bardziej zrozumiałe.

–Skąd pan o tym wie, Duttmann? – zapytałem mimo to. – W dalszym ciągu trzymają kawał Afryki Północnej, a poza tym chyba wasze Naczelne Dowództwo nie wtajemniczało pana w swoje sekrety.

–Nie, ale jak się pan zapewne sam orientuje, nawet stosunkowo niewysocy rangą oficerowie wykonują niekiedy zadania, których istota nasuwa dość oczywiste wnioski.

–Jakie więc są pańskie wnioski?

–Że wprowadzane są w życie plany ewakuacji Rommla i jego sztabu... Kilka jednostek z mojej flotyli już eskortuje ważne transporty na europejski teatr wojenny.

Trapp zaczął wiercić się z irytacją. – A co z forszą, Maks? – warknął. Pochłaniała go tylko ta myśl.

–Z żadną forszą, komandorze – ze złotem. Kilka ton sztab złota.

Trapp znowu zaintonował swoje “Jezu!”, więc wtrąciłem się gwałtownie. – Skąd?

Duttmann wzruszył ramionami. – Jak pan zauważył, kapitanie, nie jestem wtajemniczony w sekrety dowództwa Wehrmachtu. Sądzę jednak, że najprawdopodobniej na samym początku kampanii zostało wysłane razem z Korpusem, aby pomóc w przekonaniu naszych arabskich gospodarzy do niemieckiego stylu życia. Z drugiej jednak strony jestem w stanie wyobrazić sobie, że szereg bankowych skarbców na trasie naszego odwrotu jest obecnie otwartych i pustych. Żadna armia nie pozostawia przeciwnikowi tak potężnej broni.

–Broni? – zapytał z zaskoczeniem Trapp.

–W tym przypadku – straszliwej broni. Jest to taka ilość złota, za którą można wyposażyć dwie dywizje pancerne... Zbudować niszczyciele... Zorganizować dywizjon myśliwców...

–I pewnie z tego właśnie – wtrącił ponuro Trapp – składać się będzie eskorta.

–Niezupełnie – wzruszył ramionami Niemiec. – Będzie to zapewne kompania piechoty i jakiś pojazd pancerny.

Zacząłem słyszeć dzwonki alarmowe.

–Jak więc zabierzemy im to złoto, Duttmann? Może zaczniemy w pojedynekę Blitzkrieg przeciwko armii niemieckiej?

–Nie – uśmiechnął się łagodnie. – Będziemy musieli ich tylko poprosić.

Trapp zerwał się na równe nogi. – A oni oddadzą je nam o, tak...
– warknął wściekle. – I pewnie pomogą nam załadować je na statek, co?

–Właśnie tak – Duttmann spokojnie skinął głową. – I zaczną jutro o szesnastej zero zero.

–Sprytny sukinsyn z pana, Duttmann – oznajmiłem bardzo wyraźnie. – Gra pan na zwłokę w nadziei, że jakiś pański kumpel przyjdzie panu z pomocą. Ale nie jest pan wystarczająco spryt...

I w tym momencie przerwałem. Gwałtownie.

Bowiem uzmysłowiłem sobie nagle, że każde słowo Korvettenkapitana Maksa Duttmanna było powiedziane jak najbardziej serio.

Znowu na mostku “Charona”. Załoga S-boota siedziała na pokładzie swojej jednostki wyglądając jak zmokłe szczury. Nasi zresztą robili niewiele lepsze wrażenie... z wyjątkiem Crockera. Zapewnił mnie przez telefon, że nic nie sprawiło mu większej frajdy, niż trzymanie przez cały dzień Niemców pod lufą. Szczególnie nieszczęśliwych Niemców.

Trapp ponownie wpadł w swój trans. – Jezu! – mruczał. – Półtora miliona funciaków...

Warknąłem z irytacją: – Och, na litość boską! – i chyba go tym uraziłem.

–To straszna kupa forsy, półtora miliona.

–To również samobójstwo, Trapp. Pójdzie pan razem z

Duttmannem i natychmiast znajdzie się pan poza prawem. Wszystkie marynarki wojenne będą pana szukać. Kriegsmarine, bo będzie żądna pańskiej krwi, i Royal Navy, bo przypadkiem ma pan z nią umowę...

–Nie, już nie mam – oznajmił stanowczo. – Przekreśliłem ją własnoręcznie w chwili, kiedy zmiętkło mi serce na widok tej łodzi pełnej dzieciaków. Jesteśmy w drodze do domu, pamięta pan?

Skinąłem niechętnie głową. Miał w tym względnie rację, choć można było powątpiewać, czy admirał również mu ją przyzna.

–W każdym razie – ciągnął z entuzjazmem, który mogła zrodzić jedynie chciwość – jeżeli zabierzemy to złoto, Hitler nie będzie mógł go wydać, prawda? A zgodnie z tym, co mówił Duttmann, jest to równie dobre, jak zatopienie flotyli niszczycieli albo zestrzelenie całego pieprzonego dywizjonu Messerschmittów, prawda?

Zmarszczyłem brwi. Pomysły Trappa, gdy tylko zahaczały o sprawy finansowe, zaczynały sprawiać wrażenie bardzo logicznych. Niewątpliwie zwariowane otoczenie “Charona” zaczynało oddziaływać na mój własny sposób myślenia.

Wciąż jednak wszystko wyglądało zbyt prosto. Zbyt oczywiście.

Co zapewne oznaczało, że w postawionym na głowie świecie “Charona” cała ta cholerna operacja zakończy się katastrofą.

–Moje spotkanie z panami – stwierdził sucho Duttmann – było zupełnie przypadkowe. Zapewne pamiętacie, panowie, że wspomniałem wcześniej, że moja flotyła Schnellbootów została

częściowo odkomenderowana do eskortowania ważnych transportów w czasie ich drogi powrotnej do Niemiec.

–Aha – mruknął Trapp jak urzeczony.

–Cóż, moje obecne zadanie polega na spotkaniu w określonym punkcie włoskiego statku i eskortowanie go do pewnego miejsca u libijskiego wybrzeża. Czas spotkania: szósta zero zero.

–No to czemu się pan do nas przyczepił, Duttmann? Skoro miał pan co innego do roboty?

–Byłem zaciekawiony – uśmiechnął się ze smutkiem. – Wyglądałoście trochę... hmm...

–Osobliwie? – skinąłem głową. Brzmiało to prawdopodobnie.

–A co się zdarzy, kiedy pan i Italianiec dotrzecie już do tego miejsca?

–Będzie na nas czekał Wehrmacht. Przywiozą złoto, które będziemy musieli przetransportować. Chyba do Tarentu.

–No więc? – wzruszyłem ramionami.

Tym razem Duttmann uśmiechnął się szeroko, bardzo szeroko. Był to taki sam chłopięcy uśmiech jak ten, którym Trapp starał się osłodzić swoje najbardziej zatrute pigułki.

–Załóżmy, że nasi włoscy przyjaciele będą mieli... opóźnienie – powiedział ostrożnie. – A ten statek, “Charon”, będzie czekał zamiast nich na załadunek?

Wytrzeszczyłem na niego oczy. Potem na Trappa. A Trapp po prostu siedział, patrzył na nas obu, na jego zaś twarzy niczym cholerny słonecznik powoli rozkwitał wielki uśmiech.

–Korvettenkapitan... – rzekłem z zamierającym sercem – pan jest jeszcze większy wariat niż on. Czy pan rzeczywiście wierzy, że ta stara ruina może bezczelnie podpłynąć na oczach całej niemieckiej armii i mieć nadzieję, że pomylą go z włoskim frachtowcem tylko dlatego, że wypiszemy mu na dziobie “Leonardo da Vinci” albo coś w tym rodzaju i wywiesimy włoską flagę?

Duttmann wciąż się uśmiechał, lecz tym razem dosyć kwaśno. – O ile mogłem się zorientować, kapitanie Miller, Kriegsmarine i Luftwaffe postępowała dokładnie w taki sposób przez kilka miesięcy. Sam tak zrobiłem, przypomina pan sobie?

Opadłem w swój fotel potrząsając z niedowierzaniem głową.

–Ale złoto, do licha! Ktoś, kto będzie dowodził tą kolumną pancerną, chyba nie przekaże go bez ustalenia naszej tożsamości... naszych pełnomocnictw...

Trapp zaczął już sam sobie składać gratulacje. Ale miał powód ku temu. Jego sen stawał się jawą. Duttmann tylko wzruszył ramionami.

–Gdyby był pan majorem Afrika Korps oczekującym na włoski statek, który przybywa dokładnie o czasie w ściśle określone, tajne miejsce...

...i jest eskortowany przez niewątpliwie niemiecki okręt wojenny,

to czy miałby pan jakieś wątpliwości, panie Miller?

Mrugnąłem do Trappa i zadrżałem. Nagle wydało mi się, że jest tu diabelnie zimno.

–To nieprawdopodobne! – powiedziałem po raz dziesiąty. – Cały ten cholerny pomysł jest niewiarygodnym, zbrodniczym szaleństwem, od samego początku skazanym na niepowodzenie.

–Ale co pan naprawdę o tym myśli? – zapytał Trapp.

–Cóż, warto spróbować – mruknąłem.

Słabiutko.

Rozdział 10

Do następnego poranka pogoda się poprawiła i tylko niewielka fala marszczyła powierzchnię morza.

Stałem obok Duttmanna na otwartym pomoście S-boota ciesząc się pędem ścigacza niosącego nas przez skąpane w brzasku Morze Śródziemne. Czułem jedynie dygotanie pokładu pod stopami, wiatr uderzający w twarz i słyszałem gardłowy, pulsujący ryk dieslowskich silników nadających nam prędkość czterdziestu dwóch węzłów.

Chwilami nie mogłem powstrzymać się przed spoglądaniem do góry na wyprężoną pod wpływem pędu powietrza czerwoną i białą banderę z czarną swastyką. Przypominała mi ona arogancko o mojej obecnej sytuacji... o międzynarodowej, całkowicie prywatnej spółce, która sprawiła, że pomysł powołania

do życia HMS "Charon" wydawał się przy niej błahy i szary.

Ale tylko w przypadku, gdybyśmy mogli rzeczywiście uwierzyć w słowa człowieka ubranego we wrogi mundur...

Zerknąłem na stojącego obok mnie Duttmanna. W swojej czapce z daszkiem sprawiał wrażenie typowego hitlerowca – blondyn, przystojny i z tą pewnością siebie, która sugerowała pełne oddanie... ale jakiej sprawie?

Czy dowódca S-boota istotnie wycofał się z wojny – czy też prowadzi jakąś skomplikowaną grę mając Trappa za przeciwnika?

Grę w Przetrawanie.

Grę, w której Trapp właściwie spadł już ze szczytu ligowej tabeli.

Spostrzegł, że go obserwuję i uśmiechnął się: – Ciągłe ma pan wątpliwości, kapitanie Miller? Czy można mi ufać, czy nie?

Wzruszyłem ramionami.

–Będę je miał do chwili, kiedy zobaczymy ten włoski frachtowiec. Potem będę już wiedział.

–Ale jest pan zaniepokojony?

Odwróciłem się i spojrzałem znacząco na mata Mulhollanda, który stał w drugim końcu pomostu na rozstawionych nogach, amortyzując bez trudu podskoki ścigacza i trzymał Stena wymierzonego niedbale w plecy Duttmanna. Jednocześnie marynarz artylerzysta Clark miał pod lufą tych kilku członków

załogi S-boota, którym Trapp pozwolił zostać na pokładzie podczas początkowej fazy operacji "Panzerheist". Przeważnie byli to torpedyści...

Ułożyłem wygodnie mojego Stena w zagięciu łokcia i odpowiedziałem cicho: – Nie, Korvettenkapitan... Jeżeli ktoś powinien się niepokoić, to raczej pan.

Zobaczyliśmy statek tuż po szóstej rano. Początkowo jako odległą plamkę na horyzoncie, która wkrótce powiększyła się i zmieniła w sylwetkę niewątpliwie niegroźnego i zupełnie niewielkiego frachtowca. Wreszcie, gdy zbliżyliśmy się z rykiem jeszcze bliżej, dostrzegliśmy i włoską flagę.

–Zadowolony, kapitanie? – spytał Duttmann.

–Przyjrzyjmy mu się dokładniej – odparłem. – Ale bez stopowania. Czasami zdarzają się przedziwne rzeczy, kiedy człowiek zatrzymuje się koło małych statków handlowych.

Popatrzył na mnie obojętnie przez chwilę, a potem odwrócił się do rury głosowej.

–"Steuerbord funfzehn..."

Schnellboot położył się w łagodnym zakręcie, dzięki któremu znaleźliśmy się w odległości pół kabla od burty włoskiego statku. Była to niemal dokładna kopia "Charona", z tą tylko różnicą, że o jakieś pięćdziesiąt lat młodsza. Jego załoga wyglądała wzdłuż relingów i machała wyrażając oczywistą radość na widok sojusznika, który zjawiał się, żeby ich eskortować...

Podniosłem do oczu doskonale wyważoną lornetkę firmy Liebermann i Gortz. Tęgi mężczyzna w bogato wygalonowanej kurtce stał na skrzydle mostku i patrzył na nas z serdecznym uśmiechem. W chwili gdy zataczaliśmy łuk za rufą statku, spojrzałem nieco niżej. Nazwa i port macierzysty brzmiały: “Virgilio Andreotti... Napoli”.

–W porządku, Duttmann – mruknąłem, opuszczając lornetkę. – Jest pański...

Oddaliliśmy się od płynącego frachtowca na odległość około pół mili, a kiedy Schnellboot zaczął wykonywać szeroki, leniwy zwrot, Duttmann wskazał ręką w stronę rufy.

–Można?

–W porządku, Clark.

Artylerzysta ostrożnie opuścił lufę Stena i natychmiast niemieccy marynarze zręcznie zajęli miejsca przy aparatach torpedowych. Duttmann spojrzał ponuro w stronę Włocha idącego na przecięcie naszego kursu i pochylił się nad rurą głosową.

Bez słowa machnąłem ręką w stronę Mulhollanda, który wycelował stena w głowę nic nie podejrzewającego Niemca. A potem ponownie uniosłem lornetkę i skierowałem ją w stronę szybko zbliżającego się statku.

Przez parę sekund nie mogli się połapać, co się dzieje. Marynarze zgromadzeni przy relingach stopniowo jeden po drugim przestawali machać i patrzyli niepewnie w naszą stronę, aż wreszcie jeden z nich nagle zaczął biec w stronę rufy krzycząc

coś do tęgiego szypra na mostku. Zobaczyłem, jak szyper odwraca się, zaciska ręce na relingu i drętwieje w pozie pełnej niedowierzania...

Duttmann wyprostował się nagle i jego uniesiona ręka opadła gwałtownie w dół.

–“Torpedos... los!”

Whoss... whoss...

–Blackbord dreissig...

Pochyliliśmy się w ostrym, pełnym podskoków i łomotów zwrocie przy całkowicie wyłożonym na burtę sterze. Przed nami ze wzburzonych miejsc, w których torpedy uderzyły w wodę, wyłoniły się ich bliźniacze ślady torowe i pomknęły w stronę celu dwoma pienistymi, zbiegającymi się liniami.

Zarejestrowałem w pamięci obraz włoskich marynarzy – niektórych zastygłych przy relingach, innych biegnących na drugą stronę pokładu – byle dalej od zbliżającego się koszmaru. Tęgi mężczyzna na mostku w ogóle się nie poruszył. Może uzmysłowił sobie całą beznadziejność sytuacji, to, że ucieczka nie ma sensu i tylko nie mógł zrozumieć, dlaczego na litość...

Pierwsza eksplozja wyrzuciła w powietrze całą tylną część pokładu “Virgilia Andreottiego”. Razem z mostkiem, sterówką i kominem.

Drugie trafienie prawie w tym samym momencie zlikwidowało trzydzieści stóp części dziobowej wraz z większością marynarzy.

Nie miało najmniejszego znaczenia, po której stronie pokładu się znajdowali.

A potem statek zniknął. Po prostu. Przechylił się gwałtownie na dziób i ześlizgnął pod wodę z wciąż obracającą się śrubą. Nie zostawił nawet wiru na powierzchni. Dopiero po chwili pojawił się wielki bąbel skotłowanej wody świadczący o tym, że ciśnienie zgmiotło grodzie pustych ładowni. Na morskiej gładzi pojawiło się mnóstwo szczątków, które zaczęły dryfować leniwie po wciąż rozszerzającym się kręgu.

Ciężko opuściłem lornetkę. W ciągu paru ostatnich tygodni widywałem wiele ginących statków, ale los "Andreottiego" wydał mi się szczególnie przejmujący. Tak właśnie mógł zginąć "Charon"... zaledwie wczoraj rano... od ciosów tych samych torped.

–Czy teraz jest pan zadowolony, kapitanie? – zapytał cicho Duttmann.

Spojrzałem na niego. W jego wzroku widniał smutek, taki sam, jaki często widywałem u Trappa. Poza tym jednak jego chłopięca, przystojna twarz była całkowicie obojętna.

–Witamy w Klubie Bezdomnych Korvettenkapitan – mruknąłem. Potem odłożyłem Stena na półeczkę między nami i odwróciłem się do wciąż ubezpieczającego mnie Mulhollanda.

–Jesteście wolni, Mulholland. Możecie iść na papierosa z Clarkiem i naszymi nowymi partnerami.

Stałem może minutę odwrócony plecami do Duttmanna i

patrzyłem, jak brytyjscy oraz niemieccy marynarze na pokładzie rufowym spoglądają na siebie z wahaniem. Wreszcie jeden z torpedystów w mundurze Kriegsmarine uśmiechnął się i wyciągnął paczkę papierosów...

Głos za mną warknął, bardzo zimno: – Miller!

Odwróciłem się. Duttmann stał trzymając zgrabnie Stena, mojego Stena, w swoich aż nazbyt fachowych dłoniach.

Nasze oczy spotkały się. Jego spojrzenie było twarde. Bezlitosne.

A potem rzucił ponuro: – Niech pan nigdy więcej nie zostawia broni na moim mostku w tak zbrodniczo niebezpiecznym stanie, kapitanie Miller. Zrozumiano?

Przesunął rączkę zamka na pozycję “zabezpieczono” i rzucił mi Stena ze złością. Złapałem go i wyjąłem magazynek. Potrząsnąłem nim tak, żeby mógł usłyszeć grzechotanie sprężyny.

–Pusty – oznajmiłem. – To był test lojalności numer dwa, Maks. Widzi pan, nie jesteście z Trappem jedynymi podstępnyimi sukinsynami w tej osobliwej, prywatnej marynarce wojennej...

W czasie naszej drogi powrotnej na spotkanie Trappa i “Charona” spojrzałem z zaciekawieniem na Duttmanna.

–Ma pan na swoim okręcie dwudziestu trzech członków załogi, Maks. Czy rzeczywiście uważa pan, że wszyscy są w równym stopniu mało patriotyczni i... hmm... przestępczo nastawieni jak

nasi ludzie na “Charonie”?

Wzruszył ramionami.

–Być może patriotyzm nie oznacza wcale ślepej wiary w jakąkolwiek sprawę. A w każdym razie nie w Adolfa Hitlera. Ja i moja załoga często dyskutowaliśmy na ten temat. Gdybyśmy jednak odmówili uznania nazistowskiego reżimu, stalibyśmy się tym samym w oczach Trzeciej Rzeszy przestępcami... A jesteśmy również ludźmi praktycznymi, kapitanie. Aż do tej pory nie mieliśmy specjalnej okazji stać się samowystarczalnymi kryminalistami. W każdym razie nie w zakresie, który byłby tego wart.

–Co w takim razie byłoby warte?

Duttmann uśmiechnął się filuternie. Znowu Trapp. – Za te pieniądze można by przekonać Reichsmarschalla Goeringa, żeby głosował na Winstona Churchilla.

Sama myśl o tym, że na Morzu Śródziemnym mogłoby buszować dwóch Trappów, była straszliwa. Pomysł, że banda oprychów, która udawała załogę “Charona”, znalazłaby swoje odpowiedniki na pokładzie Schnellboota, była niemal zbyt przerażająca, żeby się nad nią zastanawiać.

–Ale chyba kilku pańskich ludzi miało opory?

–Dwóch albo trzech. Ale ich przekonaliśmy.

–Przekonaliście?

–Wszystko metodą łagodnej perswazji, zapewniam pana.

Zmarszczyłem czoło. Coś, co męczyło mnie gdzieś w podświadomości, nagle objawiło mi się jasno i wyraźnie.

–Zawsze myślałem, że każda niemiecka jednostka wojskowa ma swojego nazistowskiego anioła stróża. A poza tym w czasie naszego spotkania na pomoście obok pana stał jeszcze jeden oficer...

–Mój były zastępca – oznajmił obojętnym głosem Duttmann. – Był niezwykle zagorzałym hitlerowcem, dopóki Oberbootmann Roder nie wdał się z nim ostatniej nocy w dyskusję polityczną. A ojciec Roderą znajduje się obecnie w Buchenwaldzie. Jeżeli w ogóle się znajduje...

–Był hitlerowcem?

–Obecnie za burtą. Z bardzo mocno zaciśniętym na szyi kawałkiem linki sygnałowej. Tak więc, kapitanie Miller – dodał jakby po namyśle – na pokładzie tego okrętu znajduje się tylko dwudziestu dwóch kryminalistów. Nie licząc oczywiście pana.

–Co to znaczy? Nie umiesz ugotować spaghetti? – wybuchnął Trapp. – Każdy potrafi ugotować spaghetti.

Wróciliśmy do normy. W każdym razie jeżeli chodzi o czerwonego z wściekłości kucharza.

Spojrzałem na zegarek. Już tylko niecała godzina i zobaczymy libijskie wybrzeże i tajny punkt kontaktowy Duttmanna i Afrika Korps. Z prawej burty Schnellboot, ponownie całkowicie obsadzony swą oryginalną załogą – minus jeden – pełził powoli, dotrzymując nam towarzystwa, a jednocześnie na rufie “Charona”

można było odczytać słowa wymalowane najbliżej z białych farb, jaka od pół wieku dotknęła jego kadłuba: “Virgilio Andreotti... Napoli”.

W tym samym czasie Trapp dokładał starań, aby udoskonalić najdrobniejsze szczegóły naszej nowej roli.

Ale jednak...

–Jestem greckim dżentelmenem... – odwrzaskiwał radośnie kucharz. – A żaden grecki dżentelmen nigdy w życiu nie będzie gotował spaghetti w hotelu “Majestique”...

–To jakim cudem mamy wyglądać jak italiański statek... i zajeżdżać jak italiański statek – powiedział niemal błagalnie Trapp – kiedy cholerny kucharz nawet nie potrafi ugotować pieprzonego spaghetti...

Ostatecznie przybyliśmy do punktu przeładunkowego o wpół do czwartej po południu.

Była to posępna, pusta zatoczka, z krótkim, kamiennym mołem przeładunkowym. A poza tym w promieniu wielu mil – tylko dysząca żarem pustynia spieczona czarne skały i skorpiony.

I ani śladu Afrika Korps. Niczego. Tylko pustka i piasek. I strach.

Zgodnie z radą Duttmanna przycumowaliśmy do rozpadającego się mola, podczas gdy jego okręt pozostał kilkaset jardów od brzegu ze zgaszonymi silnikami i dziobem skierowanym w stronę otwartego morza. Załoga Schnellboota przez cały czas znajdowała się przy działach i ponownie załadowanych aparatach

torpedowych.

W pocie czoła i klnąc dziko zdołaliśmy obrócić “Charona” tak, że również był gotów do odwrotu. Postarałem się jednak ustawić go w taki sposób, żeby burta skierowana była w stronę punktu, gdzie molo łączyło się z lądem – jedyne miejsce, w którym mogły zostać zaparkowane pojazdy.

A potem po cichutku wycelowaliśmy również nasze działa. Crocker i jego podwładni w przypominającej rozpalony piec ładowni numer dwa oraz obsługa Boforsa zamknięta w swojej pseudoskrzyni, która nie uchroniłaby ich nawet przed pociskiem lugera.

Duttmann zszedł na brzeg, kiedy byliśmy już całkowicie gotowi. Wrażenie, jakie wywrzemy na Afrika Korps, zależy będzie od niego.

A potem zaczęliśmy czekać – i Niemcy, i Brytyjczycy.

Oraz pocić się jeszcze bardziej.

Nikt się nie odzywał. Nawet Trapp.

Chyba zresztą dopiero teraz zaczęliśmy sobie uświadamiać prawdziwą stawkę podjętej przez nas gry.

Dwadzieścia po czwartej... w pół do piątej... Opierając się na relingu czułem, jak pot spływa strumykami po moich nagich ramionach i tworzy maleńkie jeziora na drewnianej poręczy. Tym razem ja nie musiałem się ukrywać... tylko obsługi dział.

Zresztą było to naszym największym zagrożeniem. Jeżeli wojsko

zechce wejść na pokład...

Duttmann i jego dwóch uzbrojonych w Schmeissery marynarzy stali na molo czekając w milczeniu. Nawet Maks zdawał się trochę usychać z gorąca albo też dawało o sobie znać napięcie nerwowe?

Zawołałem niezbyt głośno: – Czy jest pan pewien, że to właściwe miejsce?

Zerknął w górę. Po raz pierwszy od chwili naszego spotkania sprawiał wrażenie zaniepokojonego. – Może RAF?...

Jeden z niemieckich marynarzy rzekł nagle: – “Bitte! einen Moment, Kapitan...”

Duttmann przerwał gwałtownie i zaczął nasłuchiwać. Uniosłem głowę i przyłożywszy pospiesznie lornetkę do oczu zacząłem wpatrywać się w odległe o jakieś dwie mile wierzchołki wydm. Wtedy również usłyszałem – odległy warkot silników.

–Jadą! – zawołał Duttmann, niemal nie ukrywając ulgi dźwięczącej w jego głosie. Nie odpowiedziałem mu, lecz ulga nie była w tej chwili moim dominującym uczuciem.

Trapp wyszedł ze sterówki i oparł się o reling obok mnie.

–Nie daliby mu nawet czyścić toalet w hotelu “Majestique” – mruknął. – Cholerny kucharz!

–Jadą – przekazałem mu wiadomość w nadziei, że wreszcie zapomni o kucharzu.

–Najwyższa pora – parsknął z irytacją. – Nic dziwnego, że przegrywają wojnę, skoro nie są w stanie zdążyć na czas z naszym półtora...

–Uwaga Crocker – rzuciłem ostro do telefonu. – Zaczyna się.

–Gdzie ma pan zamiar umieścić ten cały majdan, sir? Chyba nie powinno się im pozwolić na to, żeby zdjęli pokrywkę z naszej kryjówki, prawda?

–Tylne części ładowni numer jeden, bosmanie. Otwieramy luk za skrzynią z Boforsem. Będziecie dziś spać, chłopaki, na osiemnastokaratowych poduszkach.

Zachichotał do słuchawki. – To, z czego utkane są sny... Jesteśmy gotowi, sir.

–Potwierdzam. I mam nadzieję, że nie będę musiał was wzywać, dopóki wszystko się nie skończy.

Spokój w głosie Crockera dodawał otuchy. – Jeżeli nas pan wezwie, obiecuję, że odpowiem. I to szybko.

Odłożyłem mikrotelefon tuż obok mojego Stena tak, żeby w razie potrzeby móc bez trudu schwycić jedno albo drugie. A potem uniosłem lornetkę i zacząłem liczyć pojazdy, które ukazywały się zza wydm ciągnąc za sobą wiszącą w powietrzu chmurę pyłu.

Na przedzie półgąsienicowy transporter, potem coś, co przypominało ciężki samochód pancerny. Następnie znowu dwa półgąsienicowe transportery piechoty... dwie duże ciężarówki... i jeszcze mały czołg... i nic więcej.

A więc to jest ta złota kolumna. Dzięki Bogu, nie ma pięćdziesięciotonowych czołgów, ale diabelnie duża siła ognia z broni małokalibrowej oraz coś może o wiele mocniejszego w samochodzie pancernym i czołgu. Zrobiłem gwałtowny ruch ręką w stronę stojącego na molo Duttmanna.

–Co pan o tym sądzi, Maks?

–Uważajcie na Panzerspahwagen. To puma, samochód pancerny. Najnowszy model – ma pięćdziesięciomilimetrowe działo i bez trudu rozwija prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Czołg to stary PZKW II, chyba z dwudziestomilimetrowym działkiem... żaden problem.

–Dopóki nie zaczną do nas strzelać – rzuciłem ponuro. Ale to samochód pancerny – puma – sprawiał naprawdę paskudne wrażenie. Zdecydowanie mordercze narzędzie. Mimo gorąca, jakie panowało na mostku, przeleciał mnie dreszcz.

Potem prowadzący transporter rycząc i podskakując na nierównościach ruszył w naszą stronę po kamiennym molo, podczas gdy pozostała część niemieckiej kolumny zatrzymała się wznosząc tumany kurzu dokładnie w tym miejscu, gdzie przewidywałem.

Natychmiast wieżyczka tej cholernej Pумы zaczęła się obracać, aż do chwili, gdy spojrzałem nerwowo w otwór lufy nieprzyjemnie dużej armaty. Ktokolwiek dowodził tym samochodem pancernym, musiał być człowiekiem, którego wojna pozbawiła zaufania do bliskich.

Jednakże pozostali przedstawiciele Afrika Korps nie sprawiali

wrażenia szczególnie zaniepokojonych. Trochę zesztyniali żołnierze powyskakiwali z transporterów i zaczęli bezładnie zajmować obronę zwróconą frontem w stronę lądu. Od czasu do czasu rzucali zdziwione, nieco niedowierzające spojrzenia w stronę "Charona" zapewne myśląc ze współczuciem, że ich włoścy sojusznicy istotnie muszą sięgać po resztki swoich morskich środków transportowych.

Nawet załoga niewielkiego czołgu wyglądała na uszczęśliwioną możliwością wypełnienia ze swojego stalowego pudła i wyciągnięcia się w cieniu ich pomalowanego na piaskowy, maskujący kolor pojazdu. Ja jednak starałem się nie spuszczać oczu z czteroosiowej Pумы...

Oficer dowodzący kolumną wyskoczył ze swojego transportera tuż poniżej mostku i zasalutował czekającemu Duttmannowi. W skórzanym płaszczu i wiszącymi niedbale na szyi ochronnymi goglami, które zostawiły wyraźne, wolne od kurzu owale wokół jego bladoniebieskich oczu, wyglądał jak kopia samego Rommla.

–"Heil Hitler!"

Duttmann odsalutował, ale w tradycyjny sposób, nie unosząc ręki w hitlerowski pozdrowieniu. – "Guten Abend, Herr Major" – odparł spokojnie.

Major popatrzył na nas do góry przez, miałem wrażenie, bardzo długą chwilę. Na jego twarzy malował się wyraz nie skrywanej dezaprobaty połączonej być może z pełnym niepokojem powątpiewaniem. Spoglądałem na niego tępo, uświadamiając sobie, że serce tłucze mi się jak wściekłe, aż nagle stojący obok mnie Trapp uśmiechnął się i zaczął kiwać głową.

–Eil Itler!” – zawołał. – “Viva la Duce! Un bichiere grande di birra, eh majore?”

Niemiecki major spojrział z zakłopotaniem, a Duttmann zamknął oczy.

–Na rany boskie... – wyszeptałem gorączkowo. – Zdawało mi się, że pan nie mówi po włosku...

–Nie mówię, pierwszy – mruknął Trapp z przylepionym do twarzy uśmiechem. – Tylko potrafię zapytać, czy chce szklanę piwa... Ten skurwiel wygląda mi na diabelnie podejrzliwego...

–“Verzeihen Sie, Herr major... – odezwałem się pośpiesznie. W gardle mi zaschło, ale zmusiłem się, by ciągnąć dalej w języku, który, miałem głęboką nadzieję, przypominał wymawiany z włoska niemiecki. – Mój “capitano, on pyta, czy pan życzy sobie szklanę piwa?”

Zobaczyłem, że dwaj stojący za Duttmannem marynarze przesuwają się od niechcienia tak, że lufy ich Schmeisserów skierowały się na majora. Bez względu na to, co się jeszcze zdarzy, nie miałem już wątpliwości co do lojalności dobrowolnych banitów Maksa. Wreszcie piechocinieć uśmiechnął się trochę blado i skinął głową. – “Danke, Kapitan?”

I ku mojej nieopisanej uldze zwrócił się do Duttmanna. Starłem się pochwycić sens prowadzonej szybko rozmowy.

–Czy rzeczywiście uważa pan ten statek za odpowiedni, Korvettenkapitan? Tego “Virgilia Andreottiego”?

Duttmann skinął głową, a potem dorzucił coś po cichu. Major z Afriki Korps odwrócił głowę, popatrzył chwilę na Trappa i nagle wybuchnął rubasznym śmiechem. Duttmann również uśmiechnął się do nas trochę przepraszająco, podczas gdy uśmiech Trappa sprawiał wrażenie wykutego w granicie.

Wreszcie major wyciągnął rękę. Był wyraźnie we wspaniałym humorze. – W takim razie zapoznam się z pańskimi papierami i rozkazami. Im prędzej wydostaniemy się z tego zawszonego pieca, tym lepiej...

Duttmann wyciągnął plik papierów i wspólnie ruszyli w stronę transportera. Gdy tylko odwrócili się do nas plecami, mina Trappa zmieniła się we wściekły, pełny urazy grymas.

–Co on o mnie powiedział? – zapytał ze złością. – Duttmann coś o mnie powiedział, prawda?

Zacząłem przygotowywać się do zanieśienia piwa niemieckiemu oficerowi. Na całym "Charonie" nie było nikogo, komu mógłbym zaufać bez obawy, że przy okazji nie spieprzy całej sprawy.

–Nie wiem, co naprawdę o panu powiedział – odgryzłem się złośliwie. – Ale cokolwiek to było, Trapp... to po prostu musiała być prawda.

Zaczęli ładować złoto dokładnie o siedemnastej zero zero.

Żaden niemiecki żołnierz nawet nie próbował wejść na pokład. Duttmann bardzo stanowczo stwierdził, że ze względów bezpieczeństwa nie może być mowy o żadnym brataniu się Wehrmachtu z załogą "Charona"... to znaczy "Virgilia

Andreottiego” ...

Obserwowałem, jak pierwsze, rozczarowująco małe, zapieczętowane skrzynki wnoszono z ciężarówki po naszym trapie na górę, gdzie przejmował je milczący Grek Polly, wybrany dlatego, że z całej tej kosmopolitycznej zbieraniny najbardziej wyglądał na Włocha.

Z drugiej jednak strony skrzynki, choć małe, warte były około dwudziestu tysięcy funtów każda. Po raz pierwszy w życiu widziałem, że Trapp nie był w stanie nic powiedzieć. Nawet się spierać.

I to było najlepsze, co przytrafiło mi się tego dnia.

O 17:10 zdarzyło się coś, co poprawiło mi samopoczucie.

Czteroosiowa, opancerzona Puma odjechała. Ale Duttmann szepnął do mnie: – Odjechali tylko za wydmy na patrol rozpoznawczy. Pewnie zaraz wrócą.

Mimo to jednak poczułem się o wiele lepiej, kiedy ta podejrzliwie patrząca armata przestała spoglądać w moją stronę.

O 17:40 pierwsza ciężarówka była już pusta.

“Charon” stał się obecnie wart mniej więcej półtora miliona franków.

Albo jak powiedział Trapp nie posiadający się z ledwo skrywanego szczęścia: – To nasza działka. Teraz musimy załadować część Duttmanna.

O 17:50 zaniósłem Herr majorowi kolejną szklankę piwa.

O 17:56 zastrzelono go.

Bardzo dokładnie. Z karabinu maszynowego. Z pokładu “Charona”...

Rozdział 11

Do tej pory wspominam to jako niewyraźny koszmar. Próbuję odtworzyć właściwą kolejność wydarzeń i tego, w jaki właściwie sposób przyjęły one zły obrót.

Właśnie wróciłem na mostek po wręczeniu majorowi jego drugiego piwa. Czułem, jak szklanka ziębi mi dłonie i przypominam sobie, że była cała pokryta drobnymi, zmrożonymi kropelkami rosy.

Trapp odwrócił się do mnie trzymając w dłoni lornetkę. – Prawie ukończyliśmy załadunek i Maksio wrócił już na swojego S-boota – oznajmił. Był uszczęśliwiony jak dziecko nową zabawką. Ze szczerego złota.

Wziąłem od niego lornetkę i skierowałem na ścigacz. Zobaczyłem Duttmanna wchodzącego na pomost i szykującego się do wyjścia w morze.

–Nie traci czasu – mruknąłem zadowolony. – Bardzo dobrze. Im szybciej się stąd wyniesiemy...

I wtedy właśnie – stało się!

Drzwi od składziku bosmańskiego w nadbudówce dziobowej

otworzyły się gwałtownie z przeraźliwym łomotem i niesamowita, nieopisana brudna zjawia wytoczyła się na pokład z łomem w rękach.

Trapp, ja, załoga "Charona" i wszyscy niemieccy żołnierze w sąsiedztwie statku odwrócili się oszołomieni.

Postać tymczasem mrugała oślepią nagle słonecznym blaskiem i rozglądała się wokół, patrząc z narastającym niepokojem na półkole transporterów i ciężarówek, i na czołg – i na wymalowane na nich czarne, niemieckie krzyże. Oraz na coś, co musiało sprawiać wrażenie dobrej połowy Afrika Korps kierującej na niego lufy karabinów...

–Szkopy!... wymamrotał. – ŁO Jezu, pieprzone Szkopy nas zgarnęły!...

–Trapp? – Wychrypiałem zdrętwiałymi ustami. – Czy przypadkiem nie zapomniał pan powiedzieć Gorbalsowi Wullie'emu o naszej maleńkiej imprezie...

Trapp zamknął oczy. – Dlaczego to zawsze ja muszę o wszystkim pamiętać na tym cho...

W tej właśnie chwili świeżo ekshumowany Gorbals Wullie wydał z siebie bojowy ryk, którym wybaczał wszystkie urazy:

–Nie martw się pan, kapitanie! Nie dam was, chłopaki, tym pieprzonym hitlerowskim skur...

Zerwał pokrywę skrzyni na warzywa okrywającej jego ukochany karabin maszynowy i wywalił pięciosekundową serię w opiętą

skórzanym płaszczem pierś niemieckiego majora, który jakby nie wierząc własnym oczom ciągle trzymał w dłoni opróżnioną do połowy szklankę zimnego jak lód piwa.

–No, to załatwia sprawę! – warknął Trapp i ruszył do akcji.

Chwyciłem mikrotelefon. Błyskawicznie!

–Crocker! Czołg – Ognia!

Klapy opadły, zanim skończyłem mówić. Najwidoczniej pierwsze strzały Wullie'ego zniweczyły znacznie więcej niż nieznośne samozadowolenie Herr majora.

Modliłem się histerycznie: – Proszę cię, działo! Proszę, tylko się teraz nie zatnij...

Trapp w sterówce: – Czif! Daj mi pan wszystko, co możesz i jeszcze trochę...

Boki skrzyni na przednim pokładzie rozpadają się z głuchym trzaskiem i długa lufa zaczyna obracać się do góry i w bok, w miarę jak ręce celowniczych obracają błyskawicznie pokrętła... Piaskowe mundury rozbiegające się na wszystkie strony, podczas gdy pociski z kaemu Wullie'ego wzbijają fontanny piachu wielkimi, zamaszystymi 'f3łkolami... Trzej czołgiści wspinający się rozpaczliwie na wieżyczkę swojego pojazdu...

Crocker. Cudownie. Ognia!

Bam!

Czołg przekształca się w pęczniejącą pomarańczową kulę z

rozpostartym na jej szczycie człowiekiem skręcającym się obrzydliwie w powietrzu...

–W ielu, Crocker. Przenieść ogień na transportery, na transportery...

–Ładuj... cel...

Ktoś krzyczy z bólu. Kierowca wozu dowodzenia poległego majora... – “Ich Verstehe nicht... ich Verstehe nicht...” – Ma do połowy urwane prawe ramię...

–Ooognia!

Bam!

A teraz Bofors. Strzela przesuwając poziomo lufę. Pom... p. pom! P...m...

Ale z ich strony też zaczynają rozlegać się strzały. Od czasu do czasu pociski gwizdzą i posykują wokół nas. Grupa żołnierzy na linii obrony próbuje odwrócić swój ciężki Spandau, żeby stawić czoło swoim sojusznikom... Nam. Wszyscy mają pobladłe, zastygłe twarze.

P Usta ciężarówka odjeżdża w chmurze pyłu wyjąc silnikiem na wysokich obrotach... Bofors trafia ją czysto, kiedy wóz dociera już do połowy wydmy... Samochód przewraca się z łomotem i brzękiem, i zaczyna płonąć. Z kabiny kierowcy nikt się nie wydostaje.

Nowa strzelanina. W oddali. Co u diabła...

Trapp ryczy jak wariat:- Duttmann! Przyłączają się do nas z S-bootem, pierwszy!

Obracam się gwałtownie, żeby spojrzeć w stronę morza. Niski, szary ścigacz torpedowy płynie wolno wzdłuż brzegu plując ogniem z wszystkich luf. A więc biedny Duttmann rzeczywiście spalił za sobą mosty, skoro zabrał się za zabijanie Niemców. Swoich rodaków. Ale musiał być na to przygotowany już od dawna... kiedy rozpoczął atak na "Virgilia Andreottiego"... prawdziwego "Andreottiego".

Dom wariatów, szaleńcza strzelanina. Bofors, cekaemy, działka 37 i 207mm, Steny, Schmeissery, Lugery...

Bam! Transporter opancerzony eksploduje chmurą piasku i czarnego dymu.

Nasze działko 4,7 cala...

Grek Polly szczepiony z niemieckim kapralem w potężnym, miażdżącym ucisku pod odchyłoną tylną klapą ciężarówki, ogarnięty szaleństwem walki na arenie o dachu wartości pół miliona funtów. Drugi żołnierz Afrika Korps przebiega obok z plującym ogniem Schmeisserem i w podnieceniu załatwia ich obu długą serią... Wtedy Wullie rycząc jak opętany, swoją serią zbija go z nóg i ciska nim o resztki ładunku.

Drzazgi desek i spadające, podskakujące sztabki lecą jak lawina i rozsypują się złotą plamą na przesiąkniętym krwią piasku.

–Jezu! – jęczy Wullie nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Czarny Joseph Bez-nazwiska galopuje przez pokład szaleńczo wymachując wielkim, połyskującym nożem i drze się na całe gardło.

–Jezu! – powtarza Wullie. Dopiero teraz zaczyna mu świtać, co narobił. W tej samej chwili ręka w rękawie z naszywkami feldfebla ukazuje się nad nadburciem i robi spokojny zamach. Coś toczy się po pokładzie i wreszcie zatrzymuje się dokładnie koło podstawy kaemu Wullie'ego.

–Granaat! – drę się. Joseph zmienia kierunek swego szaleńczego biegu i kopie go. Granat toczy się parę jardów i zatrzymuje na sterczącym sworzniu. Wybuch, gdy Joseph pada na niego z rozpędu i widzę, jak jednonogi trup, wciąż z nożem w ręku, robi salto nad relingiem, i spada na molo.

Ryk Trappa: – Dziobowe rzuć... Rufowe rzuć...

Ja zaś wychylam się ze skrzydła mostku i pakuję cały magazynek Stena w feldfebla.

–O Jezu! – powtarza Wullie po raz trzeci, blady jak upiór. A potem znowu zaczyna strzelać.

Pom... pom... pom... pom! Pom... pom... pom... pom!

Bam!

–Ładuj. Cel. Stanowisko...

Drobniutki Babikian, przerażony do utraty zmysłów, czołga się w stronę dziobu... Szereg dziur po pociskach pojawia się nagle na pokrywie luku tuż przed nim i drugi oficer zastyga rozplaszczony

na pokładzie obejmując głowę ramionami... Artylerzysta z obsługi Boforsa podryguje nagle na swoim siodełku jak szmaciana lalka i osuwa na bok. Przypomina teraz zepsuta, zakrwawioną kukielkę.

Trapp przesuwając rączki telegrafu maszynowego na "Pół naprzód". A potem pędzi, żeby przechylić się przez reling i ryknąć na sparaliżowanego strachem Babikiana... – Rusz no swój tyłek i zmiataj na dziób.

Drzazgi wytryskują idealnym półkolem ze ścianki sterówki w odległości trzech cali od zgarbionej postaci Trappa. Podrywa się i stwierdza z rozjątrzeniem: – Cholerni Niemcy... Mówiłem, że nie można im ufać! – a potem znika w głębi sterówki, żeby zakręcić z całej siły kołem sterowym w prawo.

Ciężki karabin maszynowy otwiera do nas ogień z oddalonego o osiemdziesiąt jardów wierzchołka niskiej wydmy. Pociski trafiają wokół nas pod każdym możliwym kątem, podczas gdy pokład zaczyna wibrować w takt naszej wolno obracającej się maszyny. Ale nic się nie dzieje... Dziób "Charona" wciąż jest przycumowany do mola nie dającą się zerwać pępowiną liny manilowej...

–Babikiaaan!

Chłopak szłocha, a potem zrywa się na nogi. Jest już w połowie trapu, kiedy trafia go seria z cekaemu, szarpie nim w bok i przerzuca przez reling, w wodę... Zaczynam biec i rzygać jednocześnie...

Nagle na przednim pokładzie wyprzedza mnie krągły,

czewonogęby tajfun i wrzeszcząc wściekle po grecku dosłownie wlatuje podziurawionym kulami trappem na pokład dziobowy. Dostrzegam przez moment trzepoczący, niewiarygodnie brudny fartuch i trzymany przez tłuściocha tasak opada z błyskiem w dół. Ostatnia cuma łącząca nas z mołem pęka z głuchym dźwiękiem.

Kucharz macha z triumfem tasakiem w stronę stojącego w sterówce Trappa i krzyczy radośnie: – to jednak potrzebujesz mię pan, pańskiego cholernego kucharza, żebym pomógł panu na tym statku, co? Kiedy byłem w hotelu “Majes...”

Słyszę dobiegający z wydmy terkot Spandaua i padam na pokład długim, rozpaczliwym szczupakiem. – Padnij, na litość...

I kucharz pada, a właściwie siada gwałtownie – ciągle z wyrazem pełnego, ostatecznego triumfu na krągłej twarzy. Tylko nie ma już całego tyłu głowy...

W tej samej chwili Trapp ryczy nagle w sterówce jak oszalały byk:

–Dopieprzcie im! – wrzeszczy głosem, jakiego dotąd u niego nie słyszałem. – Dopieprzyć tym cholernym, przeklętym skur...

Działo 4,7 cala, Bofors, – S-boot i cekaem Wullie'ego odzywają się grzmiącym rykiem. Pustynia wybucha jedną wielką, przesuwającą się z wiatrem chmurą piachu. Kiedy pył opada, nie ma już śladu po karabinie maszynowym. Nie ma już nawet samej wydmy...

I nagle wokoło zapada cisza.

Jedynie potrzaskiwanie ognia w płonącym transporterze i jęki rannego, na wpół zasypanego piaskiem żołnierza zakłócają milczenie pustyni. I dudnienie maszyny "Charona" zaczynającego oddalać się od tego szlachtuza.

Mikrotelefon odzywa się zaniepokojonym głosem: – Sir? Czy na górze wszystko O\$K?... – Ale nie odpowiadam. Nie mogę. Patrzę z osłupieniem na Trappa.

A on po prostu stoi jak posąg z wzrokiem wbitym w tęgiego człowieka w brudnym, poplamionym krwią fartuchu, siedzącego z tak nietypowym dla niego spokojem na podziurawionym pociskami pokładzie dziobowym.

I po ogorzałych policzkach dowódcy spływają łzy.

Bowiem komandor podporucznik Edward Trapp – płacze.

I na tym wszystko powinno się zakończyć. Naprawdę powinno...

Odwróciłem się od Trappa z uczuciem lekkiego zakłopotania. Przestrzeń wody między nami i mołem powiększa się z wolna... Pięćdziesiąt jardów... Siedemdziesiąt pięć...

Mikrotelefon odezwał się ponownie. Nagłaco. – Czy wszystko w porządku, sir?

Skinąłem głową. Wkrótce sam się przekona. – W porządku, Arturze!... sto jardów... sto dwadzieścia...

Wtedy usłyszałem warkot silnika.

Początkowo wydawało mi się, że to Schnellboot Dutmanna

krążący powoli w odległości dwu kabli od brzegu i oczekujący, aż zakończymy nasz manewr. Jednak odgłos pracy silnika stawał się coraz głośniejszy i zaczynałem odwracać się w stronę zasłanego szczątkami brzegu uświadamiając sobie nagle...

Warkot zaczął przeradzać się w dudniący ryk i czteroosiowa Puma z pięćdziesięciomilimetrowym działem przeskoczyła przez łańcuch wydm i runęła w naszą stronę z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę.

Czując ogarniającą mnie beznadziejność zawyłem do mikrotelefonu: – Otworzyć ogień... Otworzyć ogień! – zdając sobie doskonale sprawę, że nawet cudownie precyzyjny Crocker nie utrzyma w celowniku tego szybkiego, wijącego się w unikach wozu bojowego. Nasze działo było zbyt nieporęczne, zbyt wolne w obsłudze, a pociski Boforsa miały zbyt mały kaliber, żeby przebić pancerz pędzącej pięćdziesiąt mil na godzinę PUmy.

Ale obsługa Boforsa próbowała.

Pom... pom... pom... pom! Pom... pom... pom... pom!

Bam!

Olbrzymia fontanna piachu wystrzeliła w powietrze przed samochodem pancernym. Z pełną wściekłości pogardą przebił się przez powstałą zasłonę i poślizgnięciem w prawo wykonał precyzyjny unik, dzięki któremu pierwsza seria Boforsa skotłowała jedynie piasek w odległości pięćdziesięciu jardów.

–OGNIA! – drugi wybuch... dziesięć jardów za Pumą. Samochód pancerny zerwał się z miejsca, gwałtownie zmieniając

kierunek. Mrugnąłem w oszołomieniu, ale prawie natychmiast zobaczyłem – długi czarny welon dymu płonącej ropy w rozbitym lekkim czołgu kłębiący się nieprzenikliwą zasłoną nad pobojowiskiem...

–Dym, Crocker – wrzasnąłem. – Chce się ukryć w dymie!...

Jeszcze kilka nieskutecznych fontann piasku za samochodem pancernym, który wpadł w czarną zasłoną i zniknął w niej całkowicie, jakby go jakimś cudem stąd zabrano. Działo ponownie ryknęło gniewnie, ale nie było już niczego, co mogłoby stanowić cel... – Stop... stop... stop! – warknąłem nerwowo.

Trapp wychylił się ze sterówki. Już otrząsnął się z żalu po poległym kucharzu. – Cała naprzód, czif. I odkręć pan zawory, tak jakbyś miał pan zamiar spuścić parę!

Czekaliśmy. Trwało to zaledwie parę sekund, ale sprawiało wrażenie całej wieczności. I przez cały czas słyszeliśmy Pumę, jej ciągły ryk silnika. Nie byliśmy jednak w stanie zlokalizować źródła dźwięku, kierunku, z którego dobiegał. W którą stronę zakręca... W lewo... czy w prawo? I w którym miejscu się ukażą... z którego fragmentu kotłujących się kłębów dymu?

Trapp wyprostował ster i zawołał ostro: – Słyszę go, Miller. Z prawej, mniej więcej dziesięć rumbów ku rufie.

Spojrzałem na niego z niepokojem. Dla mnie dźwięk dobiegał z lewej strony. Wyraźnie z lewej.

–Pośrodku, kapitanie! – wrzasnął z powstrzymywanym podnieceniem od swojego karabinu maszynowego niezłomny

Gorbals Wullie. – Słyszę ten szwabski motór, jak zasuwa prosto w środku dymu...

W tej samej chwili od strony morza rozległ się następny, potężny ryk silnika. Zaskoczeni, odwróciliśmy się gwałtownie i zobaczyliśmy, jak dziób S-boota unosi się ku górze, a za rufą oddalającego się ścigacza wzdyma się biała fala wzburzona pracującymi na pełnych obrotach śrubami...

–Zwiewa – stwierdził Trapp z niedowierzaniem. – Ten mięczak spieprza i zostawia nas z ręką w nocniku...

–Powinien się pan cieszyć, Trapp – popatrzyłem na niego złośliwie. – Teraz całe złoto należy do pana i mam nadzieję, że uzna pan, że warto było tylu ludzi...

–Cel z LEWEEEEJ!

Puma wyskoczyła z dymu. Pędzi w stronę mola i pełznącego wolno "Charona". Teraz nasi artylerzyści stanowili żywe cele w strzelnicy, jaką stała się stalowa jaskinia ładowni numer dwa.

Wieżyczka Pумы zaczęła mrugać rozbłyskami. Bez pośpiechu i z zimną precyzją.

Jak w transie słuchałem dobiegającego z mikrotelefonu spokojnego, zrezygnowanego głosu Cockera. Po raz pierwszy brzmiała w nim również nuta rozpacz:

–Przepraszam, sir. Pomyliliśmy się o dwadzieścia stopni... Nie damy rady obrócić tej starej ku...

Wtedy zaczęły trafiać nas pociski niemieckiego samochodu

pancernego – zdawało mi się, że tuż pod moimi nogami. Pokład pochylił się, gdy “Charon” zatoczył się w lewo pod ich ciosami. Ponad tym piekłem słychać było ryk Trappa:

–Wracają! Wracają, pierwszy!

Było to dość dziwne stwierdzenie jak na moment, w którym wóz bojowy zajmował się zatapianiem jego statku. Ja jednak czułem się wciąż oszołomiony i ogłuszony wybuchami, które tuż przede mną rozszarpały nasze stanowisko artyleryjskie i z taką samą rezygnacją jak przed chwilą Crocker oczekiwałem na pocisk, który zapoczątkuje eksplozję magazynu amunicji w dolnej części ładowni.

Do chwili, kiedy ujrzałem Pumę, jak pędzi strzelając wzdłuż podziurawionego mola... i nagle molo i duża część pustyni naokoło przystani wystrzeliło w górę gigantyczną piaskową chmurą rozjaśnioną od środka potwornym, oślepiającym błyskiem. A moment później wysmukły, szybki -Schnellboot przemknął z rykiem silników tuż pod skrzydłem mostku zataczając szeroki, spieniony łuk. Z pomostu bojowego Korvettenkapitan Maks Duttmann uniósł rękę w ponurym salucie.

Nawet w tej chwili nad ścigaczem powiewała czerwono-biała bandera ze swastyką.

Była w tym pewna ironia losu.

Szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że Schnellboot Duttmanna był pierwszym i ostatnim okrętem wojennym, który kiedykolwiek storpedował czteroosiowy “panzerspahwagen Afrika Korps!

“Charona” ocalało właśnie to, że był tak stary, a jego konstrukcja tak osłabiona rdzą.

Większa część pocisków Pумы wleciała przez otwarte klapy prawej burty i przebiła cienkie jak papier blachy poszycia lewej, nawet nie eksplodując.

Niektóre jednak wybuchły po trafieniu w samo działo albo w którąś z mocniejszych wręg obramowujących ładownię. Osmaliły grodzie, powyginały je i poszarpały, i jednocześnie poskręcały działo, jego lufę i podstawę w koszarne kłębowisko zmatowiałej od żaru stali.

Mat Mulholland wciąż tkwił na swoim siodełku celowniczego przycisnąwszy wygodnie prawe oko do stopionej gumowej wykładziny okulara celownika. Ale cały był czarny, zwęglony...

W kącie leżało coś, co wciąż ścisnęło w objęciach uzbrojony, czterdziestopięcioletni pocisk, który wyglądał tak, jakby dopiero co dostarczono go z fabryki – połyskiwał mosiądzem i nie był nawet drażnięty. Natomiast jedyną dającą się rozpoznać częścią artylerzysty Clarka stanowił skrawek zakrwawionego bandaża w miejscu, gdzie powinna znajdować się jego głowa.

Bosman Crocker wciąż wyglądał nienagannie. Od pasa w górę. Trapp nigdy nie był w stanie do końca go przekonać, że powinien ubierać się jak dziad tylko dlatego, że służy na dziadowskim statku. I sądząc z delikatnego wyrzutu kryjącego się w uśmiechu Artura nigdy nie zmieniłby zdania...

Trapp odwrócił się i zaczął wspinać po powyginanym trapie na pokład. Gdy był już w połowie drogi i wciąż nie odezwał się nawet

słowem, warknąłem, nie mogąc już dłużej tego znieść:

–Trapp!

Zamarł na chwilę, a potem bardzo wolno odwrócił się w moją stronę.

Wtedy wreszcie dostrzegłem wyraz jego oczu. I cała niechęć, nienawiść, cała nagromadzona we mnie złość ulotniła się nagle, ustępując miejsca tępemu, pełnemu współczucia żalowi.

–Nic ważnego, dowódco – mruknąłem. – To już nie ma znaczenia. Już nie ma.

Następnego ranka, sześćdziesiąt mil od brzegu, pożegnaliśmy się z Maksem Duttmannem i obecnie również wyjętą spod prawa załogą -Schnellboota 248.

Najpierw podzieliliśmy złoto stając burta w burtę na szklistym, lekko rozkołysanym morzu. W atmosferze swobodnego, niemal radosnego koleżeństwa, któremu nawet Trapp nie był w stanie się oprzeć.

Oczywiście, nikt nie okazywał braku zaufania. Jak to skomentował Trapp: – Normalne, handlowe porozumienie między dżentelmenami. Skoro jest się oficerem marynarki, trzeba mieć pewne zasady.

Maks miał zamiar udać się do Libanu. Tam zatopi okręt, a potem zniknie – przynajmniej do chwili zakończenia wojny. Trapp sądził, że duża inwestycja w libijską ropę naftową ma przed sobą przyszłość... ale dopiero po dokładnej i całkowitej demobilizacji

Afrika Korps. Natomiast do tego momentu nader obiecującym miejscem dla ukrywającego się okrętu wojennego był archipelag grecki. – To nawet może dać dodatkowy zysk – powiedział Trapp. – Tymczasem ja, Al, Wullie i reszta chłopaków poczekamy do chwili, kiedy skończy się szum.

Trapp nigdy się nie zmieni. Przekonałem się o tym dawno.

Jeżeli o mnie chodzi, nie bardzo wiedziałem, co zrobić. Z drugiej jednak strony – nigdy dotąd nie byłem międzynarodowym wyrzutkiem... Takim, jakim zawsze pozostanie Trapp, bez względu na to, ile zgromadzi forsy.

Dowodem na to były jego pożegnalne słowa, które wyrzeszczał nad wodą rozdzielającą oba okręty. Na chwilę przed tym, gdy Maks ostatni raz pomachał mu ręką.

–Pamiętaj, Maksiu. Jeżeli kiedykolwiek zabraknie ci gotówki, to tam w piachu leży około pół miliona funtów. Warto dokonać maleńkiej inwestycji, żeby tam wrócić, co?

Silniki niemieckiego okrętu obudziły się z rykiem. Trapp i ja staliśmy na mostku “Charona” i patrzyliśmy, jak błękitna woda pod rufą ścigacza zawirowała skotłowaną pianą. S-boot zaczął oddalać się od nas sunąc coraz szybciej po gładkiej jak szkło powierzchni...

...i nagle eksplodował.

Zmienił się w wielką spiętrzoną kolumną pyłu wodnego, szczątków okrętu i ludzi.

Pamiętam swoją pierwszą reakcję. przerażenie, obrzydzenie, całkowite niedowierzenie.

Trapp!

Ale kiedy wściekły z oburzenia odwróciłem się w jego stronę, zobaczyłem, że patrzy na mnie nic nie rozumiejąc, niemal z poczuciem winy.

–Nie zrobiłem tego, pierwszy! Może przez chwilę o tym myślałem, ale przysięgam, że nie zrobiłem... Żadnej bomby! Przysięgam na Boga!

–W takim razie, co? – zapytałem. Ogarnęło mnie przerażające przeczucie. – Co to było, Trapp?

I nagle zobaczyłem biały, rozplywający się stopniowo ślad prowadzący od wciąż spienionego, wodnego grobowca S-boota i znikający w morzu na zachodzie.

–Torpeda – powiedziałem oszołomiony. – Trafiła go torpeda.

W tej samej chwili Gorbals Wullie zastygły w pół drogi na mostek wrzasnął na całe gardło. – Torpeda... Ślady torpedy!

Wciąż osłupiały Trapp odpowiedział nie ruszając się z miejsca: – Wiem już o tym, do diabła!

Ale Wullie potrząsnął gwałtownie głową i wskazał wyciągniętą ręką: – Nie mówię o tamtej, ale o tej...

...która leci prosto na nas!

Chyba od razu zorientowałem się, co zaszło. Było to tylko zimne pogodzenie się z faktem, które przepełniało mnie w ciągu tych ostatnich pozostałych mi sekund uczuciem rozpacz.

Okręt podwodny na patrolu. Czy niemiecki, czy brytyjski nie miało dla mnie żadnego znaczenia. I dla jednych, i dla drugich byliśmy w równym stopniu atrakcyjnym celem.

Bardziej jednak prawdopodobne, że brytyjski. Spotkał statek z zaopatrzeniem eskortowany przez Schnellboota. Statek, na którym można bardzo wyraźnie odczytać: "Virgilio Andreotti. Napoli". Czyż może być lepszy cel?

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, była potężna postać Trappa pochylającego się nad wierną rurą głosową i ryczącego rozkaz, o którym wiedział, że jest niewykonalny:

–Spieprzaj na górę, Al... Spieprzaj do diabła, na górę...

Chwilę później cały statek, zdawało się, uniósł się pionowo w powietrze. Ja zaś widziałem, jak pokład dziobowy, stanowisko Boforsa i w ogóle wszystko, co znajdowało się przed mostkiem "Charona", zwija się powoli w naszą stronę jak rozżarzony, czerwony od rdzy dywan...

Potem ogarnęły mnie para, kurz i ból. I ciemność...

Ale nawet kiedy "Charon" przewracał się na mnie, pamiętam, że wciąż krzychałem zawzięcie: – Przegrałeś, Trapp. Wreszcie w końcu przegrałeś...

...Bo nie możesz zawsze wygrywać, Trapp. Nie w twoim

wariancie Gry w Przetrawanie...

Ostatnia wachta

na pokładzie

Niemal zapomniałem już o Trappie i "Charonie".

Jedynie od czasu do czasu wypływają na powierzchnię mojej pamięci. Zazwyczaj w czasie szczególnie przykrych koszmarów, a wtedy pojawiają się razem z tak niewyraźnie pamiętanymi nazwiskami jak Gorbals Wullie, Al Kubiczek, Crocker, Babikian, Grek Polly, Joseph... Mulholland, Clark. I gruby kucharz, którego nazwiska nigdy nie byłem w stanie zapamiętać.

Tak jak przypuszczałem, trafiła nas brytyjska torpeda. Wyciągnęli mnie z wody, ale dopiero po cierpliwym odczekaniu kilku godzin w nadziei na następny cel – kiedy Kriegsmarine przybędzie szukając swoich zaginionych jednostek.

Poza mną nie odnaleziono innych ocalałych członków załogi krążownika pomocniczego Jego Królewskiej Mości "Charon".

Jedna sprawa była w tym wszystkim dziwna... Znaleziono mnie ubranego w kamizelkę ratunkową. I bardzo bezpiecznie ułożonego na dużym fragmencie pokrywy luku drugiej ładowni. Zupełnie jakby ktoś specjalnie się o mnie zatroszczył... Admirał dał mi medal, gdy wróciłem na Maltę. – Wspaniała strategia – grzmiał uszczęśliwiony, kiedy opowiadałem mu o złocie, o tym, jak próbowaliśmy je przechwycić, o Messerschmittach, oraz niszczycielach, których Hitler nie będzie miał za co wybudować.

Staralem się nie rozwodzić nad tym, co mieliśmy zamiar zrobić ze złotem. Admirał jednak zapewne sam się domyślił. Był jednak również w pewnym stopniu fanatykiem i sądzę, że o wiele lepiej rozumiał Trappa niż ja.

Komandora podporucznika Edwarda Trappa, R\$nr również odznaczono medalem. Pośmiertnie i z wielką pompą w czasie apelu na placu z widokiem na Grand Harbour i wciąż jeszcze na wpół zatopiony wrak zbiornikowca "Ohio". Pamiętam, że myślałem o wyrazie oczu Trappa, kiedy patrzyliśmy na ten dzielny statek wpływający do portu na Malcie. Aby przyczynić się do wygrania tej wojny i to bez perspektywy zysku.

Admirał wręczył mi medal przyznany Trappowi. Kiedy wystąpiłem z szeregu i zaszalutowałem, popatrzył na mnie przez dłuższą chwilę i mrugnął.

–Komandor byłby z niego bardzo zadowolony – oznajmił konspiracyjnym szeptem. – Wart jest prawie dwa funty. Gotówką!

I tak mijały lata...

Aż wreszcie, siedząc kiedyś w barze w Singapurze gadałem z pierwszym oficerem o sprawach statku i nagle usłyszałem fragment rozmowy siedzących obok nafcjarzy.

Jeden od niechcienia powiedział do drugiego: – Wiesz, Harry, świat jest dziwny. Kiedy miesiąc czy dwa temu prowadziłem poszukiwania w Libii, trafiłem na stare pobojuwisko na wybrzeżu. Wiesz, to co zwykle... Wraki, rdza i tak dalej. Ale kiedy szedłem przez nie, natknąłem się na dwóch facetów. Rozumiesz? Kupa mil dokądkolwiek i Bóg jeden wie, skąd oni się tam wzięli. Ale byli

cholernie opryskliwi!

–Ooo? – zdziwił się Harry. – Co takiego zrobili, Bill?

Bill sprawiał wrażenie nieco urażonego. – Jeden z nich tylko gapił się na mnie. Mówię ci, zupełny dziad. Pomarszczony, szkocki twardziel... A ten drugi – wielki, ogorzały typ, odwrócił się i warknął do mnie...

–Co takiego powiedział? – spytał zaciekawiony Harry.

–Rozumiesz? Byliśmy tam tylko my trzej – potrząsał z niedowierzaniem głową Bill. – Tylko my trzej na całej tej cholerniej pustyni... a ten wielki facet wrzasnął nagle do mnie: – spierdalaj stąd! – Tylko tyle.

Obróciłem się na barowym stołku. – Przepraszam, ale... czy oni przypadkiem kopali?

Mężczyzna przy barze wytrzeszczył na mnie oczy. – Jakim cudem pan na to wpadł, kapitanie?

Uśmiechnąłem się.

Łagodnie. Niemal z zadumą.

–Czy mogę zaprosić panów na drinka? – zapytałem. – Chciałbym wypić zdrowie paru starych przyjaciół...

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-02

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/